



# Stella Hamilton

Między blaskiem  
a cieniem

# *Hamilton Stella*

## *Między blaskiem a cieniem*

Długa morska podróż może zmienić człowieka – z młodej dziewczyny uczynić dojrzałą kobietę, świadomą swego uroku i swych pragnień. Kiedy Catherine wyrusza z zimnego Leeds na egzotyczny Cejlon, nie przypuszcza, że nim podróż dobiegnie końca, jej życie ulegnie całkowitej przemianie. Obce są dla niej obyczaje nie tylko rodowitych mieszkańców pięknej wyspy, ale również i te obowiązujące wśród brytyjskiej społeczności Cejlonu. Musi podjąć trudne życiowe decyzje – wrócić do rodzinnej Anglii, czy tutaj budować swoje szczęście. Największą trudność sprawia jej duchowa rozterka, którego z dwóch zakochanych w niej mężczyzn wybrać. Dopiero tragedia przyjaciółki rozwiewa jej wątpliwości.

## Rozdział I

Kiedy Kate Hartnell skręciła w Vernon Close i zobaczyła powóz przed numerem siódmym, wiedziała, że zdarzyło się coś strasznego - coś, co sprawiło, że jej zazwyczaj lekki, szybki krok spowolniał; coś co sprawiło, że przestała wywijać workiem na pantofle i uderzać nim w pokryte sadzą gałęzie kasztanów, by strząsnąć z nich ostatnie iglaste kule; coś równie niedobrego jak wojna burska, która właśnie co wybuchła i dlatego Madame Beatrice z Akademii Tańca i Śpiewu w Leeds nauczyła ich patriotycznej pieśni. Kate próbowała ją sobie zanucić, kiedy patrzyła, jak wysoki, czarnowłosy mężczyzna wyskakuje z powozu i kładzie rękę na ich furtce.

Mężczyzna przygarbił się, jakby przeniknął go północny chłód. Wiatr przywiał drobne płatki śniegu i Kate wysunęła język, by schwycić lodowate igielki. Śnieg osiadał miękko na chodniku, i kiedy dotarła do furtki numeru siódmego, było go już tyle, że na kamiennych płytach pozostały lekkie ślady jej stóp. Podeszła do frontowych drzwi pomiędzy poczerniałymi miejskimi laurami, stawiając stopy na dużych i szeroko rozstawionych śladach stóp obcego mężczyzny.

Był już w środku. Megan, ich gospodyni, pewnie go zabawiała. Megan nie znosiła wszelkiej zabawy, a zwłaszcza okazywania gościnności obcym. Megan była stara

i zgryźliwa i goście rzadko pojawiali się pod numerem siódmym na Vernon Close, zwłaszcza w ciągu ostatnich sześciu lat, od kiedy ojciec Kate, dr Hartnell, został „powołany”.

Powołanie na placówkę misyjną nadeszło pewnego niedzielnego wieczoru po nabożeństwie w kaplicy w Leeds, gdzie w niedzielę Hartnellowie trzykrotnie oddawali Bogu cześć. Tekst na ten późnoletni wieczór pochodził z Ewangelii według świętego Jana: „Są jeszcze inne owieczki moje, które nie należą do stada, a które muszę sprowadzić...”

Kaznodzieja, ewangelista, który niedawno powrócił z Cejlonu, mówił o rzeszach pogan czekających na nawrócenie, o nie ochrzczonych dzieciach umierających z choroby i brudu, podczas gdy ich rodzice uprawiają czary i śpiewają mantry, a znachorzy tańczą rytualne tańce.

Po kazaniu wierni powstali, by odśpiewać hymn biskupa Hebera:

***„Cóż, że pachnące wiatry wieją lekko nad wyspą Cejlon, Gdzie każdy widok raduje oczy, a tylko człek jest zły, Na darmo z łagodną hojnością rozsypane są dary Boga, Gdy poganin w swej ślepcie kłania się drewnu i kamieniowi?”***

Kiedy nabożeństwo się skończyło, kaznodzieja pochylił się nad kazalnicą i zapytał: „Kto z was będzie leczył chorych i odciągnie pogan od ich bożków? Kogo z was Bóg nakłoni dzisiaj do wyjazdu?”

Wychodząc na zacieniony kościelny dziedziniec dr Hartnell poczuł na ramieniu rękę Boga, równie pewnie i wyraźnie, jak czuł w zagięciu prawej ręki delikatniejszą, bardziej kruchą rękę swojej żony. Wypuścił nawet palce małej Kate, podniósł dłoń do lewego ramienia i wyszeptał ochryple: „Tak, Panie, wyślij mnie”, na tyle głośno, by go usłyszały żona i córka.

Do tej pory życie było znacznie pewniejsze i słodsze. Leeds było zamożnym miastem. Dr Hartnell miał dobrą

praktykę wśród bogatych fabrykantów tekstyliów i odzieży, chociaż spędzał więcej czasu, niżby Megan sobie życzyła, w darmowej przychodni i wśród mieszkańców baraków przy Headingley Road. W czasie wolnym, jaki mu jeszcze pozostawał, odwiedzał więźniów w więzieniu Armley, aż spotkał się z poważną krytyką, gdy publicznie zaprotestował przeciwko powieszeniu młodej kobiety, która zamordowała swojego kochanka.

„On zawsze opowiada się za jakąś sprawą. Ma miękkie serce, ten twój ojciec”, narzekała Megan. „A twoja matka, a może nawet i ty, dziecko, będziecie musiały za to płacić!”

Ale to właśnie stara Megan musiała płacić. Trzy miesiące po brzemiennym w skutki nabożeństwie wieczornym, doktora Hartnella przyjęto z otwartymi ramionami jako misjonarza i przydzielono do odległej części Cejlonu o niemożliwej do wymówienia nazwie. Pani Hartnell, kobieta o delikatnej budowie, lecz o nieugiętej woli, obwieściła, iż zamierza jechać wraz z nim, nie wskazane jednak było, by Kate, wówczas jedenastoletnia, jechała z nimi. Przegrawszy tę pierwszą bitwę, Kate walczyła zawzięcie, by nie posłano jej do szkoły z internatem i w końcu odniosła to skromne zwycięstwo. Megan, która służyła u matki i babki Kate, miała pozostać pod numerem siódmym i zająć się nią. W Leeds była znakomita szkoła dla dziewcząt, a ponadto Kate mogła nadal pobierać lekcje śpiewu, tańca i recytacji u Madame Beatrice, tuż za rogiem. Hartnellowie mieli przyjeżdżać do domu na urlop co siedem lat.

Teraz brakuje tylko roku, pomyślała Kate, zatrzymując się w progu tarasowego domku zbudowanego z litego kamienia. We frontowych drzwiach znajdowały się panele z matowego szkła, obrzeżone małymi czerwonymi, zielonymi i niebieskimi gwiazdkami. Kiedy Kate przytknęła oko do środka jednej z tych gwiazdek, mogła zobaczyć,

co dzieje się w hallu. Był pusty, zobaczyła jednak na wieszaku - niczym zwiastuny zła - czarny kapelusz obcego i jego laskę.

W ciągu dnia zazwyczaj nie zamykano na klucz frontowych drzwi. Kate niechętnie przekręciła gałkę i wślizgnęła się do środka. Drzwi do salonu były zamknięte. Przez chwilę Kate stała na wycieraczce, nasłuchując cichego szmeru głosów dochodzących zza pomalowanych na brązowo drzwi. Następnie mocno i zdecydowanie zatrzęsnęła za sobą drzwi wejściowe, i wtedy wszystko się zaczęło.

Usłyszała, jak Megan mówi: - To ona, proszę pana. - Następnie zniżyła głos do chrapliwego szeptu i Kate nie mogła rozróżnić słów, dopiero obcy głos mężczyzny odpowiedział: - Jak sobie pani życzy.

Głos był przeraźliwie smutny i pobrzmiwała w nim nuta zniecierpliwienia. Kate poczuła nagłą, przemożną chęć, żeby pobiec na górę do swojego pokoju i zamknąć drzwi na klucz. I w istocie postawiła już stopę na pierwszym stopniu, kiedy otwarły się drzwi do salonu i Megan, z ponurą miną, ruchem głowy kazała jej wejść i powiedziała: - Chodź, dziewczyno.

Megan wyglądała na złą. Zawsze wyglądała na złą, kiedy była zmartwiona, jakby czułość i troskę można było wyrazić jedynie groźnym łypnięciem okiem i surową miną. Teraz Megan ściągnęła usta i wciągnęła policzki, tak że jej nos stercza! wojowniczo niczym dziób papugi.

- To ona - poinformowała obcego, obdarzając go złowrogim spojrzeniem.

Mężczyzna podniósł się powoli z krzesła, nie wyprostowując się na całą wysokość, pochylając się lekko nad ręką, którą wysunął do Kate. Miał gęste, starannie przycięte czarne włosy i bardzo proste czarne brwi. Pod nimi jego szare oczy były wąskie i badawcze. On także

zmarszczył czoło, a bruzdy odcinały się blado na tle opalanej skóry. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał powiedzieć jakąś reprimendę. Może był ojcem jednej z jej koleżanek szkolnych? Może wyszło na jaw jedno z jej drobnych przewinień u Madame Beatrice? Kate przebiegała w myślach swe ostatnie eskapady, kiedy obcy przemówił:

- Nazywam się Warrender.

- Doktor Warrender - wtrąciła Megan.

- Jestem kolegą twojego ojca.

- Na Cejlonie, doktorze Warrender?

- Tak, Kate, na Cejlonie. Jego praktyka sąsiaduje z moją. Byłem na urlopie w Dales. - Wymamrota) coś o jakimś wuju, a następnie, by szybko zdławić rodzącą się nadzieję, że być może zawitał do nich jedynie po to, by przekazać wieści od rodziców, wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie: - Niestety, przynoszę złe wieści.

Głos miał cichy, jednostajny i pozbawiony emocji. Jedynym ostrzeżeniem o nieszczęściu, jakiego miał być zwiastunem, było to, że jego dłoń trzymająca jej dłoń, ścisnęła ją z bolesną, miazdzącą siłą.

- Twoja matka zmarła na malarię. Poprosili mnie, żebym tu przyjechał i ci powiedział, woleli to, niż...

Do Kate nie w pełni dotarło, że to powiedział. Wyrwała mu rękę. Usiadła na brzeżku twardej, wypchanej końskim włosiem sofy i wpatrywała się w różowy pleciony wachlarz, który wypełniał puste palenisko kominka. Nie odezwała się ani słowem, kiedy głos obcego rozbrzmiewał nadal, szarpała jedynie w roztargnieniu ostre końskie włosy, które przebiły się przez materiał imitujący skórę, oplatając je wokół szczupłych palców, aż przecięta skóra zaczęła krwawić.

W tym samym czasie Megan musiała pójść do kuchni, bo teraz pojawiła się znowu z filiżankami herbaty,

które pobrzękiwały na tacy. Doktor Warrender wziął jedną i podał jej, mówiąc zachęcająco:

- Spróbuj wypić trochę, Kate.

Kate rzuciła mu wściekle spojrzenie i ruchem ręki odmówiła wypicia. Kiedy wreszcie doszedł do końca swej przemowy, zapytał ją:

- Czy rozumiesz, co mówię?

- Tak.

- Czy jest coś, co chciałabyś, bym ci wyjaśnił?

- Tak. - Kate zerwała się na nogi. Zaciśnęła pięści i usłyszała, jak jej własny głos przemienia się w krzyk. - Dlaczego pan kłamie? To nieprawda. - Chwyciwszy za wyłogi marynarki doktora Warrendera, uderzała pięściami w jego pierś. - Mama jest zdrowa. Zupełnie zdrowa. Dostawałam listy. Megan dostawała listy. -Podkreślała te słowa następnymi uderzeniami.

Doktor Warrender nie podjął żadnej próby, by ją powstrzymać. Stał, nieruchomy, wpatrując się w jakiś punkt ponad jej głową. Jedyne zaciśnięte szczęki świadczyły o tym, że ją słyszał lub poczuł jej śmieszny atak. W końcu, szlochając jak dziecko, rozwarta zaciśnięte pięści i rzuciła się twarzą w dół na sofę.

- Dlaczego musiał pan przyjechać? - zawodziła. -Dlaczego pan nie odejdziesz?

- Niech jej pani pozwoli płakać - usłyszała, jak straszny nieznajomy mówi do Megan. - Przyjdę w czwartek, by poczynić konieczne ustalenia.

„Konieczne ustalenia" okazały się straszniejsze niż Kate mogła przypuszczać. Jej ojciec nie przyjeżdżał do domu, jak miała nadzieję, kiedy pocieszała się w czasie bezsennej nocy po wizycie doktora. Zamiast tego miała jechać do niego do tego odległego, nienawistnego miejsca w cieniu tej góry, która już zabrała jej matkę. A ciemny, nie uśmiechający się doktor miał jej towarzyszyć.



- Doktor wypływa z Liverpoolu drugiego stycznia, dziewczyno - powiedziała jej Megan przy śniadaniu. - Na statku, który nazywa się „Księżniczka Orientu”. Popłyniesz z nim. Nie ma nic więcej do powiedzenia.

Było jednak dużo więcej do powiedzenia i Kate to powiedziała. Czyniła wymówki, płakała, przymilała się. Wszystko nadaremnie. Megan, która ją kochała, pozostała niewzruszona. Jej ojciec jasno wyraził swe życzenie, a doktor Warrender, który zajął miejsce jej ojca, dopilnuje, by je spełniono. Kate pozwolono opłakiwać matkę. Megan także wylewała gorące, gniewne i daremne łzy, ale w zaciszu swojego pokoju. Opłakiwała Kate tak samo jak jej matkę, i wściekała się w duchu na mężczyzn i ich zarozumialstwo, że otrzymują przesłania od Boga. Odwracała zagniewane stare oczy od wiszącego w hallu obrazka z Górą Adama. Wydawało się, że góra stała się większa i groźniejsza, a w zimowym świetle jej świetlistoróżowy szczyt przybrał mętną krwistoczerwoną barwę.

- Nie ma sensu bez końca pytać, dlaczego ojciec nie może wrócić. Jego obowiązkiem jest tam pozostać. Jak powiedział doktor Warrender, poganie go potrzebują.

- Skąd to wiemy?

- Ponieważ Bóg mu to powiedział, dlatego.

- Bóg nie kazał mu zabierać mamy.

- To był jej obowiązek. - Megan ze stukiem zebrała naczynia na blaszaną tacę. - Tak, jak i jest twoim. Twoim obowiązkiem jest być posłuszną. I zachowywać się stosownie i nie przysparzać kłopotów doktorowi Warrenderowi.

- Nienawidzę go. Żałuję, że kiedykolwiek ujrzałam go na oczy - powiedziała z goryczą Kate.

- Może obie tego żałujemy - warknęła Megan. - I on pewnie też. Wcale nie jest więcej z tego zadowolony niż ty. Ma mnóstwo swoich spraw bez zajmowania się tobą.

Kate poczuła się trochę pewniej, kiedy dowiedziała się, że niewiele będzie widywała doktora Warrendera w czasie podróży. Podobnie jak w przypadku jej ojca, towarzystwo misyjne wymagało od niego, by w czasie podróży pracował jako lekarz pokładowy, w celu zmniejszenia kosztów.

- Powiedział mi jednak, dziewczyno, że w swojej kajucie będziesz miała przynajmniej jedną miłą damę, misjonarkę.

- A co z tobą, kochana Megan? - zapytała ze smutkiem Kate. - Co poczniesz beze mnie?

Megan rzuciła jej spojrzenie surowo powstrzymanej czułości.

- Nie kłopotz się o mnie, dziewczyno. Dam sobie radę. Przyjedzie moja siostra i będzie mi dotrzymywać towarzystwa. Dla was dwojga będę utrzymywać ciepło w domu. Nie wyjeżdżasz przecież na zawsze.

Kiedy jednak doktor Warrender odwiedził je w czwartek wieczór, w jakiś sposób Kate wiedziała, że rozstanie jest na zawsze.

- Chodź - powiedział, kiedy Megan zniknęła w kuchni, po tacę z herbatą. - Pozwól, że ci pokażę, gdzie będziesz mieszkać. - Ruchem ręki pokazał Kate, by poszła za nim do hallu i stanął przed oprawionym w ramki obrazkiem. - Za tym lasem znajduje się wielka plantacja herbaty i kilka wiosek. - Dotknął szybki obrazka palcem wskazującym. - Twój ojciec ma tam przychodnię. W cieniu Góry Adama, Kate, najpiękniejszej i najświętszej góry na świecie.

Kate nie odezwała się ani słowem.

- Jako że klimat tamtejszy bardzo się różni od tutejszego - próbował, by jego głos brzmiał zachęcająco - będziesz potrzebowała nowych ubrań. - Uśmiechnął się do niej, jakby oczekiwał, że wyrazi zadowolenie z takiej perspektywy.

Kate odwzajemniła jego blady uśmiech wrogim grymasem.

- Wszystkie dziewczęta lubią kupować stroje, prawda, Kate?

Ja nie - skłamała.

Wzruszył ramionami i ciągnął dalej bez dalszej dyskusji. - Przywiozłem listę odpowiednich ubiorów, jakich będziesz potrzebować. Megan lub może twoja ciotka...

Na dźwięk swojego imienia Megan, która powróciła z kuchni z tacą, oznajmiła:

- Ona nie ma żadnej ciotki, proszę pana. Nikogo. Dlatego to ja się nią opiekuję. Ale niech się pan nie kłopotczy, doktorze Warrender, dopiluję, by była odpowiednio wyposażona.

Wkrótce jednak stało się całkowicie jasne, że Megan, która nałożyła okulary w drucianej oprawie i starała się zrozumieć listę ubrań, nie całkiem sprosta temu zadaniu. Doktor Warrender był człowiekiem, który szybko podejmował decyzje. Jego dorożka nadal czekała przed domem. Ze zmarszczonymi brwiami, świadczącymi o oczywistej niechęci do wykonania tego zadania, oświadczył, iż będzie im towarzyszył do najbliższego sklepu odzieżowego, tak by bez zwłoki można było rozpocząć nabywanie koniecznej garderoby.

Od owego fatalnego dnia, kiedy pojawił się po raz pierwszy, cały czas było zimno. Obok ogrodowej ścieżki piętrzyły się małe zaspas brudnego śniegu, drogi były mokre, czarne i ohydne. Megan ubrała się w czarny czepek i starą pelerynkę z kreciego futra, która należała niegdyś do matki Kate.

Stanowimy dziwne trio, pomyślała Kate, kiedy doktor Warrender pomagał im wsiąść do dorożki i kazał woźnicy zawieść się do sklepu Marshalla na Briggate. Doktor sprawiał wrażenie niezadowolonego, Megan złej, a ona sama, zbuntowanej.

Odźwierny, który otworzy! przed nimi oszklone drzwi, obrzucił ich taksującym spojrzeniem, jakby nie był! całkiem pewien ich wzajemnych powiązań ani też sity nabywczej. Musiał się przyjemnie zdziwić. Poszeptawszy chwilę z Megan, doktor poklepał się po kieszeni na piersi swojego płaszcza, wskazując, że zabrał ze sobą wystarczającą sumę pieniędzy. Odźwierny wezwał tęą matronę. Doktor Warrender wyjaśnił jej, czego szukają:

- Potrzebujemy kilku prostych bawełnianych sukienek odpowiednich do tropikalnego klimatu i dla córki misjonarza.

Obsługa sklepu właśnie zaczynała dekorować sklep na Boże Narodzenie. Manekiny z woskowymi twarzami ubrane były w suknie z jaskrawokolorowego jedwabiu i muślinu, gęsto obszyte cekinami. Kate była nimi oczarowana, jednakże doktor Warrender zdawał się ich nie zauważać, kiedy wprowadzono Kate do przymierzalni przypominającej ogromną mahoniową szafę wyłożoną lustrami. Wyłoniła się z niej z opadłymi ramionami i z ciężkim sercem, tak jakby bawełniane sukienki, w jakie była ubrana, przytłaczały ją swym ciężarem. Doktor i Megan, którzy siedzieli na giętych krzesłach, ze zniecierpliwieniem i roztargnieniem kiwnęli aprobowo głowami.

Kiedy to zostało załatwione, doktor pomógł Megan kupić materiał na bluzki i spódnice, koszule i koszule nocne. Chociaż jej wybór padł na ulubioną flanelę, doktor stanowczo się sprzeciwił, przypominając jej, że Cejlon leży blisko równika. Jeżeli czuł się nieswojo w tak obcym dla niego kobiecym otoczeniu, to potrafił wznieść się ponad to, wnosząc w całą tę kobiecą ekspedycję jakąś dziwną męską godność, co z kolei roznieciło gniew Kate.

Jej następna wyprawa z doktorem Warrenderem miała miejsce trzy dni później i była jeszcze mniej przyjemna. Tym razem Megan żarliwie stanęła po stronie

Kate i protestowała z taką samą gwałtownością, jednak doktor nie zważał na to. Chociaż do świąt Bożego Narodzenia było tylko trzy dni, umówił się na wizytę i nie dał się od tego odwieść. Zapakował je do powozu i w milczeniu zawiózł do Królewskiego Szpitala, gdzie stał patrząc uważnie, jak w szczupłe, białe ramię Kate wbito szczepionkę przeciwko ospie. Odprawiając je ze szpitala, kiedy Kate miała już na czarnym rękawie szkarłatną opaskę świeżo zaszczepionej, powiedział krótko:

- Nie chcemy żadnych niepotrzebnych chorób. Ani na statku, ani na Cejlonie.

W tym też celu Kate musiała stać w koszuli, kiedy badał jej gardło i uszy, osłuchiwał serce, zaglądał pod powieki, i ignorując lub też nie widząc w ich głębi gniewnego błysku, zwrócił uwagę na jej anemiczną bladość i zapytał Megan, czy Kate zawsze była takim szczupłym dzieckiem.

Tygodnie poprzedzające dzień drugi stycznia minęły jak sen. Sen tak nierzeczywisty, że nawet jej smutek wydał się odległy i bezcielesny, smutek odczuwany przez jakąś mglistą postać, która nie była nawet nią. Wiedziała, że kiedyś w przyszłości będzie musiała stać się tą osobą, tymczasem jednak mechaniczne czynności przygotowywania się do długiej podróży trzymały smutek na odległość.

Megan i ona spędziły spokojne, niewesołe święta. Megan upiekła królika. Kate podarowała jej ściereczkę, którą wyhaftowała w szkole. Poszły do kaplicy.

Kiedy cztery dni po świętach jej ramię boleśnie zapuchło i zaczerwieniło się, czuła się chora i kręciło się jej w głowie, Kate utwierdziła się w swej antypatii do doktora Warrendera i w swym oporze co do podróży, w którą miała się udać.

- Czy nie chcesz się dowiedzieć, jaki jest Cejlon? -zapytał ją doktor Warrender w wieczór poprzedzający

ich wyjazd, kiedy wpadł z wizytą, by sprawdzić, czy wysłano już blaszany kufer Kate. Był to pierwszy dzień nowego wieku. W parku Roundhay wystrzeliwano ognie sztuczne i Kate widziała je na niebie przez okna salonu. Doktor musiał powtórzyć swoje pytanie.

- Nie - Kate potrząsnęła głową. - Wiem, jak tam jest. Tatuś, zanim wyjechał, pokazał mi obrazki. Mama posyłała pocztówki. A w szkole uczą nas geografii.

- Wspaniale. - Rzucił jej szybki, rozbawiony uśmiech, który zmienił jego twarz. - Ale na Cejlonie jest więcej ciekawych rzeczy niż obrazki i geografia.

- Wiem, że są tam plantacje karczuku, hoduje się kawę i herbatę, są perły i drogie kamienie. - Przerwała dla lepszego efektu. - I choroby i śmierć.

Doktor Warrender nie kontynuował tego tematu. Czowała, że odniosła drobne zwycięstwo, ale być może pozwalał jej na to, żeby zachowała siły na jutrzejszy dzień.

Świt tego straszego dnia wyjazdu wstał mokry, zimny i wietrzny. Megan pojechała z nimi powozem na stację kolejową w centrum Leeds. Jej ostatnie słowa, wyszeptane chrapliwym głosem, brzmiały:

- No, a teraz rób wszystko, co on ci każe.

Lokomotywa wydała żałobny pisk. Drzwi się zatrzasnęły. Kolejarz zadał w gwizdek i zamachał swoją zieloną lampą. Kiedy pociąg z łoskotem wyjeżdżał ze stacji w Leeds, wielka biała chmura pary zasłoniła Megan. Kate już jej nie zobaczyła.

Nienawidzę Boga, myślała patrząc przez okno na rzędy poczerńiałych od sadzy, przylegających do siebie tyłami domków na nędznych ulicach, na przedzalnicy, na brudną, szarą wodę rzeki, na przypominającą zamkową, czarną wieżę więzienia Armley. Nienawidzę Go i Jego wezwań, i Jego rąk na ramionach ludzi.

- O czym myślisz, Kate? - Doktor Warrender pochylił się do przodu, kiedy pociąg nabierał prędkości.

- O Bogu - odparta szybko, z fałszywą pobożnością otwierając szeroko niebieskozielone oczy i czując dziecięcą radość, że chociaż to go zaskoczyło i uciszyło.

Tylko na chwilę. Wkrótce ulice, tory tramwajowe, fabryki, sklepy, przedziałnie wełny z wysokimi kominami wypływającymi czarne pióropusze dymu na wilgotne, niosące mokry śnieg poddmuchy wiatru, ustąpiły miejsca wrzosowiskom. To prawda, że nadal jeszcze pojawiały się kominy przedziałni, ale była także sprężysta trawa, wrzosy, niskie kamienne murki, małe domki i stada owiec. Minęły lata, od czasu kiedy Kate była na wycieczce na wsi, i chciwie wchłaniała tę scenę. Zdała sobie sprawę, że doktor Warrender jej się przygląda, więc zwróciła na niego pytające spojrzenie.

Do tej pory zawsze widział ją z odwróconą twarzą, oszołomioną i wrogą, lub też w cienistym tle za groźną Megan. Teraz przyglądał się jej po raz pierwszy jako osobie, a nie tylko jako dziecku w żałobie i krucho wyglądającemu potomstwu swojego kolegi, który powierzył mu niechciany obowiązek przywiezienia jej.

Skończyła osiemnaście lat, a wyglądała jeszcze młodziej. Miała szczupłą i delikatną twarz, taką, jak twarz jej matki, nos o ładnym kształcie, łukowate brwi, nieco ciemniejsze niż włosy, i oczy, które były burzliwą mieszanką błękitu i zieleni, wrażliwe, ale i przekorne. Jej usta były pełne i inteligentne, ale w nich także dostrzegał tę dwoistość: niepowstrzymane pragnienie, by śmiać się i uśmiechać mieszało się z upartym grymasem ładnie wyciętych warg. Jej ojciec powiedział mu: „Może nie tak jak powinniśmy dopatrzyliśmy jej wychowania. Jednakże wola Pana musi mieć pierwszeństwo.”

- Często myślisz o Bogu, Kate? - zapytał ją doktor Warrender, jakby dopiero co się odezwała.

- Tak - skinęła głową. W jej pięknych oczach pojawiły się ogniki. - Ostatnio wiele o Nim myślałam.

- Twój ojciec cieszyłby się z tego. Potrząsnęła głową.  
- Nie z tego, jak o Nim myślę.  
- Twój ojciec jest bardzo bogobojnym człowiekiem - powiedział doktor Warrender, jakby jej nie słyszał.

- Wiem.

Doktor Warrender uśmiechnął się do niej smutnym, prawie przeproszającym uśmiechem.

- Obawiam się, Kate, że moje zainteresowania skupiają się bardziej na leczeniu ciał niż zbawianiu dusz.

Kate zastanawiała się, czy ten mężczyzna o ogorzałej twarzy, którego uważała bardziej za więziennego strażnika niż przyjaciela, wyciąga być może ku niej kruchą gałązkę oliwną. Jeśli tak było, nie zamierzała jej przyjąć.

- Nie mógł pan jednak uleczyć mojej matki - rzuciła zimno.

Skrzywił się z bólu.

- Kiedy wyjeżdżałem, Kate, nie była chora.

- Mógłby ją pan uleczyć, gdyby pan tam był? Potrząsnął głową.

- Wątpię w to.

- Mój ojciec także nie?

- Nie.

- A jego Bóg?

Doktor Warrender odparł surowo:

- Nie mogli także uleczyć siedemdziesięciu dwóch osób, które wtedy zachorowały, Kate, wiele z nich to dzieci, dwa razy młodsze od ciebie.

- Przepraszam - odparła Kate z łagodniejszym wyrazem twarzy. - Jestem pewna, że by pan próbował.

Przyszło jej na myśl, że było to pierwsze miłe słowo, jakie skierowała do doktora Warrendera. Smutny, przelotny uśmiech powiedział jej, że mniej więcej taka sama myśl i jemu przyszła do głowy.



- Przynajmniej udaje się nam złagodzić trochę największe cierpienie. Bez zachodniej medycyny uciekają się do szamanów, mantr, zaklęć i tańców, by wygnać demony choroby.

Kate skinęła głową, przez chwilę zawstydzona. Oparła się o zagłówek i przez całą godzinę wpatrywała się w obrazek przedstawiający wagony kąpielowe na plaży w Brighton. Nigdy w życiu nie kąpała się w morzu. Jej ojciec był przeciwny temu, by damy się kąpały, nawet ze względów zdrowotnych. Megan była jeszcze bardziej temu przeciwna. Kate nie wolno się było kąpać bez koszuli i pantalonów, a łazienkowe lustro zakrywano ręcznikiem, by przypadkiem zbyt badawczo nie przyglądała się swej szczupłej figurce.

Ukołysał ją regularny rytm deszczu. Zasnęła i śniła. Sny i rzeczywistość były wywrócone na opak. Ostatnie kilka tygodni nie były teraz niczym więcej jak oddalającym się koszmarem. Tak, znajdowała się w pociągu zdążającym do Liverpoolu. Ale tam, w Liverpoolu, spotka się z powracającymi rodzicami. Wracali do domu na stałe, wykonali swe ewangeliczne zadanie, zaprowadzili pogan do stada Pana.

Obudził ją ryk pociągu wjeżdżającego w tunel. Przez uchylone okno wdarł się nieprzyjemny, ostry zapach. Doktor Warrender wstał, by je zamknąć. Przez chwilę stał nad nią niczym góra, żywy obraz jej powracającego strachu. Potem usiadł, pochylił się do przodu z rękoma na kolanach, uśmiechając się zdecydowanie.

- Przespałaś się chwilę?

- Tak.

- Dobrze. - Uśmiechnął się szerzej. - Zawsze czuję, że wtedy właśnie odcinamy stare życie i zaczynamy nowe. Kiedy wyjdziemy z tunelu, Kate, przed nami będzie nowe życie. Cejlon z całym jego pięknem. Twoje nowe życie, Kate, przy boku ojca.

Kiedy pociąg wyjechał z tunelu na światło dzienne, a za oknem buchała para i przelatywały czerwone iskry, popatrzyła w niebo, pragnąc, by zaświeciło słońce. Ale chmury, ku gorzkiej satysfakcji Kate, pozostały gęste i ciężkie, deszcz ze śniegiem uderzał w okna i spływał po nich wolno strużkami smutnymi jak łzy. A doktor, zmęczony być może próbami rozweselenia jej, wyjął z walizki medyczne pismo i zagłębił się w lekturę. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy pociąg zjechał do portu, a wysoki komin ich statku powoli pojawił się w zasięgu wzroku.

## Rozdział II

Pomimo ogólnej atmosfery zamieszania i ruchu, która otaczała „Księżniczkę Orientu”, pomimo flag i wojskowej orkiestry, grającej na molo, przeważała aura melancholii. Batalion Argyll i Sutherland Highlanders czekał, by się zaokrętować, jak jej powiedział doktor Warrender, w drodze na wojnę. Zza odgradzonej sznurami przestrzeni przyglądał się im tłum krewnych. Podjeżdżały czarne dorożki i rozlegał się szum czarnych parasoli. Z bliska nawet pojedynczy wielki komin samego statku przykryty był czarną czapą.

Na szczycie trapu szereg tamilskich stewardów pod dowództwem angielskiego oficera o świeżej cerze, czekał na przydzielenie ich do pasażerów. Na tle białych lnianych marynarek i obszernych spódnic ich ciemne twarze wydawały się prawie czarne. Byli pierwszymi kolorowymi, jakich Kate widziała, pominąwszy obrazki w książkach, i bała się im przyglądać. Pomyślała, że wyglądają na tak potulnych, jakby byli niewolnikami.

- Cóż, jak ci mówiłem, Kate - Doktor Warrender, podawszy oficerowi ich nazwiska, uśmiechnął się do niej przelotnie - będziesz mieć w kajucie towarzystwo. Jedna z dam jest osobiście znana zarówno mnie jak i twojemu ojcu. Pani Purvis jest żoną misjonarza i bardzo czcigodną damą. Nie znam twoich pozostałych współlokaterek z kajuty. Ale pomagaj pani Purvis, Kate.

Jest w delikatnym stanie. - Potem, kiedy oficer strzeli! palcami na młodego stewarda, dużo szczuplejszego niż sama Kate, z opuchniętymi oczami i twarzą podobną do brązowej żaby, doktor dodał: - To chyba twój steward, Kate. Jak ci na imię, chłopcze? - Pochylił się, przekrzywił głowę na bok uśmiechając się zachęcająco.

- Samuel, panie. - Brudnobrązowa twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Samuel, tak? Nawrócony. Przypuszczam, że dzieło twoich rodziców, Kate. Wielu stewardów jest teraz chrześcijanami. Idź za nim. No już. - Popchnął ją lekko w ramię. - Doglądaj jej, Samuelu.

- Tak, panie.

Obracając się co kilka kroków, by ukłonić się i skinąć na nią palcem, steward poprowadził Kate w dół czegoś, co wydawało się jamą wypełnioną schodami, pokładami i żelaznymi korytarzami, zbyt skomplikowanymi, by jakikolwiek statek je zawierał, aż dotarli na korytarz głębszy, ciemniejszy i węższy niż pozostałe. Po suficie biegły syczące przewody i bulgocące rury, a ściany przecinały niezliczone małe drzwi. Zatrzymał się przy jednych i zapukał głośno, przechylając głowę na bok jak ptak. Zza drewnianych paneli dobiegły ich szmery, ruch i kilka uderzeń. Następnie władczy kobiecy głos krzyknął:

- Wejść.

Samuel z zamachem otworzył drzwi, znowu skłonił się prawie do podłogi i rozłożył ręce, zapraszając Kate, by weszła do środka. Wewnętrzna strona jego dłoni była fioletoworóżowa jak nasiona granatu, który ojciec dał jej kiedyś na gwiazdkę. Tak ją zafascynowały dłonie Samuela, że przez chwilę nie zwróciła uwagi na rozgrywającą się przed jej oczami scenę.

Kiedy już rozejrzała się po wnętrzu kajuty, przygnębiły ją jej niewielkie rozmiary i to, że właścicielka

władczego głosu sprawiała wrażenie, jakby wypełniała całą wolną przestrzeń pomiędzy dwoma zestawami koi, zasłaniając światło z małego iluminatora. Była wysoką, dobrze zbudowaną kobietą w nieokreślonym wieku. Jej gęste brązowe włosy przypominały Kate sofę wypchaną końskim włosiem w rodzinnym domu. Były upięte na czubku dumnie uniesionej głowy, jakby stanowiły jej największą ozdobę. Pasemka włosów wymykały się i kobieta cały czas je przyglądała grubymi białymi palcami lewej ręki. W prawej trzymała coś, co wyglądało na packę na muchy. Ubrana była w czarną suknię z krepy, a na jej bujnej piersi, która zdawała się sterczeć zbyt daleko od tułowia, pobłyskiwały rzędy koralików z gagatu. Poruszała się niezdarnie, kiedy odkładała packę na muchy, podeszła do Kate i ujęła obie jej dłonie w swoje.

- A więc ty jesteś Kate? - Wpatrywała się badawczo w twarz Kate oczami, które były brązowoczerwonego koloru jak jodyna. - A ja jestem pani Purvis. Edith Purvis. Moim mężem jest wielebny Leonard Purvis, pastor Kościoła Nonkonformistycznego z Rangawelli. On pochował twoją matkę.

Kate nic nie odpowiedziała.

- Przykro mi - ciągnęła pani Purvis - że mój stan zdrowia nie pozwolił mi samej przyjechać do Leeds, jak tylko się o wszystkim dowiedziałam.

- Nie było potrzeby - wyszeptała Kate. - Doktor Warrender był bardzo miły.

- Wielebny Purvis zatelegrafował do niego, by zrobił dla ciebie wszystko, co możliwe. - Westchnęła. - Wszyscy opłakujemy twoją matkę, ale dumni jesteśmy z jej życia poświęconego służbie Bogu. - Pani Purvis przesunęła palcami po koralikach z gagatu przypominającymi czarne łzy. Kate była zarówno wzruszona tą zewnętrzną oznaką żałoby, jak i dziwnie nią oburzona.

Następnie, z nagłym przyływem energii, pani Purvis schwyciła packę na muchy i zwróciła się do Samuela:

- To na razie wszystko, chłopcze. Przestań marnować czas wytrzeszczając oczy. Przynieś jeszcze trochę proszku siarczanego! - Uderzyła się packą po udzie. Zamknij za sobą drzwi, chłopcze. Karakony - wyjaśniła Kate. - Chłopcy są zbyt leniwi, by wystawiać wystarczającą ilość proszku siarczanego. We wszystkich kajutach aż się od nich roi. Teraz, Kate, pozwól, że ci pokażę, gdzie masz położyć swoje rzeczy. - Wskazała na wyższą koję po lewej stronie. - Ta będzie twoja. Mamy szczęście, że w kajucie jest iluminator. Niestety, po sterburcie. Słońce będzie niemiłosiernie przygrzewało. I obawiam się, że nie miałyśmy szczęścia, jeśli chodzi o współpasażerki. - Obróciła się, by popatrzeć na pozostałe koje. Na niższej, a więc lepszej, spoczywał frywolnie wyglądający błękitny kapelusz przyozdobiony jedwabnymi wstążkami i odpowiednimi piórami. A na górnej, jakby dla kontrastu, leżał różaniec.

Trudno było stwierdzić, na który z tych przedmiotów pani Purvis patrzyła z większą nienawiścią i odrazą.

- Ona jest zakonnica, Kate. Katoliczką - powiedziała pani Purvis, wskazując na różaniec. - Uczącą zakonnica.

Kiedy ta informacja spowodowała u Kate jedynie uprzejme skinienie głową, pani Purvis ciągnęła dalej:

- Katolicy łapią ich za młodu. Zwabiają ich do swoich szkół. Zabierają nam naszą trzodę. Daj mi dziecię, zanim ukończy siedem lat... - zacytowała jakiś wątpliwy autorytet i gniewnie potrząsnęła głową. - Twój ojciec wyjaśni ci, jakie kamienie rzucają katolicy na naszą skromną ścieżkę. Kamienie tak ostre jak kamienie jakichś pogan. Diabeł przybiera wiele postaci, Kate.

Czerwonobrazowe oczy powędrowały ku niższej koi naprzeciwko.

- Co się tyczy tej osoby! - wskazała na kapelusz. -Miałam okazję tylko na nią rzucić okiem. Ale żadna dama nie włożyłaby takiego kapelusza. Musimy robić, co w naszej mocy, by jej unikać.

A kiedy Kate rozglądała się z szeroko rozwartymi oczami po maleńkiej, dusznej kajucie, zastanawiając się, jak jakiegokolwiek unikanie będzie możliwe, pani Purvis jeszcze bardziej ją zdziwiła, kiedy wyszeptała ochryple:

- Oceniałam ją. Rzadko, jeśli kiedykolwiek, się mylę. Jest jedną z „floty połowowej”.

Widząc oczywiste zaskoczenie Kate, pani Purvis po raz pierwszy się uśmiechnęła. Wyglądała znacznie młodziej, kiedy się uśmiechała, i chociaż miała duże i nieregularne zęby, przypominające łuskane, połamane migdały, właśnie ich nieregularność nadawała jej uśmiechowi ludzki charakter, kiedy cała reszta zdawała się z determinacją temu zaprzeczać.

- Ach - zapytała triumfalnie - czyżbyś nigdy nie słyszała o flocie połowowej?

- Tylko na lekcjach geografii. Nigdy w odniesieniu do damy.

- Ona nie jest damą, dziecko. Pozbądź się całkowicie takiego mniemania! Flota połowowa to kobiety, zważ, nie damy, które płyną do dalekich zakątków Imperium, by złapać męża, którego nie udało im się złapać w domu.

- Och - Kate nie udało się wymyślić żadnej stosowniejszej odpowiedzi.

- Oczywiście nie tyczy to ciebie, moja droga. Ale kobieta, która... - Jej wyjaśnienia przerwało szybkie pukanie do drzwi, a zaraz potem otworzyły się one z rozmachem.

Otoczona chmurą fiołkowego olejku wpłynęła do środka kobieta, którą do niedawna Kate z pewnością uznałaby za naprawdę wielką damę. Złote włosy miała upięte na czubku małej głowy. Jej krągłą, przypominającą

kształtem klepsydrę figurę otulała jedwabna szata w dokładnie takim samym odcieniu co gorszący błękitny kapelusz. Jej oczy, okrągłe i jasne, obramowane czarnymi, ostrymi rzęsami, niczym u kosztownej lalki, były tego samego koloru. Nie były jednak tak pozbawione wyrazu jak oczy lalki. Płonęły w nich iskierki przebiegłości, a wokół dyskretnie uróżwionych ust widoczne były zmarszczki, które świadczyły o doświadczeniu i znajomości życia, jakich nie zdołały ukryć róż i puder.

- Powinna pani zapukać i zaczekać, panno Simpson. - Pani Purvis powstrzymała wejście nowo przybyłej. - Na pokładzie zawsze puka się i czeka. Mogłam być w dezabilu.

- Wówczas wszyscy mielibyśmy ubaw, prawda, Edith? - odparła beczelnie panna Simpson, mówiąc z akcentem, który, jak zgadywała Kate, był londyńskim cockneyem. Pani Purvis ze złością mlasnęła. Podniosła packę na muchy i zaczęła uderzać w wyimaginowane karaluchy na ścianach i na blatach szafek, oddychając ciężko z powstrzymywanego gniewu. Panna Simpson mrugnęła do Kate. Wtem na prawo od koi po lewej burcie pani Purvis wypatrzyła żywego karalucha, poruszającego się powoli i stanowiącego łatwy cel. Uderzyła go z taką siłą, że pękł jak dojrzały owoc, wypluwając krople czerwonego płynu niczym rozwodniona krew na koję panny Simpson i plamiąc rondo jej błękitnego kapelusza.

- Wstrętne, ohydne stworzenie! - krzyknęła pani Purvis, spoglądając z triumfem.

Panna Simpson chwyciła kapelusz wydając pełen bólu okrzyk.

- Ty podła su... - zaczęła, unosząc zaciśniętą pięść.

Zatrzymała się tuż przed szczęką pani Purvis i opuściła rękę. - Zważywszy na to, że spodziewasz się... - powiedziała - puszczę to w niepamięć.

Twarz pani Purvis stała się szkarłatna.



- Dama nigdy nie byłaby tak niedelikatna, by o tym wspominać!  
Dwie kobiety wymieniły spojrzenia źle skrywanej niechęci. Następnie panna Simpson wyzywająco włożyła na głowę kapelusz, jakby zdecydowana nie wyrzekać się go, i z pasją wyszła z kajuty.

- Ta Simpson - wyjaśniła pani Purvis cichym, pełnym nienawiści głosem - na pewno źle skończy. Zważ na moje słowa, Kate!

- Ta Purvis mnie nie lubi - szepnęła panna Simpson do Kate trzy godziny później, kiedy stały obok siebie, przyglądając się, jak przecinano ostatnie więzy łączące statek z portem. Wojskowa orkiestra grała teraz końcowe takty hymnu narodowego. Batalion Argyll i Sutherland Highlanders zaokrętował się już i stał na baczność, a ich oficerowie salutowali na pokładzie poniżej. Jeszcze niżej wciągano trapy. Wszędzie na balustrady napierały tłumy, ale nigdzie nie było widać ani śladu doktora Warrendera czy pani Purvis, która leżała na swojej koi wachając sole trzeźwiące.

- Tylko dlatego, że jestem od niej ładniejsza, uważa, że nie jestem damą. Nic o mnie nie wie, prawda?

- Nie. Nic. - Kate potrząsnęła głową. W ciągu ostatniej godziny panna Simpson zwierzyła się jej, że na imię ma Sophie lub Sophia, kiedy chciała zrobić wrażenie, że była modniarką i miała klientelę z wyższych sfer, ale właśnie wtedy, gdy postanowiła, że chce zobaczyć świat, sklep Browna z Rangawelli złożył jej ofertę, jakiej nie mogła odrzucić.

- Świat jest wielki, Kate - powiedziała sięgając chętnie do koszyków pełnych papierowych serpentyn, które roznosili stewardzi pokładowi - a ja widziałam tylko Brixton.

Nachyliła się niebezpiecznie ponad relingiem, by lepiej przyjrzeć się pasażerom z pokładu poniżej. Skończył się hymn narodowy. Żołnierze stali na spocznij i machali do swoich rodzin.

- Większość z nich wygląda na żonatych - westchnęła Sophie. - Biedaczyska, ciekawa jestem, ilu z nich wróci do domu.

Mniej więcej taka sama ponura myśl pojawiła się z pewnością w umysłach patrzących kobiet. Wielobarwne papierowe serpentyny rzucone ze statku na brzeg splątały się z tymi rzuconymi z brzegu na statek. Orkiestra zaczęła teraz grać „Rządź, Brytanio”. Dzieci wymachiwały brytyjskimi flagami, ale kobiety płakały.

- Ja nigdy nie płaczę - powiedziała Sophie z dezaprobatą. - Mężczyźni nie lubią kobiet, które pochlipują.

- Ja bym płakała - szepnęła Kate - gdyby .mój ojciec jechał na wojnę.

Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć, jak bym się czuła. Nigdy mojego nie widziałam na oczy. Umarł, kiedy byłem niemowlęciem. - Obróciła się, by spojrzeć na Kate z niepotrzebną agresywnością, jakby wyzywała ją do zakwestionowania prawdziwości tego oświadczenia. - Nie jestem bękartem, musisz wiedzieć.

Kate potrząsnęła głową z zapalem, ale bez zrozumienia.

- Ale rzeczywiście byłem jedynaczką. Byłyśmy tylko moja mama i ja, no i moi wujkowie.

- Szczęśliwa byłaś, że miałaś wujków.

- Szczęśliwa? Szczęśliwa? - Panna Simpson spojrzała na nią z litościwym niedowierzaniem, otworzyła usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale powstrzymała się. Po chwili ciągnęła dalej: - Najgorszy był wuj Mick. Był marynarzem. Irlandczykiem. Wywiesiłabym flagę, gdyby szedł na wojnę. Ale to nie dla niego. Jego zabiła woda. Przysięgam i oświadczyłam, że ucieknę, jeżeli jeszcze

raz mnie tknie. I zrobił to, więc zwiałam. Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Zostałam czeladniczką u modniarki.

Przerwała na chwilę. Jej uwagę przykuło kilku elegancko ubranych pasażerów pierwszej klasy, którzy wyszli na swój pokład spacerowy tuż nad nimi i trochę z boku od miejsca, gdzie stały.

- Miała takich eleganckich klientów jak oni, a może jeszcze bardziej. Była poczciwa. Pozwoliła mi spać w pracowni. Prawdziwa dama, zawsze to mówiłam. Nie jak ta pani Zarozumiała Edith Purvis. - Twarz Sophie spochmurniała. - Czy widziałaś, że spodziewa się dziecka? I to w jej wieku! Nie uważam, żeby to przystoiło damie, na pewno nie.

- Ile ma lat?

- Trzydzieści osiem, jak nic. Moim zdaniem, to ohydne.

- Ile ty masz lat?

- To niegrzeczne pytać o wiek - odparła Sophie surowo. - Naprawdę. Ale skoro zapytałaś, a ja cię lubię - zamrugła oczami - to ci powiem. Mam prawie trzydzieści. No, jak teraz o tym myślę, to może kilka więcej. - I dodała tym samym tchem: - Czy uważasz, że nadal jestem ładna?

- Tak, bardzo - odparła Kate zgodnie z prawdą. - Nigdy nie widziałam nikogo ładniejszego.

Sophie rozpromieniła się z radości.

- Więc któregoś dnia pomogę ci stać się całkiem ładną kobietą - zaczęła obiecywać, kiedy jej głos utonął w nagłym ogłuszającym dźwięku syreny statku. Cumy zsunęły się z kabestanów, zabrzęczały dzwony, pod ich butami wibrowały silniki wzmagające obroty, woda się wzburzyła. Kiedy zamarły ostatnie echa syreny statku, odbite od przepastnych składów i szop, zza płaczących kobiet wyłonił się samotny kobziarz, niczym ostateczne ucieleśnienie ich bólu. Poprzez stalowoszare wody,

otwierające się pomiędzy burtami statku a nabrzeżem, wzmagane lub uciszane przez mokry wiatr, dochodziły smutne nuty „Leśnych kwiatów”.

Ze łzami w oczach Kate rzuciła ku nabrzeżu serpentynę, ostatni kontakt z brzegiem. Serpentina jednak do brzegu nie dotarła. Tylko Sophie miała suche oczy.

- Czy wcale nie jest ci smutno? - zapytała Kate myśląc z tęsknotą o Megan i solidnym domu przy Vernon Close. - Czy nie będzie ci brakować przyjaciół i domu?

- Dom jest tam, gdzie jest serce - zaśmiała się głośno i wesoło Sophie. Odwróciła twarz od brzegu i popatrzyła na grupę pasażerów pierwszej klasy. Dołączył do nich płowłosy mężczyzna z zabójczym, nawoskowanym wąsem, który z zainteresowaniem przyglądał się obu dziewczętom. Głośny śmiech Sophie wyraźnie do niego dobiegł. Uśmiechnął się ciepło w odpowiedzi.

Zachęcona tym Sophie zaczęła okręcać na palcu wskazującym zieloną papierową serpentynę. Śmiejąc się nadal, wpatrzona w wąsatego dżentelmena, wycelowała. Z dokładnością równie dobrą jak ta, z jaką ojciec Kate rzucał wędkę w wody rzeki Aire, Sophie rzuciła swoją zieloną serpentynę.

Owinęła się gładko wokół szyi dżentelmena.

### Rozdział III

Reszta dnia upłynęła Kate na kalejdoskopowym wirze przeróżnych wrażeń. Szum fali dziobowej, kiedy „Księżniczka Orientu” płynęła konsekwentnie na południe, zapach węgla i lin, słonego morza, muzyka niemieckiej orkiestry w salonie, grającej Wesołą wdówkę, ostry dźwięk rogu wzywający na kolację, dostojny odgłos kroków pasażerów schodzących ozdobną klatką schodową do jadalni drugiej klasy - wszystko to było zarówno ekscytujące jak i przerażające dla dziewczyny, której życie do tej pory wyznaczały szkoła, akademia tańca i sporadyczne wyjazdy na wrzosowiska.

Zobaczyła, jak doktor Warrender przywołuje ją do stolika na drugim końcu sali, przy którym siedziały już pani Purvis i zakonnica.

- Tutaj właśnie będziesz spożywać posiłki, Kate - powiedział jej. - Obawiam się, że będę zbyt zajęty, by często z wami jadać. Ale będziesz w dobrym towarzystwie z panią Purvis i siostrą Józefą.

Zakonnica enigmatycznie skinęła głową.

- Będzie z nami całkowicie bezpieczna. - Pani Purvis z grymasem wytarła usta i popatrzyła poprzez salę do rozbawionego już stolika, przy którym siedziała Sophie Simpson w towarzystwie trzech oficerów ze statku. - Tak mi ulżyło. Ta osoba... niestety, czwarta

lokatorka naszej kajuty, doktorze Warrender, nie siedzi razem z nami przy stole.

Doktor Warrender spojrział przelotnie na Sophie, nic jednak nie powiedział, kiedy Samuel kładł przed każdym z nich talerz zimnego mięsa.

- On jest także naszym stewardem kajutowym -powiedziała pani Purvis. - Chrześcijanin... Protestant, chociaż jeszcze nie został ochrzczony.

- Dobrze się pani czuje, pani Purvis?

- Znośnie, doktorze. - Podniosła głos. - Doktor nadzoruje szpitale w dystrykcie Rangawella, gdzie mój mąż jest kapłanem, siostró Józefo.

Zakonnica nadal kiwała głową.

- A ojciec panny Hartnell jest także medycznym misjonarzem. - Pani Purvis wykrzykiwała wolno te słowa do zakonnicy, jakby ta była głuchą, cudzoziemką i imbecylem. - My wszyscy pracujemy dla Prawdziwej Wiary.

Warrender spuścił wzrok, a zakonnica uśmiechnęła się smutno. Przez resztę posiłku pani Purvis i doktor musieli podtrzymywać rozmowę.

- Nie skończysz mięsa, Kate?

- Nie jestem głodna, doktorze Warrender.

- Kiedy ja byłam w twoim wieku, młoda damo -zauważyła pani Purvis - zawsze musiałam zjadać do końca kolację, gdyż w przeciwnym razie podano by mi ją zamiast śniadania.

- Ona jest zmęczona - prawda, Kate?

- Trochę, doktorze Warrender.

- Dlaczego nie pójdziesz dokończyć rozpakowywania się, weźmiesz gorącą słoną kąpiel i położysz się z dobrą książką?

- Nie zabrałam ze sobą żadnej książki.

- Pożycz tę, która leży na mojej koi.

- Dziękuję, pani Purvis.

- I przeczytaj list świętego Pawła do Koryntian.

Kate ucieszyła się, że może uciec. W jadalni było gorąco, a ona marzyła, by jeszcze raz spojrzeć na brzeg, zanim będzie za późno. Zaczęła ją ogarniać tęsknota za domem. Brak jej było Megan, domu przy Vernon Close i węglowego zapachu Leeds. Nie chciała płynąć na Cejlon. Było coś złowrogiego w tym statku, który ją unosił. Na zewnątrz na pokładzie czarny pas wokół pojedynczego różowego komina podkreślał jej smutek, gdyż zdołała jedynie dostrzec szarą skałę znikającą w wieczornej mgle.

Przynajmniej w kajucie nikogo nie było. Korzystając z samotności umyła twarz i zęby, rozebrała się i włożyła flanelową koszulę nocną, wdrapała się na swoją koję i z ulgą zaciągnęła zasłony.

Zamknęła oczy i zaczęła odmawiać pacierz. Odosobnione miejsce, w którym leżała, nagle przypomniało jej dziecinne łóżeczko, nad którym pochylała się jej matka, i to właśnie tę modlitwę, którą ona odmawiała, zaczęła teraz szeptać: „Aniele Boży, strózu mój...”

Poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy i opadają na poduszkę. Nie chcę płynąć na Cejlon. Nienawidzę doktora Warrendera. Przyniósł mi tylko smutek i zmartwienie, a gorsze jeszcze nadzieje.

Zacisnęła palce, aż paznokcie wbiły się jej w dłonie, wsłuchując się w odgłos maszyn, które powtarzały słowa: nienawidzę go, nienawidzę go, każdy dźwięk, każda wibracja zabierała ją coraz dalej w kierunku nieznanej, groźnej wyspy, która zabiła jej matkę.

Nie wiedziała, jak długo tak leżała. Usłyszała, jak drzwi dwukrotnie się otwierają, kroki wchodzących, szeleści ubrań, otwieranie drzwi szafki, a potem z koi pani Purvis poniżej rozległ się potężny odgłos chrapania.

Znacznie później drzwi otworzyły się ponownie. Usłyszała szelest, zduszony chichot, nucenie piosenki „Wiem, że mi<sup>ie</sup> kocha, ponieważ tak mówi”, a następnie zasłony

przy koi Sophie poniżej również zaciągnięto, a ona sama rzuciła się na materac, co spowodowało, że dwupiętrowa koja drgnęła i jęknęła.

Minuty przeszły w godziny. Nigdy już nie zasnę, pomyślała Kate. Będę tu już tak leżeć na zawsze, wsłuchując się w smutny odgłos morza, uderzającego w stalowe poszycie burt.

- Panno Simpson!

Ten krzyk przeszył uszy Kate i sprawił, że zbudziła się natychmiast. Pospiesznie odsunęła zasłony i wyglądając na zewnątrz zobaczyła kształtne białe ciało nagiej kobiety nachylone nad miednicą, opartą na parze różowych jedwabnych pantofli.

- O co chodzi, Edith? Ugryzł cię karaluch?

- Panno Simpson, jesteśmy oburzone.

Ciało wyprostowało się. Głowa z zawiązanymi na czubku złotymi włosami odwróciła się i ukazała się różowa i uśmiechnięta twarz.

- Przypominasz mi królową Wiktorię.

- Jak możesz stać tak w całym wstydzie...

- Moim wstydzie? Jeżeli Bóg mógł mnie posłać tak na świat, to nie wiem, czego mam się wstydzić... przecież wszystkie jesteśmy dziewczynami, i tylko ty się podniecasz.

- Włóż coś na siebie, ty dziewczko!

- Jeżeli nie podoba ci to, co widzisz, to nie musisz patrzeć.

- Jesteś obrazą dla rodzaju kobiecego.

- Nie denerwuj się, Edith! Ty i Bóg wyprodukujeć coś podobnego, tylko mniejsze. Chyba, że będziesz mieć chłopca, a wówczas...

Usłyszała, jak pani Purvis łapie gwałtownie powietrze, a następnie równie gwałtownie zaciąga zasłony. Potem rozległ się głośny śmiech. Wtedy duże niebieskie oczy spotkały się z jej oczami.



- Cześć, kochanie. Czy awantura pani Purvis cię obudziła?

Oniemiała Kate po prostu patrzyła na Sophie.

- Głupia kobieta, wydaje się jej, że jest Dziewicą Maryją. Kate patrzyła, jak biały kształt wślizguje się w koszulę, a następnie w niebieskie, jedwabne pantalone.

- Dobrze spałaś?

- Tak, dziękuję.

- To kłamstwo. Nie spałaś, kiedy weszłam. - Na jej ładnej twarzy pojawił się uśmiezek opiekuńczej życzliwości. - Zerknęłam pod twoje zasłony. Nie spałaś. No, a przy tym chrapaniu pani P., które mogłoby zbudzić umarłego...

Następne słowa panny Simpson zagłuszyła sukni z niebieskiej tafty, którą wciągała przez głowę.

- Cóż, obejdę pokład sześć razy przed śniadaniem. Nie chciałabym jeszcze bardziej obrażać czyjejs wrażliwości swoją obecnością, kiedy następna dama będzie okrywać swą nagość. Pa, kochanie. Do zobaczenia w jadalni.

Otworzyła drzwi kajuty.

Nastąpiło pięć minut ciszy, przerywanej jedynie przez syczący odgłos oburzonego oddechu pani Purvis. Potem rozsunęły się zasłony przy przeciwległej koi. Siostra Józefa, zakryta od stóp do głów w coś na kształt czarnego owerolu, wyskoczyła, zabrała z szafki swój habit i kornet, nałożyła filcowe pantofle i bezgłośnie wyruszyła do łazienek na końcu korytarza.

Z koi poniżej rozległy się szelesty, podskoki i poruszyły się zasłony. Potem nagle, jakby stanowiło to część pokazu prestigitatora, wyłoniła się pani Purvis całkowicie ubrana.

- Teraz możesz się ubrać, Kate, w przyzwoitej prywatności - powiedziała. - Ale zamknij drzwi na klucz... Ci kolorowi stewardzi wszyscy są podglądaczami.

Ta pantomima z ubieraniem i rozbieraniem trwała przez następne dwa dni. Kate zawsze schodziła do

kajuty tuż po kolacji. Godzinę później przychodziła zakonnica, a godzinę potem pani Purvis. Kate nie wiedziała, o której godzinie przychodziła Sophie, ale musiało 'to być późno, bo zawsze już spała. Jednakże zawsze pierwsza wstawała rano nucąc i myjąc się starannie w miednicy, podczas gdy zasłony przy pozostałych trzech kojach pozostały szczelnie zasłonięte i nikt nie odzywał się ani słowem.

A potem, trzeciego dnia po wyruszeniu z Liverpoolu, wpłynęli do Zatoki Biskajskiej. Kate słyszała o potwornościach "Zatoki", jak ją nazywano w przyciszonych szeptach, ale rzeczywistość okazała się dużo gorsza. Zachodnie wichury szalejące po Atlantyku uderzając w „Księżniczkę” omal jej nie przewróciły. Tego ranka zamiast obudzić się słysząc szelest sukni Sophie i nucenie miłosnej piosenki, Kate została zrzucona z wyższej koi i wylądowała z łomotem na pokrytej linoleum podłodze.

Podniosła się. Bolało ją prawe ramię, ale to było nic w porównaniu z potwornymi wybuchami, jakie miały miejsce w jej żołądku. Przycisnęła dłonie do ust i, ubrana tylko w koszulę nocną, pobięła korytarzem do łazienki i gwałtownie zwymiotowała.

Włokąc się z trudem z powrotem do kajuty, rzucana od jednej ściany do drugiej, prawie zderzyła się z poźółkłą na twarzy Edith Purvis w niebieskim szlafroku, za którą podążała zakonnica w swym czarnym owerolu. Z wdzięcznością Kate padła na swoją koję, po to tylko, by dwie minuty później znowu biec korytarzem.

Tak było przez całe dwa dni. Tylko Sophie zachowywała się tak, jakby nic się nie działo. Zabiegany doktor Warrender pojawił się na moment i zostawił im butelkę brandy, która miała uspokoić ich żołądki, a której ani pani Purvis, ani zakonnica nie chciały tknąć, i która omal nie zadławiła Kate. Samuel gdzieś się skrył i to Sophie została stewardem, pielęgniarką i pocieszycielką

wszystkich trzech, próbując je nakłonić do zjedzenia sucharków i wypicia herbaty, które przynosiła, i namawiając je do wstania i wyjścia na pokład dla zaczerpnięcia świeżego powietrza: - Poczujecie się o wiele lepiej.

Po południu drugiego dnia, chociaż statek nadal się kołysał, Kate poczuła się na tyle lepiej, że postanowiła zastosować się do jej rady. Ubrała się, przeszła korytarzem i weszła po schodach.

Miała wrażenie, że znalazła się na statku-widmie. Nikogo nie zobaczyła. Do jej uszu dobiegało jedynie skrzypienie podpór pokładowych i gwizd wiatru. Z opuszczoną głową i przytrzymując się relingu, szła wzdłuż pokładu, od razu czując się lepiej.

W przeciwnym końcu, ustawione w zacisznym kącie zobaczyła nagle dwa leżaki, a ponad jednym z nich wystawała jasnowłosa głowa.

- Cóż, skorzystałam z twojej rady.

Z wdzięcznością opadła na drugi leżak. Sophie odwróciła głowę. Ale spojrzenie, jakie rzuciła Kate, wcale nie było zapraszające.

- To dla mojego przyjaciela, moja droga. Kate natychmiast się podniosła.

- Och, przepraszam.

- Cieszę się, że masz się lepiej, kochanie.

Czując się, jakby została odprawiona, Kate zeszła do salonu i zaczęła przeglądać jakieś stare czasopisma, zastanawiając się, kim może być przyjaciel Sophie. Jasne było, że poznała kogoś miłego, może dżentelmena.

Pozostali również poczuli się lepiej. Salon zapełnił się. W czasie kolacji jadalnia była więcej niż w połowie pełna. W odległym końcu Sophie siedziała z rudowłosym mężczyzną o wywoskowanych wąsach, którego złapała niczym na łąso papierową serpentyną. Kiedy Kate usiadła przy swoim stoliku, podniosła małą białą dłoń i pomachała do niej.

Pani Purvis weszła, kiedy Kate była w połowie posiłku, a wkrótce potem przyłączył się do nich doktor Warrender. Uśmiechnął się:

- Cieszę się, że obie panie czujecie się lepiej.

Pani Purvis jednak nie była skłonna rozmawiać o ich samopoczuciu. Para w rogu przyciągnęła jej wzrok.

- Czy widzi pan, kogo ja widzę? Warrender odwrócił głowę.

- Pannę Simpson?

- Mężczyznę z nią, doktorze. Warrender odparł po chwili milczenia:

- Ach, tak.

- To George Hardwicke.

- Tak.

- Ten łotr, który odziedziczył plantację herbaty Blue Mountain, kiedy zmarł jego brat.

Warrender wzruszył ramionami.

- Właściwie go nie znam.

- Podróżuje pierwszą klasą. Nie ma prawa tu przebywać. Warrender nie dawał się zainteresować.

- Podejrzewam, że jedzenie tam jest znacznie droższe niż tutaj, a on za nie zapłacił.

- Pojechał na urop tuż przede mną. - Pochyliła się nad stołem. - Wiemy po co, prawda?

- Nie wydaje mi się, żebym miał najmniejsze o tym pojęcie, Edith.

- Ale każdy w Rangawelli zna jego reputację. - Jej głos zniżył się do cichego szeptu. - Zmęczył się... - Zawstydzona surowym spojrzeniem doktora Warrendera Edith nie powiedziała już, czym się zmęczył pan Hardwicke. Znacząco odchrząknęła.

Warrender zaczął ze skupieniem kroić szynkę.

- Od lat utrzymywał się dzięki funduszom przesyłanym z domu, a teraz, kiedy odziedziczył te pieniądze - szept stał się ledwie słyszalny - chciał zapewne...

- Ponownie zimne spojrzenie doktora Warrendera zatrzymało ją w pół zdania.

Następnie rzucił pełne obawy spojrzenie na Kate, ale widząc, że skupiła uwagę na jedzeniu, zmienił temat rozmowy, mówiąc o niedoli żołnierzy, stłoczonych pod pokładem.

- Powinnaś teraz odpocząć, Edith - powiedział stanowczo, kiedy skończyli posiłek. - Czy chcesz, bym cię odprowadził do kajuty?

Kate poszła za nimi. Pani Purvis zakopała się na swojej koi i zaciągnęła zasłony. Hałaśliwe sprężyny wskazywały, że rozpoczęło się rozbieranie. Kate zerknęła za zasłony siostry Józefy, ale widząc, że ta nadal śpi, poszła się wykąpać przed pójściem spać.

Nie było śladu Sophie. Przez wiele godzin Kate leżała nie śpiąc, ale jedynymi dźwiękami, jakie do niej dochodziły, był milknący sztorm i chrapanie pani Purvis.

Musiała już być północ, kiedy cicho otworzyły się drzwi. Kate usłyszała stukot butów na wysokich obcasach i szelest sukni Sophie. Potem nastąpiła chwila ciszy. Potem jeszcze jedne kroki - tym razem cięższe. Cichy chichot, Sophie mówiącą "Szal", i po odsłonięciu zasłon na koi poniżej nastąpiły dwa uderzenia, kiedy dwa ciała opadły na materac.

Zasłony ponownie zaciągnięto. Rozległy się szmery i koja poniżej zaczęła wibrować. Kate położyła na głowie poduszkę, próbując nie słyszeć szeptów, odgłosów całowania, cichego pisku. Wkrótce dźwięki ucichły i stały się lekkim oddechem na tle chrapania pani Purvis.

Pół godziny później Kate usłyszała, jak zasłony poniżej "ostrożnie się rozsuwają, a następnie dobiegł ją cichy stukot stóp odzianych jedynie w skarpetki. Usiadła, kiedy ktoś wpadł na koję. Drzwi otwarły się ze skrzypieniem. Przez chwilę światło z korytarza wpadło do kajuty, kiedy mężczyzna o rudych włosach z niej po cichu wychodził.

## Rozdział IV

Kate obudziła się, kiedy przez iluminator wpadały promienie słońca. Pani Purvis nadal chrapała. Koją siostry Józefy była pusta, a zasłony przy koi Sophie jeszcze zaciągnięte. Kate zebrała swoje ubranie, ześlizgnęła na teraz już stabilną podłogę i pospieszyła do łazienki. Długo leżała, śmiało naga, w słonej wodzie, potem ubrała się i poszła prosto do jadalni na śniadanie. Jeszcze nie wiedziała, co oznacza ubiegła noc, ale odczuwała potrzebę unikania Sophie.

Sophie jednak wesoło weszła do jadalni, kiedy Kate, siedząc samotnie przy ich stoliku, zjadła już pół miseczki owsianki.

- Nie powinnaś tego jeść - powiedziała, poklepując Kate po ramieniu. - Rozgrzewa krew. Dostaje się od tego wyprysków. Mężczyznom nie podobają się dziewczyny z wypryskami. - Osunęła się na krzesło naprzeciwko Kate, a kiedy ta wyglądała na zakłopotaną, powiedziała: - W porządku, nie przejmuj się. Edith Purvis zamówiła śniadanie do kajuty. Nadal nie czuje się najlepiej. - Sophie przeciągnęła się rozkosznie. Ubrana była w ładną falbaniastą sukienkę z żółtej bawełny. - A jeśli chodzi o pogodę, to teraz jest przyjemniej, co?

Kate skinęła głową.

- Jesteś dziś rano bardzo cicha, kochanie. Kot zjadł ci język? Czy też... - jej oczy stały się przebiegłe i trochę zaniepokojone - nie spałaś dobrze?

Wszystkomówiący rumieniec rozplómił skórę Kate. - Dobrze spałam - skłamała stanowczo, ale jej przejrzyste ucziwe oczy unikały oczu przyjaciółki.

Sophie wzięła pomarańczę i powoli ją obierała - Mam nadzieję, że nie przeszkodził ci mój miły przyjaciel, Kate?

- Twój przyjaciel?

- Tak, kochanie. - Podzieliła pomarańczę na cząstki i jedną z nich ssła delikatnie. - Mój miły przyjaciel dżentelmen. Ten bardzo przystojny facet z pierwszej klasy. Odprowadził mnie do kajuty. Taki był uważający. Potem wszedł do środka, by się upewnić, czy nie ma karaluchów.

- Karaluchów?

- Tak, kochanie. Karaluchów. Musisz przyznać, że robią się coraz dokuczliwsze. A wiesz, że ich nie znoszę. - Otrząsnęła się, potem połknęła kawałek pomarańczy i spojrzała na Kate badawczo.

- Złapał jakiegoś? - zapytała Kate, a jej rumieniec się pogłębił.

- Jednego czy dwa. - Sophie przerwała na chwilę i szeroko otworzyła oczy. - Nie przeszkadzało ci to, prawda?

- Och, nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miało mi przeszkadzać? - Kate odsunęła na bok talerz z owsianką. - Chodzi tylko o to... - ciągnęła z wahaniem - że pani Purvis to by się chyba nie spodobało. To, że twój przyjaciel wszedł do kajuty. To znaczy, gdyby się obudziła.

Sophie roześmiała się.

- Ale się nie obudziła. Po tych kroplach, które jej dał doktor Warrender, śpi jak kamień.

Kate rozchmurzyła się.

- A Edith także nie znosi karaluchów, prawda? - drążyła dalej Sophie.

Kate uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Wyglądało na to, że poczuła ulgę. W tym właśnie momencie kilka rzeczy stało się dla Sophie jasne. Pierwszą było to, że Kate prawie w całości uwierzyła w jej wyjaśnienia. Druga rzecz wypływała z tego naturalnie, a mianowicie, że Kate boleśnie i niebezpiecznie nic nie wie o życiu, mniej niż ona w wieku ośmiu lat, a co dopiero kiedy miała osiemnaście, co może spowodować, że któregoś dnia znajdzie się na łasce pozbawionych skrupułów mężczyzn, i że nie ma nikogo w pobliżu, z wyjątkiem samej Sophie, kto zająłby się zaniedbaną edukacją Kate.

Połknąwszy ostatni kawałek pomarańczy, pochyliła się nad stołem i ujęła dłoń Kate.

- Mówiąc o pani Purvis - powiedziała - i tym okropnym małym bachorze, którego będzie miała, czy wiesz, skąd go będzie miała?

Kate spojrzała na nią zaskoczona.

- Ależ oczywiście. A ty nie?

Sophie roześmiała się. Nie swym zwykłym gardłowym śmiechem, ale wymuszonym, opanowanym, odpowiednim dla damy śmiechem.

- Och, tak, dobrze wiem. - Przerwała, kiedy Kate spojrzała na nią z autentycznym zdziwieniem. Potem Sophie ciągnęła dalej. - No jak, Kate? Jak do tego doszło?

Kate zmarszczyła czoło.

- Jak? Kiedy wyszła za mąż za wielebnego Purvisa, tak właśnie.

- Mów dalej.

Kate wzruszyła ramionami.

- To wszystko.

- Niczego innego nie musieli zrobić?

- Tak, musieli.

- Co?



- Modlić się. - Kate zarumieniła się na widok nagłego grymasu rozbawienia, który wykrzywił usta Sophie. - Pani Purvis mi powiedziała - ciągnęła Kate - że od lat modlili się o to dziecko.

- Cóż, jeżeli to wszystko, co robili - roześmiała się Sophie - to nic dziwnego, że tyle to trwało. - Zasłoniła usta dłonią i ze skruchą zamrugła oczami. - Nie. Nie powinnam była tego mówić. Ale jest jeszcze coś, kotku.

- Muszą się kochać? - zasugerowała Kate.

- Tak, ale jak?

Kate wzruszyła ramionami.

- Czy twoja mama albo ta Megan ci nie powiedziały?

- Nie.

- Czy twoja mama i tata spali w tym samym pokoju?

- Tak.

- W tym samym łóżku?

- Tak.

- Czy widziałaś kiedy swojego tatę bez ubrania? Kate zarumieniła się z oburzenia.

- Oczywiście, że nie! Nigdy! Ja... - Nie dodała, że nigdy nie widziała całkiem nagiej osoby, dopóki nie zobaczyła samej Sophie.

- Więc nie wiesz, jak wygląda ciało mężczyzny.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Cóż, nie musisz być taka oburzona. Powinnaś wiedzieć, jak wygląda mężczyzna. Niektórzy mężczyźni mają piękne ciała. I nie wiesz, skąd przychodzi nasienie dziecka?

- Od Boga?

Sophie potrząsnęła głową.

- Tylko w bardzo, bardzo określony sposób. - Westchnęła. - Wiesz, skąd rodzi się dziecko? Z jakiej części jego mamy?

Kate skinęła głową.

- Wydaje mi się, że tak - odparła tym razem pewnie. - Tak, jestem pewna, że wiem. Z pępka kobiety.

Tym razem Sophie zasłoniła twarz rękoma. Kiedy je opuściła, powiedziała poważnie:

- Słuchaj, kochanie, lepiej porozmawiajmy. Chodźmy na pokład. Powiem ci, jak ludzie robią dzieci od samego początku do końca.

Kate przyjęła tę informację w zaszokowanym milczeniu. By uprzyjemnić lekcję, Sophie zakończyła ją krótkim wykładem na temat tego, jak dziewczyna może uczynić się bardziej atrakcyjną dla mężczyzn.

- Chyba nie chcę tego wiedzieć - powiedziała początkowo Kate.

Ale kiedy dni mijały, Sophie rozgrzewała się coraz bardziej w swoim instruktazu, a Kate zaczęło się podobać uczucie, że z brzydkiego kaczątka zmienia się w łabędzia. Lubiła, kiedy Sophie czesała jej włosy, i lubiła eksperymentować z szerokim asortymentem należących do Sophie kremów do twarzy i olejków do ciała, farb i perfum. Nauczyła się, jak zwilżać cienkie listki *papier poudre*, a nawet nakładać odrobinę karminu na usta.

- Gdybyś miała trochę więcej z przodu i z tyłu, to pożyczylabym ci którąś z moich sukien - powiedziała Sophie patrząc na zwykłą białą bawełnianą bluzkę i szarą spódnicę Kate. - A teraz przyjrzyjmy się twoim innym ubraniom.

Jedno po drugim Kate wyjęła z przydzielonego jej miejsca w szafce swoje ubrania i rozłożyła je na koi. Sophie przyjrzała się im krytycznie.

- Szare bawełniane spódnice, białe bawełniane bluzki. Jedna lub dwie kretonowe sukienki. Jedna z zielonego lnu. Trzy fartuchy. Prawdziwa kwakerska dziewczyna, nie? - Sophie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. - I nigdzie ani odrobiny koronki.

- Megan nie pochwałała koronek.

- Gospodyni? A co ona miała do tego?

- Wiele. Ona wszystko kupowała, a nie miałyśmy za dużo pieniędzy.
  - Ale koronka za parę groszy może uczynić cuda.
  - Sophie sięgnęła do swojej części szafki, wyciągnęła pudełko z przyborami do szycia, nawlokła igłę, ucięła kawałek koronki ze szpulki. Ponownie spojrzała na sukienki. - Ta zielona jest najlepsza. No, kawałek koronki przy szyi i sama się nie poznasz. - Zaczęła szyc szybkimi, zręcznymi palcami, odgryzając nitkę zębami.
  - No, proszę. Przytrzymaj przy sobie. Do licha, naprawdę dobrze wygląda. A może jakaś biżuteria?
  - Och, nie! Ojciec nie pochwała noszenia biżuterii. Sophie cmoknęła.
  - Jaka szkoda. Co za strata. Mój przyjaciel powiada, że Cejlon jest krainą klejnotów. Widzę, że będę musiała także twojemu ojcu powiedzieć to i owo. Nieważne, mój przyjaciel mówi, że możemy kupić jakieś błyskotki w Gibraltarze. Hiszpanie przyplływają na pokład i sprzedają różne ładne rzeczy. Podplływają do statków na małych łódkach. A ładnej dziewczynie tanio sprzedają! Musimy ich dobrze wypatrywać.
  - Oto i są, Kate.
- Sophie wskazała przez iluminator. Z porannej bryzy wyłaniała się flotylla jaskrawokolorowych małych łódek i po lazurowym morzu zmierzała w kierunku „Księżniczki Orientu”.
- Kate i Sophie pobiegły razem wzdłuż korytarza i wbiegły na pokład, teraz zaludniony wesołym tłumem. Niemiecka orkiestra grała „Rządź, Brytanio” kiedy mijali rząd za rządem szarych okrętów wojennych i płynęli w kierunku ogromnego niewyraźnego kształtu przypominającego lwa.
- Te okręty zmierzają do Kapsztadu - powiedział mały łysy pasażer, który zdawał się wszystko wiedzieć.

„Księżniczka Orientu" włączyła syrenę.

- Hurra dla Skały Gibraltaru! - krzyknął wszystkowiedzący pasażer.  
- Trzykroć hurra dla Marynarki Brytyjskiej!

- Machaj, Kate! Machaj! - powiedziała pani Purvis, teraz całkiem już wyleczona z tego, co nazywała *mai de mer*. - W tych okolicznościach przystoi to damie. Skała jest symbolem największego imperium na świecie. A złodziejscy Hiszpanie mają czelność kwestionować naszą nad nią władzę. A co się tyczy tchórzliwych Burów, którzy nas atakują - Pani Purvis wzniosła oczy do nieba - zemsta będzie Twoja, Panie!

Jednakże to nie Skały chcieli Hiszpanie od Brytyjczyków, ale ich pieniędzy. Podpłynęli do burty i wspinali się po linach ze zwinnością małp, wciągając za sobą wielkie, kołyszące się kosze pełne wszelakiego dobra. Kiedy znaleźli się na pokładzie drugiej klasy, rozłożyli na nim winogrona, pomarańcze i figi, perłowe i złoczone wachlarze, szylkretowe grzebienie, pamiątki, błyskotki, naszyjniki i bransoletki.

Nie wzruszona przez patriotyczny pokaz Sophie odeszła od relingu, by się im przyjrzeć. Podniosła czarną mantylkę i włożyła ją na jasną głowę, spojrziała na swoje odbicie w iluminatorze, zdecydowała, że nie wygląda dobrze i odłożyła ją. Kiedy nadeszły Kate i pani Purvis, targowała się właśnie o małą kopię toledańskiej szpady, pięknie ornamentowanej i z długim stalowym ostrzem.

- Cóż to pani kupuje, panno Simpson?

- A, taki drobiazg.

Pani Purvis z pogardą obejrzała miniaturową szpadę.

- A po coż pani coś takiego?

- Dołączę to do moich pamiątek. Pani Purvis pociągnęła nosem.

- Nie marnuj pieniędzy na takie rzeczy - poradziła Kate. - Warto jedynie kupować owoce. Musisz je jednak dokładnie umyć. Hiszpanie są strasznie niehigieniczną rasą.

Przeszła dalej wzdłuż pokładu w kierunku wielkiego stosu fig i moreli, oświadczając, że dostała ogromnej chęci na świeże rzeczy i zostawiając Sophie i Kate przy wystawie błyskotek i biżuterii.

Sophie pokazała na małą filigranową bransoletkę inkrustowaną zielonymi kamieniami.

- To jest ładne. Kate przytaknęła.

- I te kamienie pasują do twojej sukienki.

- Tak uważasz?

- Jestem pewna. Dlaczego jej nie kupisz?

- Myślę, że chyba nie...

W następnej chwili Sophie targowała się o bransoletkę. Mimo protestów Kate w ciągu minuty zapinała ją już na przegubie Kate.

- Och, Sophie, nie powinnaś była tego robić.

- Cała przyjemność po mojej stronie, jak powiedział biskup do aktorki.

- Zapłacę ci za nią, nalegam...

- Nic takiego nie zrobisz. Ładnie na tobie wygląda. Kate, myśląc, że nigdy nie miała nic równie ładnego,

stała zachwycona, kiedy wróciła pani Purvis, obładowana owocami.

- A coż to masz na przegubie, Kate? - Pani Purvis podniosła ze wzgardą bransoletkę czubkami palców. - Cóż cię napadło, żeby kupować tak okropnie pospolitą tandetę?

- Nie jest okropnie pospolita. - Niebieskie oczy Sophie zabłysły. - Nie kupiła jej, ja jej dałam w prezencie.

A następnie podnosząc małą toledańską szpadę, którą trzymała w dłoni, mocno uderzyła jej ostrzem, ułożonym na płask, po grubych kłykciach pani Purvis.

Pani Purvis cofnęła lewą rękę, jakby ją ugryzł wąż.

- Uderzyłaś mnie!

- Zrobiłam to, co twój mąż powinien był zrobić dawno temu!

Fioletowa z wściekłości pani Purvis podniosła nie zranioną prawą dłoń. Jedyne przez chwilę wydawało się, że dojdzie do rzeczy niewyobrażalnej i dwie damy wielkiego Imperium Brytyjskiego zaczną ze sobą walczyć na oczach złodziejskiego hiszpańskiego motłochu. Następnie pani Purvis opuściła rękę i masując obolałe kłykcie, zaczęła z godnością sunąć w kierunku schodów, rzucając ponad ramieniem ostatnie słowa:

- Nie ośmiel się nawet mnie dotknąć swoimi brudnymi rękami, ty dziewczko!

Jednakże tej samej nocy to ona sama oddała się pod dziwnie zręczną łagodność tychże „brudnych rąk”.

Przez chwilę pani Purvis i Sophie były same w kajucie. Pani Purvis oświadczyła właśnie przed chwilą, że cierpi na bóle głodowe i wysłała Kate do jadalni po kanapki z późnej kolacji, zawsze wystawiane o jedenastej. Sophie wpadła na krótko do kajuty po okrycie. Siostra Józefa przebywała z pasażerami na pokładzie dziobowym, z których wielu czuło się źle od czasu opuszczenia Gibraltaru.

- Jedzą za dużo owoców - oświadczyła pani Purvis wcześniej. - Niektórzy z tych ludzi nie znają znaczenia słowa dosyć.

Ona sama kupiła ogromną ilość winogron i fig i teraz, kiedy złapał ją ból, przytrzymała się ramienia Sophie i powiedziała twardo:

- Te owoce musiały być skażone. Nigdy nie wiadomo, gdzie były.

- Cóż, wkrótce się okaże, czy to owoce - wyszeptała Sophie pocieszająco, a spięcie spowodowane bransolet-

ką zostało zapomniane. - Moja mama zawsze mówiła... - Lecz to, co mówiła jej mama, zostało zagłuszone przez jęk niespodzianego bólu, kiedy pani Purvis zacisnęła palce z niemożliwą do zniesienia siłą na ramieniu Sophie, wbijając jej paznokcie głęboko w ciało.

- Bóle z powodu owoców? - powiedziała stanowczo Sophie. - To raczej bóle porodowe!

- Nie, to niemożliwe - jęczała Edith Purvis. - Nie, to nie mogą być bóle! To jeszcze nie mój czas! Och, Boże!

Zatoczyła się do tyłu na koję, obejmując brzuch. Krople potu wystąpiły jej na czoło. Jej twarz przybrała kolor żółtozielonej sukienki Sophie.

- Rozepnij suknię - rozkazała Sophie z nagłym autorytetem. - Tak, pozwól mi. Ja to zrobię. I rozwiążę też ten gorset. Nie, muszę. Nie martw się. Nie jesteś pierwszą kobietą, jaką widzę w czasie porodu.

- Nie, to niemożliwe. To nie poród - protestowała słabo pani Purvis. - Jeszcze dwa miesiące. To nie może być teraz.

I potem się stało. Pani Purvis zaczerpnęła powietrza i stęknęła, kiedy pękła błona z wodami płodowymi, zalewając koję i ściekając w kałużę na brązowe linoleum na podłodze. Pani Purvis spojrzała ze wstydem na Sophie.

Kate, wracając z kanapkami zawiniętymi w serwetkę, stanęła jak wryta. Twarz pani Purvis była jak z wosku, jakby wszystkie poprzednie linie stopiły się w płomieniu, i została odlana na nowo w niemożliwą do rozpoznania maskę bólu. Usłyszała, jak Sophie mówi pocieszająco:

- Wszystko w porządku. Tak właśnie się dzieje. Ale musimy cię przygotować, kochanie. - A zwracając się do Kate: - Nie stój tu tak. Sprowadź doktora Warrendera!

Kate popędziła korytarzem i schodami na górę. Stwierdziła, że nadal ścisła kanapki. Wyrzuciła je za

burtę, kiedy znalazła się na pokładzie. Była lekka fala. Statek łagodnie się kołysał. Z sektora pierwszej klasy docierały dźwięki niemieckiej orkiestry grającej muzykę taneczną. Słyszała głosy pasażerów i śmiech, szcęk nakrycia stołowego. Wszystko wydawało się takie normalne i bezpieczne. Nie jak tak okropna scena w kajucie.

Wbiegła do salonu drugiej klasy, gdzie cztery panie gawędziły przy kawie. Jedyne obecne tam mężczyźna brzdąkał na fortepianie, jak to zwykle robił - młody człowiek o bladej twarzy, o którym pani Purvis powiedziała szeptem, że ma suchoty. Grał wiązaną melodię z *Wesołej wdówki*. Potrząsnął przecząco głową na gwałtowne pytanie Kate. Popędziła więc do jadalni.

Pchnęła drzwi, ale doktora Warrendera tam nie było. Kilku zgłodniałych pasażerów siedziało i zjadało ostatnie kanapki. Żaden z nich go nie widział.

- Ten człowiek chyba nigdy nie je - zauważył plantator kauczuku o pękającym jak garnek brzuchu. - Ale może jest w męskim zakątku i strzela kielicha.

Jednakże zaglądając przez drzwi do zadymionego baru dla panów, nie dostrzegła go. Kiedy odwróciła się, by popędzić dalej, poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Był to przyjaciel Sophie.

Mężczyzna z wywoskowanymi wąsami pochylił się nad nią i zapytał gniewnie:

- Gdzie się do licha podziała twoja przyjaciółka? Poszła na dół poszła i tyle ją widziałem. - Silnie pachniał alkoholem.

- Została zatrzymana. - Kate próbowała wyrwać rękę.

- Ktoś jest chory w kajucie.

- No to daj mi buziaka. No! - Jego dłoń zacisnęła się. Kate szamotała się desperacko, kiedy pochylił się i złożył wilgotny pocałunek tuż obok jej ust. Prawie splunęła.

- Doktor Warrender - wyrzuciła z siebie z trudem.

- Muszę znaleźć doktora Warrendera.



Przyjaciół Sophie nadal nie wypuszczał jej ramienia, kiedy na szczęście pojawił się oficer ze statku.

- Doktor Warrender? - zapytał żwawo. - Jest w sektorze klasy trzeciej. Czy mam go dla pani sprowadzić?

- Gdyby mógł mu pan powiedzieć, że jest potrzebny w kajucie numer 107. Pilnie potrzebny. Proszę mu powiedzieć, że pani Purvis jest bardzo chora.

Doktor Warrender dochodził właśnie do drzwi kajuty, kiedy Kate tam wróciła. Był bez marynarki, a rękawy koszuli miał podwinięte. Założył kitel przypominający fartuch piekarza. Kate nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek przyjmie jego przybycie z czymkolwiek przypominającym ulgę i radość, ale teraz prawie dziecinnie objęła go ramionami.

- Tak się cieszę... - zaczęła.

Lecz po krótkim - Uspokój się, Kate - ujął za klamkę i wszedł do środka. W ciągu kilku sekund jego obecność odmieniła kajutę.

Przekonał panią Purvis, by puściła rękę Sophie. Wysłał Sophie, by odszukała Samuela i kazała mu przynieść ręczniki.

- Ty, Kate, idź do łazienki i wyszoruj ramiona i ręce.

Kiedy wróciła, bez tchu, z szeroko rozwartymi oczyma i czując lekkie mdłości, kazał jej wyjąć jeden z jej bawełnianych fartuchów i go założyć.

Kiedy to robiła, on delikatnie badał panią Purvis. Kołysząca się lampa rzucała jego cień na wąskie ściany kajuty, podkreślając surowość jego profilu.

- Obawiam się, że będziemy musieli tutaj sobie poradzić, Edith - powiedział energicznie. - Nie możemy cię zabrać do szpitala. Nie teraz. Samuel, kiedy przyjdzie, może mi przynieść to, czego potrzebuję.

W ciągu paru sekund Samuel, któremu oczy wychodziły na wierzch z podniecenia, i który niósł stos białych ręczników, został wepchnięty do kajuty przez Sophie.

- Weź to - powiedział mu doktor, wpychając mu do ręki karteczkę. - Idź do oficera w aptecze szpitalnej. Przynieś mi to, co ci da. Szybko!

Kazał Sophie owinąć się ręcznikiem, przygotować ich stos i stanąć w nogach koi.

Doktor Warrender układał ostrożnie panią Purvis na koi w dziwnej, niezgrabnej pozycji, z jej dużymi białymi kolanami w powietrzu i szeroko rozłożonymi nogami.

- Dobrze będzie, jeżeli podłożymy kilka poduszek pod plecy. Połóż je tam, Kate.

A potem nachylił się nad panią Purvis.

Uwolniona z ubrań wielka biała góra, którym był jej brzuch, połyskiwał potem w świetle kajuty. Nie był jednak tak nieruchomy jak góra. Poruszał się z własnej woli, jak gruda chlebowego ciasta Megan, którą kładła przed kuchennym paleniskiem. Do tej niestałej góry ciasta doktor Warrender przyciskał coś, co wyglądało jak dmuchawka, a następnie nachylił się nad nią i z powagą przysłuchiwał. Potem zwrócił się do Kate.

- Trzymaj ją za rękę, Kate, i wycieraj czoło. Podaj ręcznik, Sophie. I, Kate, pozwól Edith ścisnąć cię tak mocno za rękę, jak chce. To jej pomaga przeć.

- Czy to jest...? - zapytała pani Purvis słabym głosem. - Czy to może być... dziecko?

Doktor Warrender odłożył dmuchawkę. Rozpostarł teraz ręce na jej brzuchu, ostrożnie wyczuwając ruchy, które były widoczne nawet dla oczu Kate.

- Oczywiście, że to dziecko, Edith.

- To nie jest niestrawność z powodu wszystkich tych fig i winogron, które zjadłam?

Uśmiechnął się blado.

- Nie, Edith. Nie sądzę, by pomogły, ale nie są winne.

- Jest bardzo wcześnie - biadała. - Za wcześnie. Czy je stracę? Czy umrze? Po tym wszystkim, mam stracić dziecko?

- Nie wiem, Edith.

- Nie chce mi pan powiedzieć, że już nie żyje? - Po policzkach zaczęły jej płynąć łzy.

- Nie. Nie jest martwe. Żyje. Bicie jego serca jest silne. Jednak jest przedwcześnie i...

- Będę się modlić - powiedziała pani Purvis, mocno zaciskając oczy, gdy jej usta zaczęły się poruszać.

- Tak, módl się - skinął głową doktor Warrender. - Módl się ze wszystkich sił. Mów modlitwy na głos. Wykrzykuj je. A jeszcze lepiej, śpiewaj je. Śpiewaj hymny. To pomaga. I pamiętaj, żeby wydychać i przeć w dół.

Początkowo słabo i ochryple, ale potem ze wzbierającą siłą i zapalem, pani Purvis zaczęła śpiewać „Wieczny Ojcze, ocal nas...”

Po trzecim wersie powrócił Samuel z garścią małych buteleczek, które nerwowo dzwoniły. Kate zobaczyła, jak doktor Warrender podnosi jedną wysoko i napełnia strzykawkę, i zafascynowana przyglądała się, jak igła zagłębia się w pośladek pani Purvis i sprawia, że jej amen było tylko czkawką.

Po „Wieczystym Ojcu” nastąpiło „Jakiegoż przyjaciela mamy w Jezusie”. Ponieważ jej ból trochę zelżał po zastrzyku, pani Purvis śpiewała gromkim głosem. Pod wpływem chwili, Sophie przyłączyła się do śpiewu.

- Tak jest - zachęcał je doktor Warrender. - Śpiewajcie ze wszystkich sił. Doskonale ci idzie, Edith! Śpiewaj głośniej. Przyj mocniej. Mocniej, Edith! No już, zacznij następny hymn. Wytrzymaj jej twarz ręcznikiem, Kate.

Byli w połowie „Wszelkie rzeczy jasne i piękne”, kiedy Edith Purvis przerwała swe śpiewanie i wydała rozdzierający uszy krzyk.

- Tak jest. Przyj! - powiedział doktor Warrender pochylając się nad nią. Jego czoło było wilgotne od potu. Zobaczyła, jak Sophie staje na palcach i mu je wyciera. Sophie popatrzyła na niego pytająco, a on

niedostrzegalnie uniósł brwi, jakby ona zadała mu jakieś nieme pytanie, a odpowiedź brzmiała, że niestety, nie wie. Kate miała bolesne poczucie klęski.

W kajucie zrobiło się niemożliwie duszno i gorąco. Edith Purvis znowu krzyknęła. I zanim zamarło echo krzyku, Kate zobaczyła, jak z pani Purvis wytryskuje potworna rzeka krwi. Potem jej pole widzenia zasłoniło ramię doktora Warrendera. W następnej chwili wyciągał spomiędzy nóg pani Purvis poplamioną krwią, obślizgłą grudkę, za którą włókł się różowofioletowy wąż, jakby wypadły wnętrzności martwego dziecka.

Kate zawirowało w głowie. Musiała zagryźć zęby, by powstrzymać falę nudności. Wszystko przypominało obrazy z sennego koszmaru. Czas rozciągał się i kurczył. Doktor Warrender wyjął z kieszeni fartucha parę nożyczek i uwolnił dziecko od węża. Sophie podniosła kosz na śmieci, a on wrzucił do niego węża. Edith zakrakała ochryple:  
- Co to jest? Chłopiec czy dziewczynka? Czy wszystko w porządku? Nie słyszę go? Czy żyje? - Powtarzała ostatnie pytanie, aż głos jej się załamał.

Sophie podała ręcznik doktorowi Warrenderowi. Wytarł krew, tak że grudka zaczęła nieznacznie przypominać ludzki kształt. A potem wykonał coś, co przypominało trik prestigitatora. Przytrzymał je głową w dół za stopki i uderzył mocno w pośladki. Nagle, co było trudne do uwierzenia, martwa grudka wydała z siebie słaby krzyk, a następnie głośniejszy, bardziej oburzony.

- Przytrzymaj ten ręcznik, Sophie, i zawiń ją w niego. Daj ją do potrzymania Kate, a ty pomóż mi z Edith.

Kiedy trzymała w ramionach małe dziecko z czerwoną twarzą, Kate ogarnęło najgłębsze i najbardziej nieprawdopodobne uczucie. Miała wrażenie dziwnej inicjacji, bycia świadkiem cudu, dotykania samej istoty życia. Oczy napełniły się jej łzami.

- Masz śliczną córeczkę, Edith. - Doktor Warrender pochylił się nad panią Purvis i naciskał jej brzuch. Nawet pojawienie się oślizgłej czerwonej masy na koi pani Purvis i widok Sophie zawijającej ją w gazetę, nie potrafiło pomniejszyć podniosłych uczuć Kate. Sophie musiała odczuwać coś podobnego. Siedziała, płacząc, a szloch wstrząsał jej ramionami. Łzy szczęścia toczyły się po policzkach pani Purvis.

- Czy będzie żyła, doktorze?

- Myślę, że przy starannej opiece, tak, Edith. Rozległo się pukanie do drzwi. Samuel wsunął głowę.

W jego oczach pojawił się strach, kiedy spoglądał to na jedną, to na drugą płaczącą twarz.

- Siostra Józefa pragnie wiedzieć, proszę pana, czy potrzebuje pan jej pomocy?

- Podziękuj jej i powiedz, że teraz nie. Wszystko jest w porządku. Dziecko jest dziewczynką.

W chwili kiedy drzwi się zamykały, usłyszeli, jak Samuel obwieszcza z powagą:

- Nie, siostro, nikt nie umarł. Nikt nie jest bardzo chory, siostro. Płaczą, ponieważ dziecko jest dziewczynką.

## Rozdział V

Moja matka mówiła, że narodziny są zawsze lepsze niż śmierć - stwierdziła Sophie, kiedy stały przy relingu przyglądając się, jak „Księżniczka Orientu” wpływa powoli do Zatoki Meapolitańskiej. - Jeszcze nikt nie umarł. Ale Edith mówi, że to dobrze, iż ten suchotnik wysiada tutaj, bo na pewno mielibyśmy śmierć na pokładzie.

Od czasu narodzin dziecka stosunki pomiędzy Edith Purvis a Sophie czasowo złagodniały. Aby matka i dziecko miały więcej miejsca, siostra Józefa zaproponowała, że będzie spać w sektorze dla chorych, co niezmiernie ucieszyło panią Purvis. Zawsze niecierpiała stukotu różańca w kajucie, a teraz jeszcze bardziej, kiedy znajdowało się w niej narażone na niebezpieczeństwa dziecko, nie ochrzczone jeszcze w Kościele Nonkonformistycznym.

W ciągu pierwszych dwóch dni jego życia sporo się mówiło o tym, że należy je ochrzcić, bo może umrzeć, ale doktor Warrender był dobrej myśli.

- Pochodzisz z dobrego, silnego rodu, Edith - powiedział. - Przettrzymałaś na Cejlonie choroby i trudy. A my nie pozwolimy małej umrzeć.

Oprócz macierzyńskich obaw o dziecko pani Purvis zależało na tym, by jej mąż dokonał ceremonii. Ona i wielebny Purvis rozmawiali o szczęśliwym dniu chrztu od chwili, gdy jej ciąża została potwierdzona. Chciała,

by wybór imienia dziecka należał do wielebnego Purvisa, chociaż w sercu pragnęła, by dziecko dostało na imię Wiktorja, na cześć królowej.

Tymczasem jednak pani Purvis odpoczywała i pozwalała, by po raz pierwszy w życiu ją rozpieszczano. Kapitan posłał gratulacje w imieniu całej załogi statku. Dwoje najbardziej dystyngowanych pasażerów, sędzia i lady Beresford, wysłali czarującą, odręczną kartę, a pasażerowie ze wszystkich trzech klas posłali prezenty. Nawet Samuel zrobił mały prezent - brązowy przedmiot przypominający rzeźbiony orzech, który, jak utrzymywał, zagwarantuje dziecku długie życie i szczęście, a który pani Purvis natychmiast wyrzuciła do kosza na śmieci jako pogański i zły.

- O, jest ten suchotnik. - Sophie odwróciła głowę.

- Jest strasznie blady. Słyszałam, że ma się zatrzymać u swojego opiekuna pod Neapolem. Doktor go zabiera. Rodzina uważa, że słońce mu pomoże.

- Och, mam nadzieję - rzekła Kate. Jej oczy wypełniły się łzami.

- Posłuchaj mnie - powiedziała Sophie ze skruchą.

- Ja idę do przodu. Miałaś swoje zmartwienia z mamą i tym wszystkim. - Wsunęła jedną ręką pod ramię Kate.

- Po prostu się zabawmy. Do licha, czyż to nie ładne?

- Wskazała poprzez jedwabiste błękitne wody zatoki na miejsce, gdzie w łagodnej morskiej mgiełce wznosił się stożek Wezuwiusza, a jego szpiczasty szczyt przybrał w słońcu różowy odcień.

Kate wstrzymała oddech. Przez chwilę to nie na Wezuwiusza patrzyła, ale na inną górę - ręcznie pokolorowaną, która wisiała w hallu przy Vernon Close - Górę Adama, w której cieniu jej matka pracowała i i umarła. Miała wrażenie, że nie zdoła uciec przed tą górą. Towarzyszyła jej i ostrzegała, że będzie na nią czekać.

- Tak, rzeczywiście zapiera człowiekowi dech i nic dziwnego - powiedziała z pobłażaniem Sophie, kiedy Kate bez uzasadnienia milczała nadal.

- Jest... jak obrazek - wystękała w końcu.

- Dokładnie jak obrazek, kochanie. A czy mówiłam ci, że moj przyjaciel robi piękne zdjęcia? Prawdziwym aparatem marki Fox-Talbot. Kupię sobie taki, jak się trochę dorobię.

- To wszystko jest takie piękne. - Kate skinęła głową. Z determinacją zamrugła oczami, by wymazać obraz Góry Adama i wstawić Wezuwiusza na jego prawowite miejsce. Dzień był zbyt piękny, słońce tak niespodzianie jasne, a przerażające zdarzenie z przedwczesnymi narodzinami tak triumfalnie zakończone, by zbyt długo miała się zastanawiać nad śmiercią.

- Nowe życie - powiedział doktor Warrender do Kate przy kolacji poprzedniego wieczoru. - Pomyśl, jakie to wspaniałe. Narodziny dziecka Edith można porównać do rozkwitu twojego nowego życia, Kate. Zawsze staraj się patrzeć w przyszłość. Nigdy w przeszłość.

I rzeczywiście od narodzin dziecka Kate zaczęła mniej koncentrować swe myśli wokół śmierci matki, a bardziej wokół czekającego ją życia przy boku ojca. Wyobrażała sobie, jak będzie mu pomagać, prowadzić mu dom, sprawiać, by jego surowe życie stało się znośniejsze. Miała wrażenie, jakby w ciągu ostatnich kilku dni przeszła istotną przemianę.

Ponownie starała się przypomnieć ojca. Pamiętała go fragmentarycznie, i kiedy przywoływała w myślach jego obraz, przybierał postać starszego, bardziej pobłażliwego doktora Warrendera.

Sophie wyraziła radość z tego, że doktor nie będzie im towarzyszył. Przy śniadaniu poradził Kate, nie przykładając do tego wagi, by trzymała się głównej grupy



pasażerów „Księżniczki Orientu”, która będzie oprowadzona po zazwyczaj zwiedzanych miejscach.

- To będzie przedsmak Colombo - powiedziała Sophie. - I jakież to miłe postawić stopy na stałym lądzie.

- Nie wolałabyś jednak pójść ze swoim przyjacielem niż ze mną, Sophie?

Sophie potrząsnęła głową tak gwałtownie, że lakierowane szkarłatne wiśnie na jej kapeluszu zastukały o siebie. Kapelusz przytrzymały na wymyślnie uczesanej głowie liczne szpilki zakończone wiśniami. Ubrana była w takiego samego koloru mocno dopasowaną szkarłatną suknię z małą, figlarną baskinką wykończoną czarną koronką. Był to barwny, ekstrawagancki strój, od którego Edith Purvis odwróciła wzrok, a który przyciągnął krytyczne spojrzenia wielu pań, tłumnie wyległych na pokład. Kate, ubrana w jedną z bluzek wybranych przez doktora Warrendera, wykończoną przy szyi jeszcze jednym kawałkiem koronki Sophie i w prostą szarą spódnicę, wyglądała jak wróbel przy rajskim ptaku.

- Nie, oczywiście, że nie wolę iść z moim przyjacielem. I wiem to z całą pewnością, że on nie wolałby iść ze mną. On ma nazwisko, wiesz. - Zniżyła głos. - Nazywa się pan Hardwicke. George Hardwicke. - A kątem ust dodała. - I stoi tuż za nami.

Kate spojrzała przez ramię. Na pokładzie pierwszej klasy nad nimi tłoczyli się pasażerowie, którzy stali na czubkach palców i pokazywali na Wezuwiusza, skrytego teraz przez leniwy obłok dymu, który w popołudniowym słońcu zmieniał się w srebrny.

Znajdował się wśród nich pan Hardwicke, stojący . między Beresfordami. Ubrany był w jedwabny garnitur i słomkowy kapelusz. Końce wąsów miał wywoskowane niczym knoty świecy. Trzymał laseczkę ze złotą główką i pomachał nią na powitanie, uchylając dziewczętom kapelusza z lekko ironiczną kurtuazją.

- Mówi, że tylko bym go ciągała po zabytkach, bo nigdy przedtem tam nie byłam. Mężczyźni nie lubią, jak kobiety to robią. Mówi, że wszystko to już przedtem widział i wszystko wachał. Zamierza pójść do swojego ulubionego baru i tam spędzić czas aż do odpłynięcia statku.

Zbliżała się do nich flotylla małych łodzi, podobnych do tych, jakie widzieli w Gibraltarze, ale bardzo wąskich i znacznie piękniejszych. Kiedy zbliżyły się, na dziobie można było dostrzec wymalowane duże, migdałowego kształtu oko.

- To po to, by odstraszyć Złe Oko - powiedział wszystkowiedzący pasażer.

- I słuchaj. - Sophie przyłożyła do ucha dłoń w czarnej koronkowej rękawiczce. - Grają dla nas.

Poprzez spokojne morze dobiegły ich niewyraźne dźwięki mandolin oraz męskie głosy.

- To „La Donna e mobile!” - powiedział wszechwiedzący pasażer. - Kobieta jest płochym ptaszkiem!

- To takie bzdurne gadanie - odparowała Sophie. - To mężczyzna jest płochy.

Dotarłszy do burty „Księżniczki Orientu”, teraz bezpiecznie zakotwiczonej, kolorowo odziani pasażerowie łodzi wstali. Byli smagli, przystojni, czarnowłosi, mieli czarne wąsy i śmiałe spojrzenia. Ich wprawne oczy omiotły zgromadzonych pasażerów, wyszukując wzrokiem panie, kiedy zaczęli swą serenadę. Sophie była zachwycona. Kiedy zdjęła swój ekstrawagancki kapelusz i zaczęła nim wymachiwać, zaraz stała się obiektem ich szczególnej uwagi.

Pokazywali na nią, kłaniali się i wykrzykiwali:

- Bella! Bella! Bellissima!

Dając się całkiem ponieść entuzjazmowi Sophie odpięła z kapelusza kiść wiśni i rzuciła w kierunku uśmiechniętego gitarzysty na dziobie najbliższej łodzi.

- Grazie! - Złapał wiśnie z wprawą i z przesadą przycisnął do serca.

Pasażerowie za nimi zamruczeli z dezaprobatą. Kate była zadowolona, że nie ma wśród nich doktora Warrendera. Lady Beresford rzuciła uwagę, że neapolitańczycy są wystarczającymi łotrami, bez zachęty ze strony Brytyjczyków. Tylko pan Hardwicke zdawał się być rozbawiony tym incydentem i jego śmiech słychać było ponad krytycznymi szeptami pozostałych.

Pod nieobecność doktora Warrendera to on odprowadził obie dziewczęta na łodzie, które zawiozły ich na nabrzeże. Rzucił rycerską uwagę, że wszyscy Włosi potrafią docenić ładną buzię i zgrabną figurkę, taką jak Sophie.

- Zapomną o mnie, jak tylko przyplynie następny statek - odparła ta skromnie.

Ale nie zapomnieli jej. Zaledwie pan Hardwicke opuścił je i udał się do ulubionego baru, przez tłum zaczął się przedzierać uśmiechnięty gitarzysta. Trzymając wiśnie w białych zębach, przesadnie nisko skłonił się nad zachwyconą dłonią Sophie.

Nic nie mogło sprawić gitarzyście większej radości, jak pokazanie dwum signorinom widoków Neapolu. Przedstawił się jako Ugo. Miał brata, także uznanego przewodnika, który będzie im towarzyszył. Czy chcą rozejrzeć się po Neapolu, czy też pojechać obejrzeć cuda Pompejów?

- Uważam, że nie powinniśmy zbyt się oddalać. - Kate rozglądała się nerwowo, mając nadzieję ujrzeć doktora Warrendera i młodego suchotnika, którym się zaopiekował. Jednakże w tłumie wysiadających pasażerów i handlarzy ulicznych nie dostrzegła nikogo znajomego. - Samo miasto wygląda bardzo interesująco.

Przyglądała się wielkim blokom lawy, które ograniczały ulice i marmurowym fasadom domów, z oknami zasłoniętymi żaluzjami i wymyślnymi balkonami.

- Jest także bardzo cuchnące i brudne - Sophie przytrzymała przy sobie fałdy swojej szkarłatnej sukni.

- Nawet bardziej niż Londyn!

- I niebezpieczne dla bellissima signorina! - zapewnił je Cjgo. - Signoriny bezpieczne tylko z uznanymi przewodnikami.

Poklepał się po kieszeni na piersi, a następnie strzelił palcami. Prawie natychmiast zza straganu sprzedającego jaskrawe plecione koszyki pojawił się mały, brzydki młody mężczyzna z pałakowatymi nogami, długimi ramionami i wielkimi dłońmi i stopami. Ubrany był w jutowy fartuch, który po szybkiej wymianie słów z Ugo po włosku zrzucił z siebie, po czym zniknął za straganem i pojawił się ponownie w aksamitnym kubraczku.

Następnie Ugo dokonał prezentacji. Brat miał na imię Mario. Kiedy ścisnął dłoń Kate, uśmiechnął się znacząco.

Sophie zdecydowała już, że muszą to być Pompeje. Miała raz klientkę, która je dobrze знаła, panią, której mąż był w służbie konsularnej. Opowiadała Sophie przeróżne rzeczy o Pompejach, włącznie z informacjami na temat pewnego domu.

- Pewien dom, signorina? - Ugo oczywiście wiedział o nim. - Interesuje panią pewien dom?

- Och, tak.

Ugo i Mario wymienili zadowolone spojrzenia, kiedy prowadzili dwie kobiety do elektrycznego tramwaju jadącego na stację. Tramwaje były otwarte po bokach, z klapami, które można było spuszczać, jeśli padał deszcz, a siedzenia były podwójne, wyściełane poduszkami.

- Ugo chce siedzieć koło mnie. Spodobałam mu się

- powiedziała Sophie, popychając Kate na miejsce z tyłu. - Bądź miła dla Maria, kochanie. Rób minę, jakbyś się dobrze bawiła. Mężczyźni nie lubią ponurych min.

Na stacji czekały już tłumy. Kate z ulgą stwierdziła, że wśród oczekujących jest wiele osób z ich statku.

Słyszała wesołe uwagi po angielsku, kiedy zajechał mały pociąg.

Na peron weszli sprzedawcy z ogromnymi prostokątnymi koszami. Oferowali słodczyce i małe rożki z gorącymi pieczonymi kasztanami. We czwórkę żuli je radośnie i prowadzili przerywaną chichotami rozmowę, kiedy pociąg rytmicznie toczył się po szynach, mijając różowe-białe domy, zapierające dech fragmenty błękitnej zatoki, przejeżdżał przez małe tunele, z których Sophie wyłaniała się z kapeluszem na bakier. Zanim dotarli do stacji w Pompejach, stanowili czwórkę przyjaciół.

Sophie ujęła podane ramię Ciga i oparła się na nim z ufnością. Kate z rezerwą przyjęła ramię Maria.

Kiedy udawali się w stronę kas biletowych, główna grupa zwiedzających ze statku obserwowała ich czwórkę z wyraźną dezaprobatą.

- Czy nie powinniśmy za siebie zapłacić? - zasugerowała Kate, grzebiąc w torebce.

- Tylko byś ich obraziła, kochanie. Mężczyźni nie lubią, jak kobiety grzebią w torebkach.

Pozwoliły więc mężczyznom zapłacić. Przeszli przez zrujnowaną bramę, a Cigo, dla efektu podkreślając to przesadnymi gestami, wyjaśniał, jak lawa spłynęła potokami po zboczach góry i pogrzebała całe miasto wraz z mieszkańcami, kiedy zajmowali się swoimi sprawami owego fatalnego dnia Anno Domini 79. Zobaczyli piekarnię i autentyczne bochenki, które piekarz właśnie upiekł, sklep handlarza winem z butelkami wina. Oglądali domy bogaczy z kolumnami i dziedzińcami, wymyślne łaźnie publiczne, koszary gladiatorów i dyby z trzema szkieletami. Kate przebiegł dreszcz.

- Cóż, jak mawiała moja mama, w środku życia przeżywamy śmierć.

- Sophie zaśmiała się wesoło, kiedy szli przez symetryczny wzór prostych drzew, przyglądając się siedzibom, rozbitym posągom wokół forum,

kolumnom na rynku, teatrom i ogromnej świątyni otoczonej przez kolonadę z prawie trzechset kolumn.

- To - Ggo pomachał ramieniem z gestem posiadacza - to jest świątynia Venus Pompeiana... opiekunki młodych mężczyzn z Pompejów.

- A kto opiekuje się młodymi kobietami, chciałabym wiedzieć? - zaśmiała się Sophie.

- Oczywiście młodzi mężczyźni! - Ggo natychmiast otoczył talie Sophie opiekuńczym ramieniem.

Mario podążył jego śladem, kładąc swe gorące, włochate dłonie tuż pod gorsetem Kate. Ze śmiechem próbowała się uwolnić.

- Jesteś teraz chyba bardzo zadowolona, że tu przyjechałaś, prawda, kotku? - zaśmiała się Sophie. - Gdyby nie ja, tkwiłabyś w tym okropnym, cuchnącym mieście. Och, a teraz dochodzimy do tego domu. Do domu, do którego wpuszczają tylko panów. - Mrugnęła do Gga swoimi jasnymi oczami lalki. - A czy wiesz -zwróciła się do Kate - dlaczego nie wpuszczają pań?

- Nie.

- Więc ci powiem. Dlatego, że to burdel. A teraz powiedz mi, że także . nie wiesz, co to jest, panno Niewinniątko!

Mario, zmęczony brakiem odzewu ze strony Kate, zaczął przedrzeźniać, wyśpiewując „panna Niewinniątko”, po czym zbliżyli się z Ggo głowami, rozległ się ich gardłowy śmiech i zaczęli liczyć drobne. Następnie Ggo podszedł w podskokach do mężczyzny przy wejściu i wdał się z nim w ożywioną rozmowę.

Wrócił, spojrzał na Sophie znacząco i oznajmił:

- My zapłacić pieniądze. Panowie i panie wchodzą.

- Cóż, no to wchodźmy - powiedziała Sophie. Zaczęła iść naprzód po mozaikowym chodniku, by

dołączyć do mężczyzn czekających w kolejce przy wejściu. Dwupiętrowy budynek - jeden z nielicznych

ocalałych w pogrzebanym mieście - rzucał cień na ich czworo. Przez okna widać było fragmenty fresków, dziwne malowidła na ścianach, a z pokoju na piętrze dochodziły odgłosy sprośnego i gromkiego śmiechu.

- Sądzę, że nie powinniśmy... - zaczęła Kate. Ugo przerwał jej uspokajająco.

- Tylko z obrazów się śmieją. Bardzo śmiesznych obrazów.

Mężczyźni czekający przy drzwiach zwrócili na nich zaciekawione spojrzenia. Kate odczuła nagłą potrzebę ucieczki, oddalenia się od smutnych zrujnowanych budynków, gorących kamieni z lawy i smutnego zapisu przerwane go życia, tam gdzie jaskółki szybowały i nurkowały na jasnoniebieskiej czaszy nieba.

- Sophie, ja nie chcę wchodzić.

- Ależ, kotku, przecież oni zapłacili! - Sophie przyjrzała się Kate uważniej. Wyraz jej twarzy się zmienił. Cmoknęła. - I pomyśleć, że zdawało mi się, iż cię czegoś nauczyłam. No, no, jesteś złą uczennicą. - Westchnęła rozkapryszona i podniosła głos. - Nie da rady, Ugo. Ona jest za młoda, prawda, panno Niewinniątko?

Kate nic nie odpowiedziała. Ugo wyrzucił z siebie długą tyradę po włosku. Mario się skrzywił.

- Jest wiele innych rzeczy do zobaczenia - powiedziała Sophie, odwracając się od domu. - Więcej świątyń, jak sądzę. A tak czy owak, chcę kupić kameę tam, na straganie.

Mężczyźni czekali z niecierpliwością, kiedy Sophie wybierała różowobiałą broszkę.

Przez resztę zwiedzania Mario cały czas nazywał Kate "Panna Niewinniątko", a kiedy Sophie nie patrzyła, złośliwie szczypał ją w pupę.

Kiedy zapadł zmierzch, atmosfera wycieczki zmieniła się jeszcze bardziej. Główna grupa pasażerów z „Księżniczki Orientu” odjechała. Nim ich pociąg dojechał na

stację w Neapolu, zrobiło się ciemno. Ugo oświadczył, że nie jest to najlepsza pora, by wsiadać do elektrycznego tramwaju jadącego na nabrzeże. Muszą iść pieszo. To niedaleko. Widać nawet światła ich statku. W czwórkę zaczęli iść szybko i nagle z determinacją.

- Musicie, chłopcy, pozwolić nam uregulować sprawę pieniędzy za wejście - powiedziała Sophie bez tchu i z wahaniem, próbując zgłębić nagle uczucie napięcia - Co uczciwe, to uczciwe.

Clgo jednakże machnął niedbale ręką i popędził je oświetlonym gazowymi latarniami bulwarem. W połowie drogi zatrzymał się nagle przed zarośniętym krzakami małym parku otoczonym spiczastym ogrodzeniem. Do ciemnego wnętrza prowadziła żelazna rozwalona brama, która zwisała na zawiasach.

- Tutaj - kiwnął na nich Clgo. - Do środka. Tędy. Bardzo krótko.

- Najdłuższa okrężna droga jest najkrótszą drogą do domu! - wykrzyknęła Sophie. Zaśmiała się niepewnie. Po raz pierwszy w jej głosie pojawiła się nuta niepokoju. - Lepiej trzymajmy się drogi, naprawdę. Słowo daję.

Z niepokojem spojrzała przez ramię na Kate i Maria. Mario mocno obejmował Kate w pasie.

- Moja przyjaciółka Kate jest bardzo nieśmiała, jeśli wiesz, o co mi chodzi, Clgo. - Ale Clgo chwycił Sophie za ramię, wciągając do środka i mamrotając:

- Ta droga bardzo krótka.

Kate dostrzegła wyraz jego twarzy w świetle ostatniej ulicznej latarni. Zawahała się. Ramię Maria zacisnęło się, kiedy popchnął ją do przodu.

- Tu - powiedział Clgo, wskazując na drewnianą ławkę w pobliżu ścieżki. - Usiądziemy. Siadaj. Wy panie ugodzicie się z miłymi przewodnikami, co?

- Ugodzimy się! Ile? - zapytała Sophie, a niepokój sprawiał, że jej głos zabrzmiał bardziej wojowniczo.



- Nie wzmiankowaliście nic o opłatach. Oddamy wam pieniądze za wejście i zwrócimy to, co zapłaciliście.

- Pogrzebała w torebce. - Ale nie mamy...

CIgo przerwał jej powodzią włoskiego. Pokazywał to na Maria to na siebie, wskazywał na dziewczęta, rozkładając ręce dla pokazania, że należy się znaczna opłata za jego usługi.

- Nie, to nie fair! - odparowała Sophie. - Nie.

- Ostatnie „nie” było jękiem, kiedy (Igo jednym szybkim ruchem schwycił jej torebkę, a Mario złapał torebkę Kate. - Nie, ty złodziejska świni! Nie. Oddawaj!

W odpowiedzi obaj mężczyźni wysypali z ich torebek te kilka monet, jakie się tam znajdowały i wsunęli sobie do kieszeni.

- Masz tam suwerena, ty bestio. Oddaj go. Nie zapłacę suwerena za twoje towarzystwo.

CIgo splunął.

- Suweren nie wystarczy. - Przysunął twarz do twarzy Sophie i wyciągnął rękę pocierając palcami. - Więcej

- zażądał. - Więcej. Dawaj!

- A niech cię szlag! Nie! - Sophie próbowała się cofnąć. - Nie mam nic więcej do dania. Nic. - W nagłym olśnieniu zdjęła kapelusz. - Możesz dostać mój głupi kapelusz. Masz! - Wsunęła mu go na głowę i usiłowała nasunąć na oczy.

- Chodź, Kate, biegnij! - krzyknęła.

Nie była jednak dość szybka. CIgo zrzucił kapelusz, schwycił ją w pasie i zaczął nacierać na nią swoim ciałem. Kiedy Kate próbowała go od niej odciągnąć, schwycił ją Mario. Wepchnął jej kolano między nogi, a jego mokre usta przycinęły się do jej ust. Kopała i usiłowała się uwolnić, ale jego ramiona były zbyt silne.

Wówczas nagle, bez żadnego widomego powodu, CIgo wydał okrzyk bólu. Chwilę później Mario nagle

zesztywniał, szczerknął, poluznił swój uchwyt i złapał się za pośladki.

- Szybko, Kate, biegnij co sił! Teraz! Podkasaj spódnicę i biegnij!

Kate zrobiła, co jej kazano. Wybiegła z cieniściego małego parku na oświetlony bulwar i popędziła w dół zbocza w stronę jasno oświetlonego mola.

Tuż za sobą słyszała kroki, krzyki, przekleństwa, kiedy mężczyźni, odzyskawszy siły po tym, cokolwiek ich poraziło, rzucili się w pościg.

- Nie odwracaj się, Kate - wydyszała Sophie. - Uda się nam. Zaraz tam będziemy.

Molo przybliżało się. Kate, lekko ubrana i bez gorsetu, pierwsza skręciła za róg na molo. Bez tchu, z zaschniętym gardłem i zbyt przerażona, by patrzeć, dokąd biegnie, zderzyła się z wysoką postacią idącą dużymi krokami w stronę statku. Był to doktor Warrender.

Obejmując w pasie swojego wybawcę, zaczęła nieskładnie paplać o swoich prześladowcach. Zanim ją wysłuchał, uwolnił się z jej rąk i podszedł do rogu, mężczyźni zniknęli i była tam jedynie Sophie, ze swoją elegancką suknią potarganą, bez kapelusza, ale nadal ściskająca długie ostre szpilki, i sama Kate, kuląca się przed jego gniewem i oburzeniem.

## Rozdział VI

Jestem bardziej zagniewany, niż mogę to wyrazić, Kate.

Następnego ranka doktor Warrender wydobył z niej całą historię. Według pani Purvis cały statek słyszał o ich eskapadzie. Nawet w czasie krótkiego rekonwalesyjnego spaceru po pokładzie po śniadaniu nieuprzejme języki paplały, i padło wiele sugestii, jak można zbawić tak niemądrą młodą duszyczkę. Słyszano, jak Lady Beresford, żona sędziego okręgowego, mówi, że takie zachowanie obniża prestiż brytyjskiego Imperium i sprawia, że brytyjska obecność na Cejlonie, gdzie donoszono o zamieszkach, jest jeszcze bardziej zagrożona.

- Jako władcy - oświadczyła - jesteśmy niczym żona Cezara i musimy być bez skazy. W przeciwnym razie wykazujemy, że nie jesteśmy nic lepsi niż oni, i dlatego niegodni, by nimi rządzić.

- Jestem zły na ciebie i zły na Sophie. Jest dużo starsza od ciebie i powinna wiedzieć, co robi - powiedział doktor Warrender. - Na szczęście jednak nie jest pod moją opieką. Na nieszczęście ty jesteś.

- Na nieszczęście dla pana czy na nieszczęście dla mnie? - zapytała Kate.

- Dla nas obojga, Kate. Gdyż dopóki nie dowiozę cię do ojca, musisz mnie uważać za niego.

Był cudownie ciepły dzień i kiedy zbliżali się do Cieśniny Mesyńskiej pomiędzy Włochami a Sycylią, morze nadal było spokojne. Pokłady osłonięto markizami. Z sektora pierwszej klasy dobiegały dźwięki niemieckiej orkiestry grającej wiązankę z Brahmsa. A trochę na lewo od miejsca, gdzie siedzieli doktor Warrender i Kate, dobiegał śmiech grupy pań i panów, bawiących się w ciuciubabkę, zabawę, do której Kate chciałyby się przyłączyć.

Śmiech Sophie był głośniejszy niż pozostałych. Pozwoliła sobie zasłonić oczy swojemu przyjacielowi z pierwszej klasy, George'owi Hardwicke'owi. Był zadziwiająco wyrozumiały co do wczorajszego epizodu z Ugiem i Mariem. Wszyscy inni pasażerowie byli ciekawi, jak zareaguje, ale on śmiał się na całe gardło, nawet pochwalił ją i powiedział, że Sophie zachowała się z godnym pochwały charakterem.

Teraz, kiedy zawiązywał jej oczy, szeptał jej coś do ucha, a ona śmiała się, zasłaniając usta dłonią. Sprawiała wrażenie, jakby wszelkie ślady wczorajszej przygody zatarły się w jej umyśle, jak i w rzeczy samej zaczynały zacierać się i w umyśle Kate.

Doktor Warrender z uporem starał się jednak, by się nie zatarły.

- Uważasz, Kate? Czy słyszałaś, co właśnie powiedziałem? Dlatego też, że w chwili obecnej jestem *in loco parentis*... to znaczy zastępuję twojego ojca... mam obowiązek cię skrytykować.

- Co też pan uczynił - powiedziała Kate. Z nowo odkrytą kobiecą przebiegłością, postanowiła być pokorna. Zerknęła na niego spod rzęs. Rzeczywiście w nader dokładny sposób wyłuszczył wszelkie przejawy, w których obrażone zostały nakazy przyzwoitości, a jej osoba narażona na ryzyko. Kiedy mówił, jego czarne brwi ściągnęły się w grymasie skupienia. Dziwne jednak, że

ten grymas sprawił, iż wyglądał młodziej, a nie starzej. Bardziej imponująco, bardziej władczo, bardziej na takiego, na którym można całkowicie polegać - jakim się jawił od owej strasznej nocy, kiedy tak łagodnie i zręcznie sprowadził na świat dziecko pani Purvis.

- Tak surowo, Kate, że nawet nie powinnaś móc się uśmiechać.

- Och, ale naprawdę nie mogę, proszę pana. Wcale, ale to wcale nie mogę. - Jeszcze niżej spuściła głowę, tak że jej broda opadła ze skruchą na piersi, a wyraz twarzy ukrywało rondo słomkowego kapelusza.

- Nie nawykłem do zajmowania się młodymi damami, Kate. Z wyjątkiem tego, oczywiście, co się tyczy ich dolegliwości - powiedział doktor Warrender burkliwie po minutach niespokojnej ciszy przerywanej jedynie melodiami niemieckiej orkiestry i głośnym śmiechem towarzystwa bawiącego się w ciuciubabkę. Rozpostarł dłonie na obnażonych kolanach. Podobnie jak kilku innych dżentelmenów doktor zrezygnował z poważnego czarnego garnituru na rzecz szortów w kolorze khaki i koszuli bez krawata. To przeobrażenie fascynowało Kate, którą zawsze uczono, że to nieładnie przyglądać się w lustrze nawet swoim własnym nagim nogom, a co dopiero silnym brązowym kolanom doktora Warrendera i muskularnym łydkom, które zdawały się wypełniać jej pole widzenia.

- Nie mam żadnych młodych sióstr - dodał doktor Warrender tytułem wyjaśnienia, kiedy cisza stała się zbyt krępująca.

- Ani ja żadnych braci.

- O tym wiedziałem - powiedział doktor Warrender z pełną rezygnacją surowością. Odchrząknął. - I żaden z rodziców jak dotąd cię nie uczył?

- Czytania, historii i geografii, Biblii i katechizmu... och, tak. A potem chodziłam do szkoły średniej i na akademię tańca.

- Życia, miałem na myśli życie, Kate. Samo życie.
  - Życie, proszę pana?
  - Fakty biologiczne. Fakty, które ułatwią ci zrozumienie, dlaczego pomiędzy mężczyznami i kobietami potrzebne są zasady przyzwoitości? Zasadnicze fakty? Nikt cię tego nie uczył?
  - Och, tak, proszę pana - powiedziała z całą nowo nabytą od Sophie wiedzą i doświadczeniem związanym z narodzinami dziecka.
  - Więc wiesz, że musisz uważać.
  - Och, tak, proszę pana.
  - Wiesz, że musisz uważać, by nie sprawiać niewłaściwego wrażenia przed takimi łotrami jak ci Włosi.
  - Ale nie sprawiałyśmy. Naprawdę nie sprawiałyśmy.
  - Jedna z was musiała sprawiać. - Jego wzrok wbił się w gwarny tłum bawiący się w ciuciubabkę. - Musisz uważać, z kim się zaprzyjaźniasz. Panna Simpson ma może dobre serce, ale jest zbyt wyrafinowana i doświadczona, by stanowić dobre towarzystwo dla młodej dziewczyny.
  - Ale Sophie jest szczodra i słodka, i...
  - A ty musisz być ostrożna - przerwał jej doktor Warrender - i nie zachęcać przystojnych mężczyzn takich jak Hardwicke, tak jak to robisz w tej właśnie chwili.
  - Tylko się do niego uśmiechałam.
  - Dla takich mężczyzn jak Hardwicke uśmiech wystarczy.
  - Och, Boże. - Kate spuściła oczy i ciężko westchnęła.
  - Nie płaczesz, Kate, prawda?
- Kiedy już miała zaprzeczyć takiej sugestii, owładnęła nią jakaś nieznana przedtem przekora, która kazała jej zaprzeczyć.
- Tylko trochę - wyszeptała. - Tylko dlatego, że pan jest na mnie zły. Tylko dlatego, że tak wiele rzeczy, które robię, nawet najprostsze rzeczy, zdają się być tak bardzo złe.

- Och, Kate, nie jest tak źle. Powiedziałem już, co myślę. Nic już więcej nie powiem. Chociaż nie zaszkodzi powiedzieć Edith Purvis, że doprowadziłem cię do płaczu. To ją powstrzyma przed zrobieniem tego. Bardzo się martwiła. Gwaziła, że należy ci się dobra bura. Wytrzymaj więc oczy. Kiedy dorośniesz, będzie z ciebie wspaniała kobieta. Nie mam co do tego wątpliwości. A teraz idź i przyłącz się do zabawy. Widzę, że marzysz o tym.

Wstał, podciągnął ją i podniósł jej podbródek palcem, uśmiechając się. Potem przyjrzał się bardziej badawczo jej twarzy, wyczytując w niej coś, co wyraźnie mu się nie spodobało. Wyraz jego twarzy zmienił się.

- Wcale nie płakałaś - powiedział, z oburzeniem marszcząc brwi. - Kpisz sobie ze mnie. Jesteś niegrzecznym dzieckiem! Megan rzeczywiście cię zepsuła. Twój ojciec będzie musiał...

Z wysiłkiem zacisnęła mocno wargi i nie powiedział, co jej ojciec będzie musiał zrobić. Kiedy odchodziła, rzucił cicho pod nosem, na tyle jednak głośno, by usłyszała:

- Nie chciałbym być na miejscu twego ojca za wszystkie skarby Chin i Cejlonu!

- George Hardwicke jest właścicielem jednej z największych plantacji herbaty na Cejlonie - powiedziała Kate Sophie trzy dni później. - Jest bardzo bogaty i powiedział mi, że któregoś dnia może zechce się ze mną ożenić.

Sophie była w optymistycznym nastroju, kiedy „Księżniczka Orientu” wpływała do Port Saidu stanowiącego wejście do Kanału Sueskiego. Błotniste wody Nilu wypłynęły im na spotkanie wiele mil i teraz, kiedy rozglądały się wokół, miały wrażenie, że całe miasto zmniejszyło się i na wpół zostało zatopione przez wezbrany kanał.

Popołudnie było spokojne, a żar męczący. Odmówiono pasażerom z dawna wyczekiwanej rozrywki zejścia

na brzeg w Port Saidzie, z powodu przypadków cholery w najbliższym sąsiedztwie portu. Wieść o cholery skłoniła Samuela do wepchnięcia w ręce Kate i Sophie rzeźbionej gałki muszkatołowej, jako zabezpieczenia, gdy nawet stały przy relingu.

Stewardzi chodzili umieszczając w iluminatorach „łyżki”, by skierować bryzę do wnętrza kajut, a wcześniej tego ranka doktor Warrender nakłonił Edith do krótkiego spaceru z dzieckiem po pokładzie. Jak powiedział, „Księżniczka Orientu” będzie musiała załadować węgiel w Port Saidzie, a wówczas z powodu drobnego pyłu ona i dziecko będą musiały przebywać w zaciszu kajuty.

Jego zalecenia nie tyczyły Kate i Sophie, i chociaż nadal przyglądał się Kate zwężonymi, badawczymi oczami, w niczym ją nie ograniczał. Aż nadto zdawał sobie sprawę z rozbudzonej u Kate chęci życia i przygody.

Teraz, kiedy statek wpłynął do doku, ta chęć przygody skłoniła ją do podążenia z zapalem za Sophie do relingu na pokładzie. Ponieważ „Księżniczka Orientu” była królewskim statkiem pocztowym, miała pierwszeństwo przy długim drewnianym moło. A kiedy dziewczęta przechylały się przez reling, wszechwiedzący pasażer pokazywał im widoki.

Kate spojrzała w dół na miasto, udekorowane brytyjskimi flagami. Było to bardzo wzruszające i podniecające. Czuła nawał różnych wrażeń, których nie potrafiła ani rozwikłać, ani zinterpretować. Kilka tygodni temu jej świat ograniczał się do mili od pokrytego sadzą kamiennego domu przy Vernon Close. Jej rodzice, którzy być może umieliby jej wytłumaczyć, na czym polega życie, odjechali daleko. Pisali, oczywiście, posyłali fotografie i pocztówki, ale żadna z tych rzeczy nie przekazywała ciekawości, magii, podniety, jaką oferował zewnętrzny świat. Każdego dnia, tak się wydawało w czasie tej podróży, oczy Kate otwierały się trochę



szerzej, a wszystko, co widziała, zmieniało ją. Miała wrażenie, jakby fizycznie jej ciało wylaniało się z po-czwarki szkolnego mundurka i czarnych wełnianych pończoch na życiodajne ciepło słońca.

Port Said skwierczał w słońcu i stanowił jedno z najdziwniejszych i najbardziej sprzecznych miejsc. Setki maleńkich, przeładowanych żaglówek mieszały się z cudzoziemskimi liniowcami i okrętami wojennymi czekającymi na przejazd przez kanał. Wokół nabrzeża tłoczyły się solidne, wyglądające na angielskie budynki, meczety o zielonych kopułach, delikatne minarety i obskurne kawiarenki i sklepiki. Mieszkańcy odziani byli w przeróżne stroje: fezy i burnusy - wszystkiego dowiedziała się od wszechwiedzącego pasażera - długie, workowate bawełniane spodnie pod obszernymi białymi szatami. Edith Purvis ostrzegła Kate, że tacy ludzie wyznają straszną wiarę, iż to im właśnie narodzi się Mesjasz. Ze wszech miar Kate musi unikać spoglądania na nich.

Było jednak całe mnóstwo wyglądających całkiem po angielsku mężczyzn, na których dziewczęta mogły patrzeć do woli, i których Sophie obdarzała znaczną uwagą. (Jbrani byli w szorty koloru khaki i koszule z krótkimi rękawami, a na głowach mieli białe tropikalne hełmy. Byli opaleni i przystojni.

- Ten jest przystojny, nie? - pokazała Sophie. - I tamten. I ten z epoletami. Czekają na pocztę, tak powiedział tamten człowiek.

Podczas gdy mężczyźni w korkowych hełmach czekali, „Księżniczkę Orientu” otoczyły tratwy, z których chłopcy nurkowali za monetami, i duże barki węglowe. Barki wypełniali ogromni, ciemnoskórzy mężczyźni, którzy przywodzili Kate na myśl Otella. Ma dziesiąte urodziny ojciec zabrał ją na tę sztukę do „Empire” w Leeds. Trzymała go kurczowo za rękę, przerażona do utraty zmysłów.

Nagle, pomimo świeżo odkrytego uczucia podniecenia i przygody, poczuła tęsknotę za ponownym dotykiem ręki ojca. Jednakże ręka, jaka przez moment otoczyła jej dłoń na poręczy, należała do pana Hardwicke'a, który wsunął się pomiędzy Kate i Sophie, lekko przykrywając ich dłonie.

- O, proszę! - uśmiechnęła się Sophie, wyraźnie zadowolona z jego towarzystwa. - Spójrz, George. W całym życiu nie widziałam tyłu czarnych.

Istotnie, pokaźna ilość smagłych mężczyzn rzucała deski opierając je o burty statku, a następnie zwinnie niczym małpy przebiegając po nich w górę. Nieśli ogromne kosze węgla i wrzucali do luku ich zawartość, zanim ześlizgnęli się i wracali z ponownym ładunkiem.

- Na mojej plantacji pracuje więcej kulisów - uśmiechnął się pan Hardwicke. - Tamilów z południowych Indii. Mam nadzieję, że sama ich zobaczysz.

- Och, George - powiedziała Sophie. - Wiesz, że ogromnie bym tego pragnęła.

Potem, kiedy pył węglowy zaczął unosić się nad pokładami mimo markiz, jakie rozłożyli stewardzi, pan Hardwicke przeprosił je i wrócił do pierwszej klasy. Jednakże większość pasażerów pozostała na pokładzie zafascynowana załadunkiem węgla, nawet po tym, jak słońce zaszło w powodzi szkarłatu i bursztynu. Zapaliły się światła portu, wzmagając ten spektakl. Pojawiając się i znikając w oślepiających białych światłach i atramentowych cieniach niestrudzenie poruszały się czarne postacie.

Wszystkowiedzący pasażer poinformował je, że Port Said cieszy się uznaniem, gdyż załadunek węgla w drodze na Wschód jest tu najtańszy. Mężczyznom, głównie Etiopczykom, płacono pół pensa za tonę przeniesionego węgla, lub sześć pensów za załadowanie całego statku. Żywią się, jak im powiedział pasażer, czarnym chlebem i solą.

- Wygląda na to, że im to służy, są zgrabni i silni - odparła Sophie. - Czyż nie, Kate? Może ja powinnam zaszerwować George'owi taką dietę, jeżeli kiedykolwiek się pobierzemy. - Przerwała. - Kate, czy myślisz, że mnie lubi? - Spochmurniała. - Przed chwilą myślałam, że bardziej patrzył na ciebie niż na mnie.

- Oczywiście, że cię lubi. Bardziej niż lubi! Mnie uważa tylko za dziecko.

Sophie skinęła głową, jakby chciała w to uwierzyć, nadal jednak miała pochmurną minę. W jakiś dziwny, nieprawdopodobny sposób sprawiała wrażenie, że jest zazdrosna, tak jak wiele lat temu był Otello.

Nie przyłączyła się nawet do powszechnego wśród pasażerów chichotu, których bawił stan, w jakim znajdowali się Etiopczycy, których twarze i ramiona pokrywała teraz gruba aksamitna warstwa, sprawiająca, że wydawali się jeszcze czarniejsi i bardziej niehumanoidalni, kiedy załadowywanie węgla dobiegało końca.

Panie śmiały się skryte za wachlarzami, panowie całkiem otwarcie. Ich śmiech nie znalazł odpowiedzi. Ani cień uśmiechu nie malował się na czarnych, nieprzenikniętych twarzach. Tuż po gongu na lekką kolację ściągnięto deski i czarne postacie powróciły na barki. Kiedy znikali teraz nad styksowymi wodami, Kate wyczuwała roztaczającą się wokół nich jakąś bardzo groźną i dziwną aurę, która miała coś wspólnego z ponurą miną Sophii, a w niej samej poruszył nerw strachu.

Kate zadrżała pomimo potwornego upału. Znowu zatęskniła za uściskiem dłoni ojca. Pocieszyła się myślą, że jak tylko przepłyną Kanał Suezki i Morze Czerwone, niewiele ich będzie dzielić od Cejlonu i jej nowego domu.

Kiedy „Księżniczka Orientu” zagwizdała na pożegnanie i wciągnięto trap, nagle na molo zrobił się spory ruch. Pędził nim wyglądający na urzędnika Anglik,

wymachując kopertą, która, jak szepną) wszystkowiedzący pasażer, była „bardzo ważną wiadomością”.

Dopiero kiedy znajdowali się już dosyć daleko na Kanale, dowiedzieli się coś więcej na temat tej wiadomości. W czerni nocy Kate i Sophie siedziały obok siebie przyglądając się, jak portowe reflektory igrają na statku. Blisko było do brzegu. Podwójny rząd boj, przez które musiała przepłynąć „Księżniczka Orientu”, oświetlony był przez opalizujące białe, fluoryzujące zielone i krwistoczerwone światła. Kolory były takie same, jak te na frontowych drzwiach przy Vernon Close numer 7, tylko bardziej podniecające i piękniejsze.

Śmiały się z Sophie z tego, jak światła odbijają się na ich twarzach, rzucając zgnilozielone i różowoczerwone błyski, kiedy poza odbitym światłem Kate dostrzegła wysoką postać doktora Warrendera.

Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że śmiech Kate zamarł. Jej uczucie niepokoju musiało w jakiś sposób udzielić się Sophie, gdyż natychmiast wstała, kiedy zbliżył się doktor Warrender i wymamrotała coś niewyraźnie, że musi pójść do kajuty po szal.

Doktor po prostu skinął głową, a następnie przysuwając bliżej krzesło, które opuściła Sophie, wziął obie ręce Kate w swoje.

Szybkie spojrzenie w jego twarz ugruntowało obawy Kate. Było to to samo uczucie, które nią owładnęło, kiedy po raz pierwszy zobaczyła doktora Warrendera przechodzącego przez furtkę ogrodu - stało się coś strasznego. Prawie nie musiała słuchać jego spokojnego, miarowego głosu, by wiedzieć, że jej ojciec nie żyje.

- Cllżyj sobie, Kate. Nie próbuj być dzielna.

Doktor Warrender objął ją i nakłaniał do płaczu. Była jednak zbyt zmartwiała i oszołomiona, by nawet udawać, że płacze. Stwierdziła, że nie może mówić, nawet

nie potrafi zapytać, jak to się stało, a przede wszystkim, dlaczego to się stało, chociaż miała niejasną świadomość, że w tych wyważonych, nie zdradzających żadnych uczuć słowach, doktor Warrender powiedział jej, iż jej ojciec zmarł na ten sam rodzaj malarii, który zabił jej matkę.

Mówił spokojnie o krótkim żywocie tak wielu misjonarzy i tak niezwykle wielkiej śmiertelności wśród samych tubylców.

Kate była jedynie w stanie wpatrywać się w błotniste wody i brązowe brzegi, kiedy „Księżniczka Orientu” sunęła naprzód z pogrzebową powolnością.

Podążając za jej wzrokiem powiedział, że statek dlatego płynie tak powoli, by nie przeszkadzać mniejszym jednostkom. A potem, z przymilnym uśmiechem dorosłego, stwierdził, że zawsze uważał Kanał za pępowinę łączącą Zachód z Wschodem. Ale pomimo uczestniczenia w porodzie Kate ani nie wiedziała, ani nie chciała wiedzieć, co to jest pępowina. Jej oczy nadal pozostały szkliste, a wzrok błędny.

Noc mijała. Dzwoniły dzwony, zmieniały się wachty. W geście pocieszenia objął ją ramieniem, a ona z cichym westchnieniem wdzięczności położyła głowę na jego ramieniu.

W którymś momencie „Księżniczka Orientu” wpłynęła w jedną z zatoczek, by dać prawo przepłynięcia dużemu niemieckiemu statkowi. Był to oszałamiający widok. Wydawało się, że ogromny, jasno oświetlony statek pasażerski mija ich zaledwie na wyciągnięcie ręki. Z jednego statku na drugi posłano sygnały. Za długimi złotymi oknami luksusowego salonu widzieli ożywione tańczące postacie i dochodziły do nich dźwięki wesołej muzyki. Miało to wymiar wizji z innego świata.

A potem światła zniknęły. Noc zdawała się czarniejsza niż kiedykolwiek, czarna jak twarz Otella

i równie groźna. Kate mocno schwyciła dłoń doktora Warrendera, a on, w roztargniony, ale niezwykle pocieszający sposób, musnęła wargami jej włosy.

Wkrótce potem musiała się zdrzemnąć. Śniła, że ostatnie kilka godzin były zaledwie koszmarem. Jej ojciec żył i przyszedł na pokład, by ją odebrać. Trzymał ją w ramionach. Słyszała, jak do niej mówi. Snuli plany o jej przyszłości.

Obudziła się stwierdzając, że głos, który mówił o jej przyszłości, należy do doktora Warrendera.

- Oczywiście, że jest za wcześnie, byś wiedziała z całą pewnością, co chcesz zrobić. Albo dla mnie, żebym ci radził. Ale czas nagli. Jeżeli pragniesz wrócić do Anglii, może powinnaś opuścić statek w Adenie... by uniknąć długiej podróży do Colombo, tylko po to, by wrócić. Z drugiej strony, jeśli pragniesz...

Nie wiedziała, jaką alternatywę chce zaproponować doktor Warrender. Nagle zaczęła szaleńczo i niekontrolowanie płakać.

- Nie chcę wracać do Anglii. Chcę jechać dalej. Nie zniosę powrotu. Nie teraz.

Teraz z całą mocą odczuła szok, jaki przeszła kilka godzin temu. Smutek z powodu śmierci ojca, w nierozzerwalny sposób wiązał się ze strachem na myśl, że straci także doktora Warrendera. Jawił się w jej życiu jako jedyna ostoja. Zarzuciła mu ręce na szyję, błagając go, by jej nie odsyłał, lecz by zabrał ją z sobą.

- Ale do kogo miałbym cię zabrać, Kate? - zapytał cicho po kilku minutach.

Potrząsnęła głową.

- I gdzie?

- Mogłabym pojechać tam, gdzie pan jedzie.

- O tym całkowicie nie ma mowy - powiedział, stanowczo wyswobadzając się z jej ramion.

- Dlaczego? Dlaczego nie? Ma pan dom, bungalow. Mogłabym panu pomagać. Pracować dla pana.

- Kate - powiedział z lekkim rozdrażnieniem - nie bądź niemądra. Nie jesteś aż tak naiwna. Nie mam żony. Jest rzeczą niemożliwą, by tak młoda dziewczyna jak ty mieszkała ze mną.

- Dlaczego?

- Kate! Spędziłem dość dużo czasu na tłumaczeniu ci zasad przyzwoitości. Odnoszę wrażenie, że marnowałem ten czas.

- Czy pozwoliłby mi pan zamieszkać ze sobą, gdyby był pan żonaty?

- Tak, myślę, że tak, Kate. Gdyby moja żona była temu przychylna.

- Czy nie ma pan nikogo, z kim chciałby się pan ożenić?

- Nie, Kate. Nawet po to, żeby tobie dogodzić -uśmiechnął się blado.

- Nie mam nikogo, z kim chciałbym się ożenić.

- Więc - powiedziała po długiej przerwie - czy mógłby pan rozważyć poślubienie mnie?

Zapadła kilkusekundowa cisza.

- Nie, Kate - powiedział dziwnym głosem. - Nie mógłbym. Małżeństwo nie jest przeprowadzaną z zimną krwią transakcją, jak zdajesz się mniemać. A oprócz tego, jestem prawie dwa razy starszy od ciebie. - Wstał i spojrzał na zegarek. - A teraz chcę, byś poszła do kajuty i spróbowała trochę odpocząć. Dam ci coś, co ci pomoże zasnąć.

## Rozdział VII

To, co jej dał, musiało być silne, gdyż z zamkniętymi oczami leżała na swej koi przez dwadzieścia cztery godziny, nieruchoma jak kamień. Co rusz zdawała sobie niewyraźnie sprawę, że w kajucie ruszają się ludzie, że rozsuwają się cicho zasłony, a głos Sophie szepcze: - Biedna dziewczyna. - A potem głośniejszy głos pani Purvis: - Musi dźwigać smutny ciężar. Ale jest w tym cel. Taka jest wola Boska.

Bóg, pomyślała Kate, pamiętając to, co powiedziała w pociągu, a teraz powtarzała po cichu, nienawidzę Boga, zanim ponownie nie zapadła w niespokojny, pełen koszmarów sen.

Obudziła się na dźwięk trąbki, nie zeszła jednak na kolację. Później tego wieczoru, Sophie stwierdziwszy, że nie śpi, stanęła nad nią i mówiła do niej, opowiadając o wyczynach pasażerów, próbując doprowadzić ją do śmiechu. Siostra Józefa zaglądnęła na krótko, by zobaczyć, jak się ma, i obdarzyła ją smutnym, słodkim uśmiechem. Pani Purvis pocałowała ją i powiedziała: - Moja droga, musisz być dzielna.

Dopiero w porze lunchu następnego dnia, ubrana w czarną suknię, którą zapakowała na nalegania Megan, Kate zajęła swe miejsce w jadalni.

Nigdzie nie było widać ani śladu doktora Warrendera.



Pani Purvis głośno, siostra Józefa po cichu, krzątały się koło niej. Pasażerowie przy sąsiednich stolikach skłaniali się, by wyrazić współczucie. Brodaty pierwszy oficer podszedł do niej i złożył kondolencje w imieniu kapitana i załogi.

Wszyscy byli bardzo mili. Kate miała wrażenie, że są dziwnie roztargnieni, jakby myśleli o czymś innym. Z wyjątkiem Sophie, która bez słów potrafiła okazać, że podziela smutek Kate, inni pasażerowie zdawali się być zajęci bardziej naglącymi sprawami.

Tak samo było przy kolacji. Niezwykła cisza panowała w jadalni. Doktor Warrender, zagniewany być może jej histeryczną propozycją małżeństwa, znowu nie pojawił się przy stole. Nie skomentowano jego nieobecności i nie podano powodu. Edith Purvis podtrzymywała rozmowę. Dotyczyła ona jedynie banałów, wykrojów krawieckich, dziecinnych ubranek, braku sproszkowanej siarki zwalczającej karakony. Ale nawet w głosie Edith pobrzmiewała jakaś wysoka, ostra nuta, a jej oczy niespokojnie spoglądały to tu, to tam.

Gdy tylko posiłek dobiegł końca, Kate uciekła. Wyszła na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza. I tam poznała prawdziwy powód powszechnego wśród pasażerów niepokoju.

W światłach padających z mostku na drzewcu powiewała żółta flaga.

- Czy wie pani, co to jest, młoda damo? - Podszedł do niej wszystkowiedzący pasażer.

Kate potrząsnęła głową.

- Flaga zarazy. Jeden Laskar z załogi zachorował na cholere. Do szpitala pokładowego przyjęto dalszych chorych.

- Doktor Warrender - zaczęła Kate.

- Jest z nimi dzień i noc.

W obliczu tego nieszczęścia, dotyczącego ich bezpośrednio, w oczach pasażerów strata Kate zeszła na

dalsze miejsce. W ciągu następnych trzech dni, kiedy przepływali przez sięgające stu stopni Farenheita temperatury na Morzu Czerwonym, rozmowy na pokładzie i w jadalni toczyły się tylko wokół tego, co ich czeka.

Sophie przyjęła zagrażające im niebezpieczeństwo ze wzruszeniem ramion. Siostra Józefa zdawała się zupełnie nieporuszona. Tylko pani Purvis wpadła w całkowitą obsesję na punkcie czekających ich niebezpieczeństw. Chociaż w ciągu minionych szesnastu lat jej imię równoznaczne było ze słowem odwaga i nigdy nie słyszano, by jakieś rozszalałe słonie czy bandyci ją kiedyś przerazili, chociaż nigdy nie omieszkła pomóc pielęgnować chorych, bez względu na to, jak zakaźne były ich choroby, ani też opatrywać ich ran, nawet niewymownie potwornych, teraz broniła się przed kontaktem z kimkolwiek. Nerwowo przyciągała do siebie spódnicę, by nie dotknąć spotkanego po drodze członka załogi. Męczyła Samuela, by wykładał więcej sproszkowanej siarki. Stale kazała mu szorować ręce. Zdobyła rozpylacz z lizolem i spryskała nim kajutę. Kiedy dowiedziała się, że Laskar zmarł, a jego ciało powierzono morzu, szlochała tak, jak nigdy tego nie zrobiła nad grobami towarzyszy misjonarzy i ich żon. Ona, znana z tego, że pierwsza wykrzykiwała: „Niech się dzieje wola Boska!”, kiedy ziemia uderzała o trumnę, stwierdziła, że dodaje: „ale niechaj będzie Twoją wolą ochronić Wiktorię”. A w dusznej ciemności kajuty, kiedy odmawiała pacierze, po raz pierwszy w życiu prosiła, by jej życie zostało zachowane "tak długo, jak Wiktoria będzie mnie potrzebować". Niepokój na całym statku wzmógł się, kiedy ogłoszono, że odmówiono im wejścia do portu w Adenie. „Księżniczka Orientu" musi zakotwiczyć w zatoce. Tam musi oczekiwać w długim rzędzie statków z Port Saidu na swoją kolej przebadania, na zmianę wody i na całkowite odkażenie statku przez władze odpowiedzialne

za kwarantannę, zanim pozwoli się jej na wysadzenie w Adenie pasażerów, wyładunek karga i udanie się w dalszą drogę.

Przez wiele dni Kate i Sophie, siedząc na leżakach osłoniętych przed piekącym żarem, wpatrywały się w poszarpane góry obsypane małymi białymi domkami. Pewnego dnia zobaczyły spadającą gwiazdę, która, jak oświadczył Samuel, była złym znakiem. Następnego dnia jeden z pasażerów zapadł na cholerę. Kiedy pani Purvis dowiedziała się, że w szpitalu skończyły się tabletki nadmanganianu, co było zalecaną kuracją, zaczęła szaleć, że dziecko może się zarazić.

Nie można było liczyć na doktora Warrendera, że ich pocieszy. Kate widziała go tylko dwa razy, oba razy miał poszarpałą twarz i zapadnięte oczy. Teraz nigdy nie przychodził do jadalni, sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nigdy nie jadł ani nie spał. Zdawało się, że celowo unika ludzi, a plotka, że wśród żołnierzy wybuchła epidemia, wywołała panikę. Kiedy wręczał jej jeszcze jedną rzeźbioną gałkę muszkatołową, Samuel powiedział, że dostrzeżono w kościach kurczaka demony choroby.

W końcu nadeszła kolej „Księżniczki Orientu”. Na pokład weszły władze sanitarne i pozwoliły, by pasażerowie pragnący wysiąść w Adenie wysiedli, a statek udał się w dalszą drogę.

A więc przynajmniej nie wybuchła epidemia.

Kiedy jednak „Księżniczka Orientu” powoli sunęła naprzód przez Ocean Indyjski, jeszcze gorsza pogłoska obiegła statek i wkrótce została potwierdzona. Doktor Warrender zaraził się cholerą i jest ciężko chory.

- To nie może być prawdą - powiedziała Kate, kiedy Edith Purvis przekazała jej tę straszną wiadomość w drugim dniu od wypłynięcia z Adenu. - Nie wierzę w to.

- Powiedziano mi o tym w aptece, kiedy poszłam uzupełnić zapas lizolu. Sanitariusz był bardzo nie-

przyjemny. - Edith odsunęła resztki kolacji. - Byli przerażeni stanem doktora Warrendera. Musimy się modlić do Boga, że go zachowa przy życiu.

- Bóg nikogo nie zachowuje - krzyknęła Kate. - Nienawdżę Go. Ja...

Jednak Edith odskoczyła od stolika, zanim zdążyła usłyszeć dalsze bluźniercze słowa. Podeszła do fortepianu, podniosła pokrywę i nie zważając na miny niektórych pasażerów, zaczęła śpiewać przy wtórze własnego, gromkiego akompaniamentu: „Na brzegach Jordanu, babtyści płaczą...” - Nabrała powietrza w swe zasobne płuca i wzniosła oczy do nieba, nadając specjalne znaczenie wersom: "By uzdrowić chorych, podaj Swą rękę, i każ powstać upadłym grzesznikom".

Chociaż wątpiła, by przyniosło to doktorowi Warrenderowi czy innym chorym jakakolwiek ulgę, Kate z zapalem przyłączyła się do tego śpiewu, modląc się, oby się myliła. Następnie poszła do szpitala okrętowego i poprosiła, by ją wpuścili i mogła go zobaczyć.

- Wstęp do izby chorych jest całkowicie zakazany - odmówiono jej stanowczo.

To, a także fakt, że szeptem o nim mówiono, przekonały Kate, że doktor Warrender umrze. Wszyscy ludzie, jakich kiedykolwiek w życiu kochała, zdawali się umierać.

Dlatego też zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy dwa dni przed planowanym zawinięciem do Colombo, wezwano ją do kajuty kapitana. Ten oznajmił jej bez ogródek, że nie ma nadziei, by doktor przeżył dalszą podróż. Wywiązały się pewne komplikacje, które on sam uznał za śmiertelne. Zachował jednak całkowitą jasność umysłu i chciał wiedzieć, czy jeśli nie zmieniła zdania od ostatniego razu, kiedy z nią rozmawiał, kapitan nie mógłby im udzielić ślubu, tak by chronił ją status mężatki, jak również cała daleka rodzina, jaką ma, i by mogła odziedziczyć jego dom i skromne środki utrzymania.

Kate nie zmieniła zdania, chociaż to zdanie było jeszcze bardziej niejasne, a ona bardziej zrozpaczona, niż wtedy, kiedy ostatni raz rozmawiała z doktorem.

- Chciałabym poślubić doktora Warrendera nie dlatego, że on umrze, ale dlatego, że mam nadzieję, iż będzie żył.

Kapitan był wysuszonym mężczyzną o szpakowatej brodzie i bladoniebieskich oczach, które już przedtem wszystko to widziały. Na pokładzie statku w czasie długiej podróży, jak stwierdził, natura ludzka okazywała się jeszcze bardziej ludzka i ułomna. W czasie rejsów z Anglii na Wschód dokonał niezliczonych ceremonii zawarcia małżeństw, dla tak rozlicznych powodów, że teraz nic go już nie dziwiło. Nie były mu obce małżeństwa na łożu śmierci, tak jak kapłanowi nie są obce wyznania na łożu śmierci, i chociaż stojąca przed nim dziewczyna nie była chyba w ciąży, nie zdziwiłby się, gdyby została żoną, wdową i matką, zanim on sam zakończy następną podróż. Chociaż nie będzie to dziecko Warrendera, o to mógł się założyć.

Na głos kapitan powiedział:

- Tak, wszyscy mamy taką nadzieję. Jednakże...  
- Pozwolił, by to zdanie pozostało niedokończone.  
- A tymczasem - szarpnął siwe włosy w swej brodzie  
- jest kilka szczegółów, z którymi doktor Warrender chciał, bym panią zapoznał. Następnie, jeśli jest pani zdecydowana trwać przy tym postanowieniu, ceremonia może odbyć się natychmiast.

Kapitan ruchem ręki wskazał jej krzesło. Kate przysiadła na brzeżku, miała wyschnięte usta i nie mogła się skoncentrować. Kajuta kapitana była ładna, z dużymi iluminatorami, dobrze nawoskowanymi, ciężkimi meblami i wyfroterowaną podłogą, po której kapitan chodził tam i z powrotem, z rękami założonymi do tyłu. Kiedy mówił, zdawało się jej, że informacje wypływają

mu z ust w postaci baniek, po czym unoszą się nad jej głową.

Dziwne stwierdzenia docierały do jej umysłu.

- Doktor Warrender był wspaniałym człowiekiem - powiedział kapitan.

- Jest wspaniałym człowiekiem. Jest. Jest! Przecież żyje!

Kapitan przerwał na chwilę spacerownie, z niedowierzaniem popatrzył na nią swoimi bladoniebieskimi oczyma i ciągnął dalej:

- Szczodry aż do przesady. Całkowicie pozbawiony ambicji. Wspaniały lekarz. Jego traktowanie pasażerów na tym statku... taka szkoda, że dla samego siebie...

- Mógł... mógł - znowu mu przerwała, ale tym razem kapitan nie zaszczylił jej nawet tym, że przerwał swoją przemowę. Zaczął mówić o ojcu doktora, o skromnym majątku, jaki mu zostawił, o jego bungalowie w Rangawelli, gdzie miała się udać zgodnie z życzeniem doktora Warrendera, o dalszym kuzynie mieszkającym w pobliżu, który miał być wykonawcą testamentu doktora, i z którym kapitan skontaktuje się w jej imieniu.

W którymś momencie zapytał ją, czy chce go o coś zapytać, ona jednak zdołała jedynie pomyśleć o tym, by pozwolono jej zdjąć czarną suknię.

Wróciła za kilka minut, ubrana w prostą białą bawełnianą sukienkę, która ze wszystkiego co miała, najbardziej przypominała suknię ślubną. Przy boku kapitana poszła do małego pomieszczenia przylegającego do szpitala. Kapitan otworzył drzwi i poszedł przodem. Iluminatory były na wpół zasłonięte. Kajutę wypełniał zapach nadmanganianu i środka dezynfekującego a także zapach choroby, który, miała nadzieję, nie był zapachem śmierci.

Doktor Warrender leżał podparty poduszkami. Kiedy weszli, otworzył oczy i uśmiechnął się blado.

Kate doznała potwornego szoku, widząc jak się zmienił. Jego skóra opinała kości policzkowe. Cista miały fioletowaty kolor, oczy jednak nadal były żywe, a spojrzenie, jakim obrzucił Kate, tak jak dawniej badawcze i inteligentne.

Kiedy podeszli - Kate i kapitan - siostra Józefa, która przy nim siedziała, wstała. Obdarzyła Kate lekkim, pełnym litości uśmiechem, a następnie zadzwoniła na stewarda szpitalnego.

- On będzie drugim świadkiem - powiedział kapitan, każąc stewardowi stanąć obok doktora Warrendera.

Ma zewnątrz, na rozpalonym, metalicznym niebie, świeciło słońce. Mie wiał wiatr, ale na lazurowych wodach statek łagodnie kołysał się i skrzypiał, stanowiąc ciche tło dla głosu kapitana, który żwawo odczytał z biblii formułę zaślubin.

- Czy ty Williamie...

Po raz pierwszy Kate usłyszała imię swego męża. Potem zapomniała o tym, przestraszona, z jakim trudem odpowiedział. Jej własna odpowiedź zabrzmiała nienaturalnie głośno, jakby przemawiała do zgromadzonych w katedrze.

Główny sanitariusz ze szpitala podał pierścionek i pomógł doktorowi Warrenderowi włożyć go jej na palec. Był dużo za duży, aie zacisnęła palce, by nie spadł.

- Ogłaszam was teraz mężem i żoną - powiedział kapitan.

Doktor Warrender wyciągnął do niej prawą rękę. Pochyliła się i ujęła ją w obie dłonie, całując go w gorące, suche czoło.

- Droga Kate - powiedział. - Dobrze wiedzieć, że trochę ci na mnie zależy.

## Rozdział VIII

Kate nikomu nic nie powiedziała. Nie była w stanie nawet mówić o ceremonii zaślubin, a co dopiero znieść reakcję współpasażerów na tę wiadomość. Całymi godzinami chowała się w swej ulubionej kryjówce za kominem, niezdolna przeanalizować to, co zrobiła, ani pomyśleć o tym, jak może to wpłynąć na jej życie. Nie mogła zbyt głęboko nad tym rozmyślać, by coś kruchego, coś czułego i nieokreślonego w tej ceremonii nie rozwiało się i nie zniknęło. Stwierdziła, że może jedynie wyszeptać ochryple: - Nie pozwól mu umrzeć.

Powtarzała te słowa w kółko, chociaż nie wiedziała, do kogo je kieruje. Kiedy słońce zaczęło zachodzić przybierając ciemnopomarańczowy i płomiennoczerwony kolor, utkwiała w nim wzrok, poruszając ustami, jak siostra Józefa przy odmawianiu różańca. Edith powiedziała jej, że Weddowie, prymitywni ludzie zamieszkujący dżungle na Cejlonie, modlą się do słońca. Kate stale powtarzała słowa, długo po tym, jak zapadła nagła tropikalna ciemność i galaktyki błyszczących i nieznanych gwiazd zawisły nad przykrytym czarną czapą kominem. W końcu, kiedy była pewna, że pani Purvis śpi, wsunęła się do kajuty i po cichu położyła. Nie potrafiła przypomnieć sobie modlitw z dzieciństwa. Ale już nie mówiła: „Nienawidzę Boga”, gdyż a nuż takie



namiętne odrzucenie Go spowodowało tę straszną zemstę. Pompeje i te pokryte lawą szkielety powinny być ją ostrzec. Rzeczywiście, świadczyły o tym, jak pani Purvis cały czas wszystkim przypominała, o piekle, które czeka każdego, kto odrzucił jedyne prawdziwego Boga.

- Jesteś bardzo milcząca dziś rano - powiedziała pani Purvis dopadając ją przy śniadaniu. - I stajesz się prawie taka niewidoczna jak twoja przyjaciółka, panna Simpson. Zastanawiam się, co ona robi.

Kate przełknęła łyżkę owsianki i potrząsnęła głową. Wyciągnęła rękę i pogłaskała pomarszczoną twarzyczkę maleńkiej Wiktorii spoczywającej w ramionach matki.

- Chyba wcale nie wróciła wczoraj w nocy. Jestem ciekawa, co wymyśliła. A ty także musiałaś późno wrócić, Kate. Byłaś z nią?

- Nie.

- Jestem pewna, że poszła do pierwszej klasy. Wydaje mi się, że były tam tańce. - I tym samym tonem. - Nie martwisz się chyba? Nie martwisz się, co się z tobą stanie?

Kate potrząsnęła głową, ale Edith ciągnęła:

- Musisz czymś się zająć. Może potrzyzymałabyś Wiktorię, moja droga? Później pokażę ci, jak się jej zmienia pieluszki, a nawet jak kąpie. Nie wolno ci myśleć, że ponieważ twój ojciec zmarł, a i być może doktor Warrender także wkrótce znajdzie swój spoczynek, że nie masz przyjaciół.

Gwoliwna od Wiktorii z zapalem zaatakowała miskę śliwek. Kiedy zmniejszyło się ryzyko zagrożenia cholera, powrócił jej apetyt. Czula się odrodzona duchowo i fizycznie.

- Dziękuję. - Kate nachyliła się nad dzieckiem, by pani Purvis nie zobaczyła łez ściekających jej po policzkach.

Owego dnia „Księżniczka Orientu” znajdowała się o dzień drogi od Colombo. Pasażerowie, poczuwszy ulgę,

że epidemia cholery nie rozprzestrzenia się, czynili przygotowania do opuszczenia statku. Cała rozmowa tyczyła pociągów, na które musieli zdążyć, zamawianych powozów i przyjaciół, którzy będą ich witać w porcie.

- Wielebny Purvis przyjedzie do Colombo. Jestem całkiem pewna, że zechce, byśmy oboje zaopiekowali się tobą.

Zostało to powiedziane, Kate wiedziała, z całą chrześcijańską miłością i dobrocią. Starła się, by na jej twarzy nie pojawiła się konsternacja.

- Doktor Warrender... - zaczęła z wahaniem, ale pani Purvis ruchem ręki nakazała jej milczenie.

- Nie wolno ci wiązać żadnych nadziei z doktorem Warrenderem, Kate. - Nachyliła się nad stołem i zamachała łyżeczką dla dodania emfazy swoim słowom. - Musisz uznać wielebnego Purvisa i mnie za swoich doradców. Nawykliśmy do doradzania młodym ludziom. Więc doktor Warrender mówił mi, że dobrze się uczyłaś w szkole. Czy kiedykolwiek pomagałaś uczyć młodsze dzieci?

- Czasami czytałam im opowieści.

- Opowieści biblijne?

- Opowieści o wróżkach.

Pani Purvis elegancko usunęła ostatnią pestkę po śliwkach z ust i z rozczarowaniem potrząsnęła głową.

- Musisz przeczytać moją książkę z opowieściami biblijnymi. Nauczyć się ich na pamięć. Żadna opowieść o wróżkach nie jest tak cudowna. A czy pomagałaś dzieciom w rachunkach?

- Nie.

- Czy niczego ich nie uczyłaś?

- Tańca. Pomagałam im w nauce tańca. U Madame Beatrice była klasa dla dzieci. Lubiłam w tym pomagać.

- Taniec! - Pani Purvis odsunęła miskę. - Nie, tego ich nie uczymy. Już i tak za dużo wiedzą o tańcu.

Diabelskim tańcu! Chociaż uczymy dzieci drylu. Maszerowania, rytmu, oddawania honoru fladze. Mogłabyś w tym pomagać.

Było jasne, że takie właśnie plany Edith Purvis czyniła co do przyszłości Kate. Miała zostać zatrudniona jako nauczycielka w jednej z misyjnych szkół w pobliżu Rangawelli. Może zaproponują jej mieszkanie u Purvisów w zamian za pomoc przy małej Wiktorii.

- Dużo bardziej wolałabym, żebyś ty zajmowała się Wiktorią, niż zatrudniać niańkę. Niektóre z nich mają bardzo dziwne obyczaje.

- Ale ja nic nie wiem o dzieciach, Edith - zaprotestowała Kate. - I chociaż to bardzo miło z twojej strony, wydaje mi się, że doktor Warrender...

- Doktor Warrender! - wykrzyknęła Edith z irytacją. Nachyliła się i zabrała od niej małą Wiktorię. - Wydaje ci się, że doktor Warrender co? Nic nie rozumiesz, moje drogie dziecko. Wszystko, co teraz musisz zrozumieć, to to, że ci już nie pomoże. Że nie jest w stanie ci pomóc. Że rzeczywiście umrze.

Słyszając te słowa, Kate nagle uniosła się gniewem i skoczyła na równe nogi, z rozognioną twarzą, z płonącymi niebezpiecznie oczami, jak ją później opisała pani Purvis, „jak ktoś opętany”.

- Zamilcz! - krzyknęła niegrzecznym głosem, bardziej przypominającym głos Sophie niż jej własny. - Przestań to mówić. On nie umrze, ty... - Na wargach zawisło jej ulubione określenie Sophie, ale z wysiłkiem udało się jej powstrzymać przed użyciem go. Jednakże ton jej głosu i wyraz twarzy powiedziały to za nią.

Własna irytacja Edith przerodziła się w zdumienie. Nie mogła uwierzyć własnym oczom i uszom. Miała wrażenie, że w tym momencie Kate zawładnęła złą osobowość Sophie. Gdyby mała Wiktorcia nie zaczęła

w tej chwili wrzeszczeć, jakby i ona wyczuła prawdziwe zło, Edith naprawdę zwątpiłaby w swoje zdrowe zmysły.

Głośno poprosiła Boga, by dał jej cierpliwość. Jej modlitwa została wysłuchana. Chociaż na jej policzkach pojawiły się dwie czerwone, gniewne plamy, a serce zaczęło walić mocno z oburzenia, udało się jej uśmiechnąć przebaczącą

- Jesteś przemęczona, moja droga - krzyknęła ponad wrzaskami dziecka. - Zalecam ci, byś się położyła. Nie jesteś w odpowiednim stanie, by cokolwiek planować. Porozmawiam z kapitanem. Musimy coś ustalić.

Jednakże to właśnie kapitan, za pośrednictwem płatnika, pierwszy wyraził prośbę zobaczenia się z nią w jego kajucie. Przeszedł od razu do sedna sprawy. On także martwił się młodą pasażerką. Ku zadowoleniu Edith poprosił ją o pomoc. Najpierw przedstawił jej, co do tej pory ustalił. Doktor Warrender zostanie zabrany do szpitala w Colombo, razem z dwoma innymi przypadkami cholery. W odpowiedzi na pytanie Edith, odparł szorstko, że stan doktora nie uległ zmianie, może jest trochę słabszy fizycznie, lecz jego umysł pozostaje całkowicie jasny.

- Chwała Bogu - powiedziała Edith.

- Zostawił całkiem wyraźne instrukcje odnośnie swoich życzeń.

W tym właśnie momencie Edith przestała rozumieć, co do niej mówi kapitan. Przez jedną straszną chwilę pomyślała, że albo kapitan, albo ona sama zapadli na jakąś dziwną chorobę. Tak jak przy wcześniejszym wybuchu Kate, tak i teraz nie mogła uwierzyć własnym uszom. Żwawym, spokojnym głosem kapitan kontynuował:

- Doktor Warrender pragnie, by jego żona pojechała do jego bungalowu w Rangawelli. Jest to, jak rozumiem, zaledwie po drugiej stronie doliny od pani domu, pani Purvis.

Stwierdziła, że w odpowiedzi na jego nagłe pytające spojrzenie kiwa potakująco głową, i w tym samym momencie dotknęła skóry twarzy, by zobaczyć, czy nie ma gorączki.

Nie zauważywszy tego, kapitan ciągnął dalej:

- Wydaje mi się także, że doktor ma kuzyna, który od niedawna został przydzielony jako oficer do obozu jenieckiego dla Burów, tuż koło stacji kolejowej. Niejaki major Carlton, który jest wykonawcą jego testamentu. Dopatrzy wszystkiego na wypadek śmierci doktora. A Appu, który przebywa w bungalowie, można całkowicie zaufać. - Kapitan zdawał się nie dostrzegać szklistego wzroku Edith. - Byłbym wdzięczny, gdyby mogła pojechać z wami do stacji Rangawella.

Edith skinęła głową.

- Oczywiście - odparła ochrypłym głosem.

- A który pociąg zamierzacie złapać?

- Jeśli statek zawinie do portu o czasie, pojedziemy pociągiem o dziesiątej.

- Dobrze. - Kapitan wstał na znak, że musi się zająć innymi rzeczami. - Wszystko więc załatwione. Major tam się z nią spotka i zawiezie do bungalowu.

Pani Purvis skoczyła na równe nogi.

- Ale ona nie może zatrzymać się w bungalowie doktora Warrendera. To będzie niewłaściwe. Musi zostać z nami.

- Niech pani z nią to ustali. Dziękuję pani, pani Purvis.

- Ale młodej, niezamężnej dziewczynie nie wolno...

- Młodej, zamężnej kobiecie - poprawił ją kapitan - jadącej do bungalowu swojego męża. Dziękuję pani za pomoc, pani Purvis. Wydaje mi się, że teraz wszystko zostało ustalone satysfakcjonująco - kapitan otworzył drzwi - dla młodej pani Warrender.

- Pani Warrender!

Nawet w tej chwili Edith Purvis nie chciała uwierzyć swoim uszom, a kiedy zaczęła im wierzyć, przekonała samą siebie, że wiele ważniejszych obowiązków zmyliło kapitana co do sytuacji Kate. Kapitan musiał powtarzać te dwa słowa kilka razy i poprzeć je sprawozdaniem z zaślubin i wypadków do niego prowadzących, zanim się jej pozbył.

Teraz przyłapała Kate w jej zacienionym miejscu za kominem i zażądała dalszych informacji.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Kate? Dlaczego odczuwałaś taką potrzebę tajemnicy, kiedy jesteśmy przyjaciółkami?

Kate bez słowa wzruszyła ramionami.

- Czy było coś, czego powinnaś się wstydzić?

Dla Edith było rzeczą całkowicie niepojętą, by doktor ożenił się z młodą dziewczyną, której prawie nie znał, szczególnie, kiedy był chory, chyba, że postradał rozum lub wywarto na nim potężny nacisk. Zażądała widzenia się z doktorem, ale kapitan szorstko odmówił, tak samo, jak stanowczo odmówił Kate widzenia się z mężem.

- Dlaczego to zrobiłaś, Kate? Dlaczego? Czekam na odpowiedź. - A kiedy nie uzyskała żadnej, delikatnie, ale bez skrupułów, zapytała: - Czy zrobiłaś coś złego?

- Może. Nie wiem.

- Coś, co ja uważałabym za złe?

- Nie jestem pewna.

- Czy jesteś w... odmiennym stanie, Kate?

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała Kate.

- Chcę powiedzieć, czy spodziewasz się...

- Oczywiście, że nie! - Kate robiła wrażenie oburzonej, a jej policzki oblały się rumieńcem.

Edith dała się przekonać. Jednakże przyjaźń Kate z Sophie, a szczególnie haniebny incydent w Neapolu, bardzo jej ciążyły na sercu. Sophie miała zły wpływ na młodą i wrażliwą dziewczynę. Z jakiś swoich intryganckich

powodów mogła stać za tym małżeństwem. Mogła namówić do niego Kate, by zwiększyć własne szanse na małżeństwo.

- Czy ktokolwiek zasugerował ci, byś za niego wyszła?

- Tylko doktor Warrender.

- Nikt inny?

- Nie.

- Czy majaczył?

- To bardzo niegrzeczne pytanie - odparła Kate z godnością. - Nie, nie majaczył. Zapytaj kapitana.

- Ja tylko próbuję zrozumieć, Kate - powiedziała pani Purvis z wyrozumiałym uśmiechem.

- Proszę cię, nie kłopotz się rozumieniem, Edith - odparła zimno Kate. - Ja rozumiem. Tylko to ma znaczenie.

- Czy rzeczywiście, Kate? Czy rozumiesz, dlaczego pozwoliłaś mu się poślubić?

- Tak, sądzę, że tak.

- Dlaczego więc?

- Bo uważał, że to dla mnie najlepsze.

- Istotnie. A co najlepsze dla niego?

- Nie wiem.

- Istotnie nie wiesz! Nic o nim nie wiesz! Nic a nic. Czy wiesz na przykład, że ma w szpitalu towarzyszkę? Damę. Wspaniałą chrześcijańską pielęgniarkę, dojrzałą i oddaną, którą, wszyscy mieliśmy taką nadzieję, poślubi któregoś dnia. - Przerwała. - Widzę, że nie wiedziałaś.

Kate nic nie powiedziała, ale wyglądała na przygnębioną, zdziwioną, i po raz pierwszy nie była odpowiednim partnerem dla Edith Purvis. Pani Purvis, widząc swą przewagę, szła za ciosem.

- Może choroba sprawiła, że doktor zapomniał. Zapomniaj swoją najbliższą przeszłość. Zapomniał o swoich nadziejach na przyszłość. Choroba może powodować dziwne rzeczy.

Kate nic nie powiedziała, a Edith kontynuowała przesłuchanie.

- Czy powiedział ci, dlaczego chce się z tobą ożenić? W końcu nie może mu przecież na tobie zależeć?

- Chciał, żebym miała opiekę.

- Opiekę? Kiedy ma umrzeć? - Pani Purvis pozwoliła, by wzgarda, jaką czuła, pojawiła się w jej głosie i twarzy. - Jak mógłby się tobą opiekować, kiedy wiadomo, że umrze? Z pewnością to sprawiło, iż zdałaś sobie sprawę, że nie jest w pełni władz umysłowych!

- Dowiedziałam się - powiedziała Kate wyschniętymi ustami - że ma małą posiadłość, bungalow i niewielki dochód... który... coż, chciał, bym miała.

Powiedziane w ten sposób zabrzmiało to tak wyrachowanie, było tak pozbawione czułości i współczucia, tak inne od tego, jakie naprawdę było. Edith Purvis wyglądała na stosownie oburzoną.

- Nie mogę uwierzyć, Kate, że mówisz mi, iż poślubiłaś mężczyznę na łożu śmierci dla jego majątku?

- Nie! Nie! - krzyknęła żałościwie Kate. - To nie było tak. - Zaciśnęła pięści. - Sprawiasz, że brzmi to potwornie! A nie było potworne. I on nie jest na łożu śmierci! - A następnie, z całkiem niepotrzebną siłą, przepchnęła się obok pani Purvis, popędziła do kajuty i rzuciła się twarzą w dół na koję.

Tam właśnie znalazła ją Sophie dwie godziny później. Sophie, oderwawszy się od George'a Hardwicke'a, spieszyła się, by dokończyć pakowanie. Stała w drzwiach kajuty, zaskoczona niewysłowioną rozpaczą Kate.

- Och, na Boga, kotku. Chyba nikt następny nie umarł, co? - Podeszła i objęła Kate. Od razu wyciągnęła z niej całą historię. Małżeństwo. Prawdopodobna śmierć biednego doktora Warrendera, stary major, który miał być wykonawcą jego testamentu, insynuacje Edith



i jej obiekcie co to tego, by Kate samotnie przebywała w bungalowie doktora Warrendera.

Sophie słuchała w napięciu, nie mogąc złapać tchu, a oczy zrobiły jej się okrągłe. W końcu odrzuciła w tył głowę i zaczęła się tak śmiać, że po policzkach potoczyły się jej łzy.

- No, kto by pomyślał! - potrząsnęła głową z niedowierzaniem - że to właśnie ty, ot tak sobie, złapiesz męża. Jesteś czarnym koniem i nic dziwnego. Nie, tylko się z tobą droczę, kochanie. Nie krzyw się. Postąpiłaś właściwie. To dobry człowiek, ten doktor. Musi być. A jakież to policzek dla Edith! Oddałabym życie, żeby zobaczyć jej minę.

- Na samą myśl wybuchnęła zaraźliwym śmiechem.

Kate zaczęła nieśmiało chichotać.

- To był rzeczywiście niezły widok - powiedziała. - Naprawdę.

- Cudowny widok, mogę się założyć, kochanie. Och, szkoda, że tego nie widziałam. A co się tyczy mieszkania samotnie, pani Warrender, to nie kłopotz tym swojej młodej główki. Ja zamieszkać z tobą.

- Zrobiłabyś to, Sophie?

- Daj mi tylko szansę. Powiem w hotelu w Rangawelli, że mam lepsze miejsce. To ty możesz być dla mnie przyzwoitką, pani Warrender. Jesteś teraz mężatką. Będzie się to także podobało George'owi. Może przyjeżdżać nas odwiedzać. A kiedy będziemy zdenerwowane, to w pobliżu będzie stary major. - Przeszła się wokół imitując krok starego wojskowego i wsadziła sobie do oka niewidzialny monokl. - Jak się już zdomowimy, Kate, jak już się do wszystkiego przyzwyczaimy, to będziemy się bawić najcudowniej na świecie.

Nie wspomniała o doktorze Warrenderze.

- Może zobaczymy, jak będą go wynosić - powiedziała Kate, kiedy następnego ranka pasażerowie „Księżniczki Orientu” tłoczyli się przy relingu. Był blady świt, błyszczące perłowoszare preludium do pełnego ognia poranka. Pasażerowie wdychali wspaniałą mieszankę zapachów, ciepłe, płynące z wybrzeża wonie soli i piasku, mieszające się z korzeniami, tropikalnymi kwiatami i surowym, soczystym aromatem zielonej dżungli. Zapach, jak im powiedział wszystkowiedzący pasażer, był prawdziwą esencją Cejlonu, tak jak coś, co wkrótce zobaczą, jest duszą Cejlonu. Wskazał na cienistą linię brzegu, wyłaniającą się na wschodnim horyzoncie.

- Tam!

Wzrok Kate pobiegł za wyciągniętym palcem. Ponad poszarpanym brzegiem zobaczyła zarys czarnego trójkąta, góra z obrazka wyszła z ram. Bardziej tajemnicza niż Wezuwiusz, bardziej poszarpana i groźna niż góry Adenu, wyglądała jak gigantyczny kolec wcinający się w krwistoczerwone niebo świtu.

- Góra Adama - objaśnił je dobrze poinformowany pasażer. - Dusza Cejlonu. Najświętsza góra na świecie. Święta dla miliarda ludzi. Na szczycie znajduje się zagłębienie w skale, które buddyści uważają za odcisk stopy Buddy. Hindusi twierdzą, że jest to święte miejsce Śiwy, Chińczycy uważają je za święte ze względu na Pawn-Ku, pierwszego człowieka, a muzułmanie wierzą, że tu właśnie osiadł Adam, kiedy został wyrzucony z Edenu, gdyż najbliższym rajowi miejscem na ziemi jest Cejlon.

- Posłuchaj tego! - Sophie szturchnęła Kate. - Czyż to nie brzmi cudnie? I czyż nie cudnie wygląda?

Kate potrząsnęła głową. Nie potrafiła znaleźć słów, by opisać odległą górę, nabrzmiewającą i rosnącą, kiedy statek zbliżał się do portu. Zaczęła drżeć mimo ciepła poranka.

- Co się dzieje, kotku? Śmierć przez ciebie przeleciała? Kate skinęła głową. Wówczas pani Purvis zaczęła się

kłócić z pasażerem. Powiedział jej, że Góra Adama jest święta także dla chrześcijan, wierzą oni bowiem, że święty Tomasz Apostoł tutaj nauczał.

- Bzdura - zaproponowała pani Purvis. - Chrześcijanie wcale w to nie wierzą. Tylko katolicy wierzą w takie głupstwa. Góra jest pogańska - Łypnęła na nią okiem. - Góra wygląda na pogańską. I pogańscy pielgrzymi udają się na nią co roku. Całe tysiące. Wiemy. Mieszkamy w pobliżu. Szczyt góruje nad Rangawellą. I widzimy tych biednych pogan z zapalonymi świecami i ogolonymi głowami, jak zawodzą, śpiewają, krzyczą, pobrzękują dzwoneczkami, dmą w rogi i biją w bębny. Przynajmniej góra służy przypomnieniu nam o bezbożności, wśród której żyjemy...

Znając już przemowę, która zaraz nastąpi, pasażer wycofał się.

- Zawijamy do portu za pół godziny, a jeszcze nie skończyłem się pakować - rzucił pośpiesznie.

Teraz pojawiły się palmy i wielkie szablowane połacie szafranowego piasku, skały, fale i lazurowe zatoczki; następnie białe bloki budynków, czerwone dachy, szerokie szare ramie zbudowanego z gładów falochronu.

„Księżniczka Orientu” majestatycznie przepływała przez przerwę w falochronie do znajdującego się poza nim portu, mijała zgrabne szare sylwetki okrętów wojennych, mniejsze statki, które jak ktoś odgadł, były zbrojowniami, przepływała wolno obok szalup i statków towarowych, aż w końcu się zatrzymała. Z potwornym rumorem kotwica poszła w dół. Spuszczono trapy i „Księżniczkę” otoczyły holowniki i łodzie.

Ktoś pożyczył Sophie lornetkę. Zaczęła przez nią patrzeć, machając do znajdujących się poniżej ludzi. Nagle na pokładzie D zrobił się ruch, kiedy ubrani

w białe fartuchy sanitariusze ze szpitala zaczęli znosić chorych na cholere.

Twarz osoby spoczywającej na jednych noszach bez wątpienia należała do doktora Warrendera.

- Daj mi ją, proszę - błagała Sophie Kate. - Chcę zobaczyć, jak on wygląda.

Jednakże Sophie, zazwyczaj dobroduszn, odmówiła jej prośbie. Rzuciła szybko okiem, i powracając do przeprowadzanego z uśmiechem badania okrętów wojennych, powiedziała, że nie ma na co się patrzeć. Doktor Warrender był blady i miał zamknięte oczy. Chociaż nie powiedziałaaby tego Kate za nic na świecie, była przekonana, że nie żyje.

Na szczęście Kate nie nalegała. Jej uwagę odwrócił Samuel. Podeszedł bokiem kłaniając się pokornie i błagalnie. Zwolniono go na końcu tego rejsu. Musi wracać do swojej wioski. Chyba że memsahib będzie mogła zatrudnić bardzo taniego, bardzo lojalnego, bardzo chrześcijańskiego chłopca, który spędził cała noc tańcząc, by odpędzić demony choroby od sahiba doktora.

## Rozdział IX

Zamężne panie przodem.

Przykucając w udawanym dygu, Sophie cofnęła się na trapie, przepuszczając Kate w korkowym hełmie na głowie, i panią Purvis, trzymającą dziecko w ramionach, pozwalając im zejść po zrobionych z brązowych listewek schodkach do czekającego poniżej tendera. Po czym, przytrzymując się ręki George'a, jakby bez jego wsparcia miała spaść w kłębiące się poniżej zielone wody, powoli podążyła za nimi. Ukryty za wielką stertą bagażu, Samuel szedł z tyłu.

Z wielu powodów, z których jeden był osobisty i samolubny, Sophie poczuła olbrzymią ulgę, że Kate postarała się o męża, chociaż o takiego, który zapewne wkrótce umrze. Nawet krótkotrwałe małżeństwo nadawało pewien status. I chociaż miała ponad szesnaście lat więcej niż wymagany do zawarcia małżeństwa wiek, i nadal będąc panną, Sophie była aż nadto świadoma, jak trudno jest znaleźć nijakiego, a co dopiero dobrego mężczyznę za męża. Przybywając do obcego kraju jako jeszcze niepełnoletnia sierota, w jej mniemaniu Kate mądrze wybrała jedyną otwartą dla siebie drogę. Sophie odczuwała jedynie od czasu do czasu drobne ukłucie zazdrości, kiedy zauważała, że błędzący wzrok George'a zbyt długo zatrzymywał się na Kate. Po wydarzeniach w Neapolu pochwalił Kate, uznając ją za „dzielną osóbkę”

i zaryzykował opinię, że wyrośnie na taką damę, z którą „nieźle się będzie zabawić”. Teraz, kiedy Kate była zamężna, przynajmniej na razie, Sophie będzie stanowiła centrum zainteresowania - będzie jedną z nielicznych białych kobiet w Rangawelli pośród morza plantatorów herbaty, oficerów i innych jeszcze nadających się na męża kandydatów - a George, który wspomniał coś o tym, że chciałby się z nią ożenić, będzie znajdował się zaledwie w odległości pół dnia jazdy.

- No, w końcu jesteśmy na miejscu - powiedziała Sophie, wsiadając do tendera i zajmując miejsce obok Kate a naprzeciwko pani Purvis. - Jak tu ślicznie!

Z zadowoleniem rozejrzała się wokół, spoglądając na płytkie fale, rozbijające się i tworzące białą pianę wzdłuż falochronu. Popatrzyła na miasto wylaniające się za przysadzistą bryłą portugalskiej latarni, które czekało, aż je zbada.

- I także ślicznie pachnie, czego nie można powiedzieć o Neapolu, prawda, George? - Roześmiała się łobuzersko.

Kate uśmiechnęła się. Wciągnęła w płuca niewyobrażalnie piękny zapach składający się z tropikalnych kwiatów i korzeni - uroczynu i kokosa, jaśminu i cynamonu, imbiru i ananasa. Wraz z odgłosem, jaki wydawały wiosła tendera, dobiegał ich tęskny śpiew kulisów ze statków transportowych i odgłos dzwonów, dobiegających gdzieś z portu.

- Wiktorie nie sprawia wrażenia zbyt zachwyconej, że przyплыnęła do domu. - Sophie pochyliła się do przodu, kiedy dziecko zaczęło kwilić.

- Jest jej gorąco - rzuciła szorstko Edith, z niepokojem marszcząc czoło.

- Och, zaraz będzie jej chłodniej, kiedy znajdzie się na wyżynie - rzucił niedbale George. - Czyż to nie jej kochany tatuś czeka na nią na nadbrzeżu?

Mówiąc to szturchnął Sophie w bok. Tylko dwukrotnie spotkał wielebnego Purvisa, powiedział jej, i było to o dwa razy za dużo.

Od strony nadbrzeża pulchny mężczyzna z koloratką i w lekkim garniturze beznamiętnie przyglądał się przez okulary bez oprawek, jak łódź przybija do brzegu.

Pani Purvis pierwszej pomóżono wysiąść na moło.

- Oto twoja pierworodna, nasza ukochana córeczka!

- Złożyła na jego różowym policzku szybki pocałunek, podnosząc w górę nadal kwilącą latorość, by mógł tym samym obdarzyć dziecko. - A to jest Kate. Teraz oczywiście, pani Warrender. - Po szybkiej wymianie szeptów, wielebny Purvis skinął głową.

- Tak, tak, dotarł do nas twój telegram. Tak jak i do ciebie nasz. - Kilkakrotnie potrząsnął głową i ujął dłoń Kate w obie swoje różowe, pulchne dłonie.

- Pochowałem twojego ojca - powiedział. - Miał piękny koniec.

- Dziękuję.

- A to panna Simpson, nowa główna sprzedawczyni u Browna.

- Panno Simpson, miło mi panią poznać.

- Pana Hardwicke'a oczywiście znasz.

Na twarzy wielebnego Purvisa nie pojawił się najmniejszy ślad rozpoznania. Powiedział tylko żywo:

- Wszystko zostało przygotowane, Edith. Doktor Warrender zostanie zabrany do szpitalnej izolatki. My złapiemy pociąg o dziesiątej piętnaście z Maradany do Rangawelli. Chłopcze! - Zwrócił się do Samuela. - Szybko! Cło. Dorożka.

Wcisnął kilka drobnych monet w dłoń Samuela, kiedy pani Purvis ponownie przysunęła głowę blisko do jego głowy i coś szepnęła.

- Jedzie z nami? Ten chłopiec?

- I panna Simpson i pan Hardwicke, kochanie.

- Chłopiec... panna Simpson... pan Harwicke. - Pan Purvis sprawiał wrażenie, jakby wyczytywał nazwiska z dziennika. - Tylko dla nas zarezerwowałem miejsca. Pani Wanderrer, ze względu na okoliczności bez wątpienia może z nami pojechać, ale co do nich nie ma szansy. Żadnej szansy. - Szybko sięgnął do kieszeni i wyjął złoty zegarek kopertowy. - W takim tempie tak czy owak spóźnimy się na pociąg. - Zaczął poganiać przed sobą Edith i Kate, jakby chciał oddzielić owieczki od wilków, mamrotając pod nosem: - O tak późnej porze nie mamy szans na miejsca.

Okazało się jednak, że w przedziale pierwszej klasy zarezerwowanym dla Purvisow z łatwością znalazły się miejsca dla George'a i Sophie, a pociąg odjechał dopiero o jedenastej piętnaście. Ku przerażeniu Kate Samuel jechał na zewnątrz na schodkach w towarzystwie setki innych pasażerów, podczas gdy następna setka jechała na dachu wagonu.

- Z pewnością zmieściliby się z nami - powiedziała.
- Nie byłby ci za to wdzięczny, Kate - odparła pani Purvis.
- Są do tego przyzwyczajeni - dodał pan Purvis, przecierając okulary.
- Tam jest chłodniej - rzucił George.
- Ale czy to nie jest niebezpieczne?
- Niebezpieczne? - George wskazał na biały półksiężyc uśmiechniętych zębów po drugiej stronie szyby, kiedy pociąg zaczął ze stukotem wytaczać się ze stacji Maradana. - Moja droga, spójrz na niego... bawi się jak nigdy w życiu.
- Władze nie pozwoliłyby na to, gdyby było to niebezpieczne - orzekła z przyganą w głosie pani Purvis. - Byłoby to sprzeczne z prawem. - Wskazała na okrągły kamienny fort, na którego szczycie powiewała brytyjska flaga. - Brytyjskim prawem.



Pociąg nabierał prędkości, stukocząc po torach i tak głośno gwiżdżąc, że wszelka rozmowa stała się niemożliwa. Szałas z blachy falistej, które otaczały skraj miasta, ustąpiły miejsca krytym czerwoną dachówką bungalowom, a następnie glinianym chatom o strzechach z palmowych liści, tarasowym polem i zielonym palcom wdzierającej się dżungli. Wszędzie widać było pomarańczowe i liliowe kwiaty, wysokie palmy i jeziora pokryte kwiatami lotosu. Wysypaną czerwonym żwirem drogę, która biegła wzdłuż linii kolejowej wypełniały wozy zaprzężone w woły i słonie obciążone kłodami. A za tym wszystkim jawiły się góry i najwyższa z nich wszystkich, Góra Adama.

Wszystko było takie inne, o tyle bardziej kolorowe, o tyle piękniejsze i złowróżbne niż łupkowe dachy domów w Leeds i wieczny deszcz Yorkshire, że po raz pierwszy od śmierci ojca Kate pożałowała, że nie wróciła do Anglii. Wydawało się jej teraz, że statek był ostatnią więzią z domem. Nieważne było to, co pokazywała jej Edith Purvis, kiedy wolno wjeżdżali na stację - że są tutaj boisko do krykieta, pola golfowe i korty tenisowe, a więc jest tak samo jak w Anglii. Nie było tak samo. Czerwienie, zielenie, żółcie i fiolety były zbyt jaskrawe. Było tu obco. Z pewnością pięknie, ale przerażająco, a cała angielskość spoczywała niepewnie na czubku tego wszystkiego niczym hełm korkowy na tygrysie.

- Popatrz - powiedziała pani Purvis, kiedy zwolnili przy rozjeździe. - Angielska budka dróżnika. Dokładnie taka sama jak w domu. A zauważyłaś, że ten człowiek w środku miał na sobie taki sam mundur jak mają dróżnicy kolei brytyjskich?

Kate zauważyła w środku mężczyznę pocącego się w granatowym mundurze. Skinęła głową.

- Ale czegoś takiego nie znajdziesz w Anglii, Kate. - Pani Purvis ponownie wskazała palcem. - Tam, Kate.

Ta przysadzista biała kopuła. Ta, która wygląda jak igloo Eskimosa, obok posągu Buddy. Nazywa się dagoba.

Sophie chichocząc uczyniła pod nosem jakąś uwagę, że bardziej to przypomina biust kobiety. Pani Purvis obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem i ciągnęła na głos:

- Ten mężczyzna w żółtej szacie i z ogoloną głową jest mnichem. Nazywają go bikku, co znaczy żebrak. Popatrz, jak klęczą przed tym widokiem. Z tym właśnie musimy walczyć, Kate. Do tego właśnie zostaliśmy powołani, my chrześcijanie.

Sophie pochwyciła spojrzenie Kate i uśmiechnęła się, ta jednak nagle pomyślała o ojcu i odwróciła wzrok. Pociąg wspinał się wolno w stronę zamglonych, dziwnie złowrogich linii gór przed nimi, mijając plantacje kauczuku, hodowle przypraw, bawoły taplające się na zalanych polach, gaje bananowców, paw-paw i drzew pomarańczowych i pomiędzy słupami telegraficznymi niczym bluszczem obrośniętymi pieprzowcami.

- To następny z naszych problemów. - Pani Purvis wskazała na jaskrawo-kolorową bramę rzeźbioną w diable głowy. - To wejście do hinduskiej świątyni. Wszyscy robotnicy na plantacjach herbaty są tamilskimi Hindusami. Nie wierzą w jednego Boga, ale w wiele bóstw. Czczą nawet takiego jednego strasznego, zwanego Śiwa Niszczyciel. Jeszcze bardziej wierzą w zabobony niż syngalescy buddyści.

Wielebny Purvis pochylił się do przodu i wskazał palcem na Samuela, który przywarł nosem do szyby.

- To właśnie jest syngaleska twarz, mleczna czekolada. Tamilowie są ciemniejsi - gorzka czekolada, taka, jaką lubię najbardziej. Będziesz musiała uważać na Samuela. Tamilowie i Syngalezi nienawidzą się nawzajem. Zawsze ze sobą walczą.

- Ale Samuel jest chrześcijaninem.

Pan Purvis popatrzył na nią sceptycznie.

- Czasami wyznają religię chrześcijańską, żeby lepiej ułożyć sobie życie, zdobyć wykształcenie. To my założyliśmy szkoły. A to że są chrześcijanami nie przeszkadza im ze sobą walczyć.

- Wystarczy popatrzeć na nas i na Burów.

Pan Purvis obrzucił ją przeszywającym spojrzeniem.

- To coś całkiem innego - powiedział. - Nasz biedny rząd ma tutaj sporo kłopotów, żeby utrzymać pokój.

- Zamieszki - westchnęła pani Purvis. - Drzę na myśl, co by sobie nawzajem zrobili, gdyby nie było tutaj armii brytyjskiej, Tak, jak...

Podniosła wzrok do nieba. Pociąg tłukł się powoli po drewnianym moście ponad szeroką brązową rzeką w której dostrzegli kąpiące się słonie. Jeden z nich używał dużego kawałka palmy jak gąbki.

- To Mahawelli Ganga - powiedział wielebny Purvis

- największa rzeka na Cejlonie. A tam - wskazał palcem w kierunku rzędu palm - są ogrody Peradinya.

Pojawienie się czerwonych dachówek, białych murów i pióropuszy palm kokosowych wskazywało, że zbliżają się do dużego miasta.

- Kandy - obwieścił wielebny Purvis - starożytna stolica królów. Doszło do straszliwej masakry, kiedy zdobyliśmy ją sto lat temu. Pięćdziesiąt lat temu wybuchły straszliwe zamieszki.

Poprzez drzewa dojrzeli nagle skrawek szafiru.

- Jezioro - ciągnął wielebny Purvis. - A ten dziwny, budynek o ośmiokątnym dachu to Dalada Malagawe, świątynia, w której przechowywany jest ząb Buddy.

- Ta dentystyczna budowla - pan Purvis uśmiechnął się z własnego poczucia humoru - jest w tej samej skali co odcisk stopy Buddy na szczycie Góry Adama. -Jego uśmiech przeszedł w westchnienie. - Bałwochwalstwo, przesady, niemoralność...

Pociąg zaczął zwalniać. Z różnokolorowych straganów spoglądało na nich morze brązowych twarzy. Do przedziału wdarł się ciężki zapach składający się ze zwierzęcych odchodów, potu i przypraw. Rozległ się gwar głosów.

Początkowo Kate sądziła, że chłopcy jadący na stopniach krzyczą do swoich ziomków na targowisku, tak jednak nie było. Wydawali z siebie dziwny dźwięk, płaczliwy, a zarazem złowrogi. Był to przerażający dźwięk, nie głośny, lecz natarczywy, wdzierający się głęboko w człowieka i wywołujący niewyraźny lęk.

- Ten budynek o różowych murach i wieżyczkach, który właśnie mijamy, to więzienie - poinformował ich ze zmarszczonym czołem wielebny Purvis.

- To dlatego te czarnuchy tak hałasują? - Sophie pochyliła się do przodu, z ciekawością przyglądając się budynkowi.

- Najprawdopodobniej - westchnął wielebny Purvis. - Tubylcy są jak dzieci. Nie znoszą dyscypliny. Nie znoszą nawet brytyjskiej sprawiedliwości. A szczególnie nie znoszą więzienia w Kandy. I nigdy nie zapominają.

- Kiedy dochodzi do zabójstw - powiedziała z namaszczeniem pani Purvis - to musi dochodzić do egzekucji.

- Powinno ich być dużo więcej - wtrącił się George Hardwicke. - Klótniwe diabły! Zadźgają się nożami, jak tylko spuści się ich z oczu!

- Wielebny Purvis musiał kilkakrotnie spełnić ten smutny obowiązek i uczestniczyć przy egzekucji - powiedziała, nie bez dumy, Edith.

Kate spojrzała na niego z nieskrywanym przerażeniem, a on nerwowo poprawił żonę.

- Po to, by dać złoczyńcom ostatnią szansę na spotkanie z Jezusem. Sophie popatrzyła na Kate i mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Czy korzystają z niej, pani Purvis?

- Niektórzy pozostają zatwardziali, młoda kobieto -odparł znacząco wielebny Purvis - inni jednak doszli do kresu swojej drogi z imieniem Jezusa na ustach, Bogu niech będą dzięki.

Ze swej strony Kate była wdzięczna Bogu, że właśnie w tej chwili dziecko zaczęło głośno płakać, kładąc kres tej okropnej rozmowie. Wiktoria płakała cały czas, podczas gdy pasażerowie wsiadali i wysiadali ze swym bagażem na dworcu w Kandy. Kiedy pociąg podjął podróż, Edith opuściła ich i udała się do specjalnego wagonu, by nakarmić dziecko. Kiedy jej nie było, nie podjęto już rozmowy. George i Sophie trzymali się za ręce i coś sobie szeptali. Wielebny Purvis wyjął mały oprawiony na czarno modlitewnik i studiował go pilnie, jakby chciał uniknąć patrzenia na nich.

Kate nagle przypomniał się biedny doktor Warrender, wyjmujący swoje medyczne czasopismo w pociągu do Liverpoolu, co działo się chyba tysiąc lat temu. Oczy napełniły się jej łzami. Biedny, umierający doktor Warrender. Najpierw jej matka i ojciec, teraz on. Była sama na tej kolorowej, pięknej, groźnej wyspie, tu gdzie czcili Niszczyciela i zabijali się nożami. Starła się nie odczuwać strachu.

Patrzyła przez okno. Pociąg wspinał się coraz bardziej poprzez pokryte zielonymi tarasami plantacje herbaty, mijając śnieżnobiałe wodospady, zmierzając w stronę tych rozmarzonych wzgórz, a przed nimi widniał wielki stożek Góry Adama, oślepiający na tle błękitnego nieba.

Przez na wpół otwarte okno wdarł się ostry aromat krzewów herbacianych. Kate słyszała nawet śpiew kobiet pracujących wśród nich. Jednakże to góra nieubłaganie przyciągała jej wzrok. Dziewczyna zaczynała się jej bać i nienawidzić, prawie tak bardzo, jak bała się i nienawidziła Boga.

W pewnym momencie Kate musiała zapaść w drzemkę. Otworzyła oczy i zobaczyła, że pani Purvis wróciła do przedziału. Podskakiwała na siedzeniu i wzrokiem posiadaczki patrzyła na blaszane dachy suszarni herbaty, usadowione pomiędzy zielonymi stokami i przedmieściem.

- Czyż to nie piękne, Kate? Każdy widok sprawia przyjemność, nieprawdaż?

Kate nic na to nie odpowiedziała.

Budynki zaczęły rosnać w liczbę i wielkość - jeszcze jedno targowisko i szare solidne struktury wyłaniały się spośród blaszanych dachów, niezaprzeczalnie brytyjskie, chociaż nie powiewała na nich brytyjska flaga. Pociąg zatrzymał się gwałtownie.

- Rangawella - obwieściła pani Purvis. - Przyjechaliśmy! Kate poszła za nią na peron i weszła w kłębiącą się

masę brązowych twarzy, niezrozumiałych hałasów i obcych zapachów. Wielebny Purvis natychmiast zaczął pomagać Edith z dzieckiem. George podał ramię Sophie. Samuel, z ważną miną, zaczął biegać tam i z powrotem, doglądając bagażu. Kate poczuła się niezmiernie samotna. Czowała się jak w koszmarze, z którego nie mogła uciec. Otaczali ją krzyżący ludzie, dym i zaduch.

Nagle tłum rozstał się niczym Morze Czerwone. Dostrzegła wysoką postać w nienagannym wojskowym mundurze, kroczącą ku niej niczym ktoś z romantycznego snu. Kiedy się zbliżył, Kate pomyślała, że jest to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała w życiu. Nie mogła uwierzyć, że podchodzi tak zdecydowanie, tylko po to, by do niej przemówić.

Tak jednak się stało. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na nikogo innego, ani na Sophie i George'a, którzy próbowali utorować sobie drogę w tłumie, ani na Edith i wielebnego Purvisa, który patrzył na niego z zaskoczeniem mrugając oczami.

- Jestem Richard - obwieściło zjawisko nie pytając ją o imię - Richard Carlton. Kuzyn Williama. - Zza pleców wysunął ogromny bukiet róż, które natychmiast napełniły powietrze słodkim zapachem Anglii. - Witaj w domu, Kate.

- A teraz sam dom, Kate.

Major Carlton ściągnął swojego gniadego wałacha, pochylił się nad wynajętym powozem, w którym jechali Kate, Sophie i Samuel, pejcą wskazał na otwartą żelazną bramę na szczycie wzgórza.

Kate widziała jedynie róże, wiciokrzew, astry i stephanotis, i na tle jaskrawoniebieskiego nieba jaskółki przelatujące wokół białego bungalowu. To mogłaby być Anglia, to mógł być mały domek w Kornwalii, gdzie wraz z rodzicami spędziła ostatnie wakacje, zanim wyjechali na Cejlon, tyle że dach tego był zrobiony z falistej blachy.

Tęsknota za domem i strach, które skumulowały się w niej podczas podróży pociągiem, przerodziły się gwałtownie w iluzoryczne wrażenie powrotu do domu i poczucie bezpieczeństwa. Wszelkie poczucie zagrożeni i strachu rozplynęło się w zapachu kwiatów, w słodczy górskiego powietrza i przyjaznej postawie kuzyna Williama. Kiedy mijali kwitnące krzewy i gazony z ogromnymi szkarłatnymi pelargoniami, zaczęła myśleć, że tu naprawdę znajduje się raj.

Koła powozu zatrzymały się z chrzęstem. Major Carlton najpierw pomógł wysiąść Kate, a następnie Sophie, i kazał Samuelowi wyładować bagaże.

Następnie poprowadził je po trzech betonowych schodkach na oszkloną werandę. Wewnątrz panował mroczny chłód. Podłoga, ze skrupulatnie wyszorowanego betonu, została pokryta kokosową matą. Na pobielonych ścianach nie było żadnych obrazów.

- Potrzebna kobieca ręka, prawda? - Sophie była wyraźnie rozczarowana. - Mój przyjaciel, pan Hardwicke powiedział, że Brytyjczycy mieszkają w pałacach.

- Ten pani przyjaciel ze stacji? - Major Carlton w miły sposób marszczył swój krótki, zadarty nos, kiedy się uśmiechał. - Czy on nie jest właścicielem posiadłości Blue Mountain?

- Jak najbardziej.

- Wobec tego z tego co wiem, rzeczywiście mieszka w pałacu.

- Czy to daleko stąd? - Sophie udawała tylko lekko zainteresowaną.

- Około osiemnaście mil.

- Dał mi do zrozumienia, że często ma u siebie gości.

Major wzruszył ramionami.

- Większość plantatorów wydaje przyjęcia. Żyją jak królowie. A tak naprawdę to są królami. Są współczesną wersją starożytnych władców. Wytwarzają wielkie bogactwo. Nie tylko dla siebie, ale dla Imperium. Nie mogą zrobić nic niewłaściwego. Nie darmo nazywa się Cejlon Królestwem Plantatorów.

Major Carlton otworzył pierwsze drzwi na lewo, ukazując pokój ze starannie wyfroterowaną podłogą z linoleum, wyposażony w trzy fotele z drzewa tekowego i kilka stolików. Ściany pokrywały przeszklone biblioteczne półki.

- Obawiam się, że William ma znacznie skromniejszy gust. To salon.

Sophie przysiadła na jednym z foteli. Wstała szybko, potarła się w pupę i mrugnęła do majora.

Jadalnia była urządzona w podobnym charakterze, a także sypialnia doktora. Wielkie, proste łóżko z drzewa tekowego, otulone moskitierą, stało w rogu naprzeciw komody i ogromnego kredensu z mahoniu.



- Mówi się na to almirah - wyjaśnił major. - Pozostałość po panowaniu Holendrów.

W pokoju znajdowało się kilka osobistych przedmiotów - para oprawnych w srebro szczotek na komodzie, palcat do jazdy konnej i laska w bambusowym stojaku, ale żadnych obrazów czy fotografii.

Dwie pozostałe sypialnie zostały równie surowo urządzone.

- Wybierz sobie tę, która ci się podoba - powiedziała Kate do Sophie. Jej samej bardzo spodobał się bungalow i prawie odczuła w stosunku do niego dumę właścicielki.

- Gdybym był na pani miejscu - doradził jej major, widząc wahanie Sophie - wziąłbym ten. Rozpościera się z niego ładny widok na ogród. A poza tym będzie pani z dala od kuchni i zapachu przyrządzanego przez Appu curry.

Miał ładny śmiech, naturalny i niewymuszony. W jego wystających kościach policzkowych, w wyrazistych rysach twarzy, a także w zdecydowanych, szybkich ruchach widoczne było rodzinne podobieństwo. Jednak major posiadał wrodzoną radość i wesołość, zachwycającą lekkość ducha, która była całkowicie jego własna.

Zarówno on jak i Sophie przyjęli, że Kate zajmie pokój doktora Warrendera, ona jednak wzięła ten naprzeciwko kuchni, co do którego ostrzegał Sophie major.

- Widzę, że lubisz curry, kuzynko Kate - uśmiechnął się major, obracając to w żart, jednakże w jego głosie zabrzmiała zarówno ciekawość jak i troska.

Ostatni pokój w domu był najlepiej umeblowany. . Nienaganny gabinet przyjęć Williama Warrendera został wyposażony w solidne biurko i krzesło z drewna tekowego. Długie, pomalowane półki wypełniały butelki, wisiały ponad błyszczącą, białą szafką o przeszklonych drzwiczkach, pełną medycznych instrumentów. Znajdowała się

w nim lekarska waga, plansze do testowania wzroku, stetoskop, dwa mikroskopy oraz zestaw retort i palników, a także kozetka do badania wraz z parawanem, który można było wokół niej rozstawić.

- William wierzy w wiedzę - powiedział major ze wzruszającą dumą.

- W co jeszcze wierzy? - zapytała Sophie. Major wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Przypuszczam, że w ludzkość. Braterstwo ludzi. I w Boga. Chociaż nie wyznaje żadnej szczególnej religii, jak sądzę. Raz powiedział mi, że wierzy w mnogość ścieżek. A ja mu powiedziałem - major uśmiechnął się nieśmiało i pogardliwie, jakby kłóciło się to z jego przekonaniem - że dlatego właśnie lubi widok tej świętej góry, do której prowadzi tak wiele ścieżek.

Poprosił, żeby podeszły do okna.

Poza ogrodem po drugiej stronie doliny Rangawelli i jej linii kolejowej, z wieżą Kościoła Anglikańskiego, kaplicą ewangelicką, katolickim kościołem, buddyjską dagobą, muzułmańskim minaretem i hinduską świątynią, górował ogromny stożek Góry Adama, nagle przybliżony jakby poprzez soczewki mikroskopu doktora Warrendera, gdyż ostatni raz Kate wpatrywała się w nią z pociągu.

W słodko pachnącym ciepłe poczuła chłód nieokreślonego strachu. Nagle róże nie były już angielskie, zielona trawa nie przywodziła już na myśl wilgotnych łąk. Wszystko było oszustwem. Rajski Eden zaczynał się rozpląwać.

- Memsahib!

Odwróciła głowę. W drzwiach stał bosonogi, drobny mężczyzna o brązowej twarzy, ubrany w nieskazitelnie białe dhoti. Czarne włosy miał upięte na czubku głowy niczym kobieta w ciasny węzeł przytrzymany szylkretowym grzebieniem, który świadczył o tym, że mężczyzna

pochodzi z wysokiej kasty i nigdy niczego nie nosił na głowie.

Widać było, że jest bardzo zły. Jego brązowe oczy miały iskry, a zęby pobłyskiwały niczym nóż w czekoladowej twarzy. Z jego bladych ust spływał potok niezrozumiałych, ostro brzmiących słów. Za nim dostrzegła ciemniejszą twarz Samuela, który sprawiał wrażenie przerażonego.

W końcu padły dwa słowa, które Kate bardzo dobrze zrozumiała.

- Dość służby!

Doszło więc do pierwszego domowego kryzysu, jaki Kate musiała rozwiązać. Syngalez Appu nie chciał Tamila Samuela. Wielebny Purvis powiedział jej już, że te dwie rasy zamieszkujące Cejlon nienawidzą się nawzajem. A teraz mogła stwierdzić, jak bardzo.

- Dość służby! - ponownie zasyszał drobny brązowy mężczyzna, przecinając powietrze ramionami.

Kate zaczerpnęła głęboko powietrza. Wiedziała, że musi zademonstrować swoją władzę, tak dla dobra Samuela, jak i swojego własnego. Tak spokojnie, jak to było możliwe, powiedziała wyraźnie:

- Powiedziałam już Samuelowi, że zostanie tutaj zatrudniony. Dałam mu na to swoje słowo. Samuel zostanie.

Appu udawał, że nie rozumie.

Major Carlton wysunął się do przodu.

- Niezbyt dobrze mówię w ich narzeczu. - Przez ramię uśmiechnął się przepraszająco do Kate. - Spróbuję jednak porozmawiać z tym starym draniem.

Zaczął wydawać dziwne, skrzekliwe dźwięki, wymachując rękami prawie tak bardzo jak Appu. Appu odparł atak jeszcze szybszymi i skrzekliwszymi dźwiękami. Major Carlton zmarszczył czoło. Wskazał na Kate i podniósł głowę, jakby chciał dać do zrozumienia, że mierzy ona

dziesięć stóp. Appu spojrział na nią, zamrugął, tylko nieznacznie poruszony.

Po czym major Carlton rzucił skrzekliwe pytanie. Appu sprawiał wrażenie zakłopotanego. Oblizął wargi, jakby nie potrafił odpowiedzieć na pytanie majora. Rozpostarł ramiona i potrząsnął głową, wruszył ramionami i udał, że wpada w rozpacz.

Cista majora Carltona zadrżały w skrywanym uśmiechu. Nagle wskazał na Samuela, który nadal kulił się zaniepokojony w hallu. Zwrócił się do Appu z następnym pytaniem. Appu skinął głową. Major pokiwał palcem. Samuel z radością wpadł do środka. Jak gdyby miał być sędzią w meczu krykieta, major po angielsku kazał Syngalezowi i Tamiłowi podać sobie ręce.

Wszystko skończyło się w salonie, gdzie Appu, na mosiężnej tacy przyniósł porcelanowy czajnik z herbatą i filiżanki, a uśmiechający się teraz Samuel serwował słodkie migdałowe ciasteczka.

- Jak pan to zrobił? - zapytała Kate majora, kiedy służący opuścili pokój. - Wszystko stało się tak nagle. Co pan powiedział?

- Cóż, niewiele. - Major uśmiechnął się niewinnie. - To nie ja tego dokonałem, Kate. To ty to zrobiłaś. Zachowałaś się jak prawdziwa memsahib! Bardzo dorosła i pewna siebie. Zrobiłaś oszałamiające wrażenie. Prawda, panno Simpson?

Sophie żarliwie przytaknęła.

- Tak było. I to go powinno czegoś nauczyć.

- Od początku powinnaś dać im do zrozumienia, że to ty jesteś tutaj panią. I tak też zrobiłaś. - Major Carlton poczęstował się następnym migdałowym ciasteczkiem. - To przebiegłe łobuzy. Także okrutni na swój uśmiechnięty sposób. Jeśli pozwolisz im na to, żeby zaczęli się tu rządzić, wypędzą cię z własnego domu. To święta prawda. Był taki tragiczny wypadek z żoną

mojego kapitana. Ubzdurzyła sobie, że służba się z niej śmieje. A po prostu nie potrafiła ich kontrolować. Zostawiła liścik i zniknęła. Tydzień później znaleźli jej ciało w Mahaweli Ganga.

- Dobrze że od razu im pokazałaś, że nie zamierzasz się poddać. - Sophie poklepała Kate po ramieniu. - Nie ma potrzeby, żebyś wyglądała na tak zmartwioną. Tutaj do tego nie dojdzie, prawda, majorze?

- Z pewnością nie. - Major uśmiechnął się uspokajająco. - A oprócz tego krajowcy bardziej nienawidzą siebie nawzajem, niż nienawidzą nas.

- To prawda. - Sophie ze znanstwem pokiwała głową. - Szkoda, że nie słyszał pan niektórych historii, jakie opowiadano mi na „Księżniczce”. Tamiłowicze zabijali Syngalezów i vice versa. Och! - Sophie zadrżała. - Lepiej ich nie powtarzać.

- W pewnym sensie - ciągnął major Carlton - lubią nas. Brytyjskie panowanie, Matka Królowa, tego typu rzeczy. Daje im to poczucie bezpieczeństwa. Tak długo, jak Brytyjczycy będą się odpowiednio zachowywać. I pamiętajcie...

- Pamiętajcie o czym? - zapytała Kate.

- O tym, że jesteśmy klasą rządzącą ujarzmionym narodem.

Kąciki ust Kate opadły w dół.

- Och, Boże.

- Musimy traktować ich jak dzieci, sprawiedliwie ale surowo, nigdy nie spuszczać z nich oka. W przeciwnym razie podzielimy los Portugalczyków i Holendrów i zostaniemy wyrzuceni z tej wyspy.

- Nigdy do tego nie dojdzie. - Sophie z uznaniem spojrzała na majora. - Nie wówczas, gdy w pobliżu znajdują się tak dzielni żołnierze jak pan.

Major Carlton uśmiechnął się kwaśno.

- Nie minęło tak wiele lat, od czasu gdy było to bardzo prawdopodobne.

Sophie wydała pełne niedowierzania chrząknięcie.

- W całym Imperium dochodziło do rozruchów. - Major nagle spoważniał, młodzieńczy uśmiech zniknął, a błękitne oczy zwęziły się. - Powstanie Sipajów, Sudan, Afganistan. - Przez moment rodzinne podobieństwo do Williama stało się bardzo wyraźne.

- Cóż - rzuciła wesoło Sophie. - Ale nie wyrzucili nas z żadnych z tych miejsc. A patrzcie tylko na Burów. Nie udało się im.

Major skrzywił się.

- Niestety, panno Simpson, Burowie nadal starają się wyrwać. Niech pani nie zapomina, że generał White nadal przetrzymywany jest w Ladysmith. - Ze smutkiem wysunął dolną wargę. - To nie jest pociechą. A Baden-Powell głoduje w Mafeking.

- A pana aż skręca, żeby się tam znaleźć. - Sophie potrząsnęła głową z mieszaniną współczucia i przygany. - Prawda?

- Powiedziałem już moim zwierzchnikom, że pilnowanie burskich jeńców wojennych nie jest tym, co uważam za walkę.

- Spełnił pan już swój obowiązek - zaprotestowała Sophie.

- Żołnierz nigdy nie wypełnił obowiązku, dopóki wojna nie jest wygrana - przypomniał jej z powagą major.

- Cóż, my, Kate i ja, nie możemy się bez pana obejść, to fakt! - Sophie odwróciła się do Kate, nadal uśmiechając się łobuzersko.

Kate, która z niemym zadziwieniem przysłuchiwała się rozmowie, nagle wyprostowała się na krześle i szeroko rozwarła oczy.

- Nie poprosił pan o ponowne odesłanie na wojnę, prawda, majorze? - zapytała.

- Richard - poprawił ją delikatnie. - Kuzyn Richard.

- Wobec tego, kuzynie Richardzie. - Pospiesznym machnięciem ręki załatwiła jego obiekcję, z niepokojem zaciskając dłonie. Znała kuzyna Williama zaledwie od kilku godzin, ale były to ważne i emocjonalnie wyczerpujące godziny, a jego obecność sprawiła, że niespodziewanie stały się słodkie. Teraz nagle okazało się, że i on może wkrótce odjechać i nigdy nie wrócić, tak jak jej rodzice i doktor Warrender. Ta perspektywa napełniła ją niemożliwym do zniesienia uczuciem paniki.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - ciągnęła ochryplym głosem.  
- Czy poprosiłeś, żeby odesłano cię na wojnę? Czy mogą cię odesłać? Dlaczego, dlaczego, chcesz jechać?

Spojrzał na nią łobuzersko. Po czym powiedział:

- Poprosiłem, ale odrzucili moją prośbę.

- Ach, co za ulga. - Kate odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się z promienną i młodzieńczą radością.

Majora dziwnie wzruszyła jej reakcja. Przechylił głowę w bok, badawczo przyglądając się jej twarzy, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Teraz już wiem - powiedział wesoło - dlaczego William zakochał się w tobie.

- Och, ale on wcale się nie zakochał! - odparła Kate szybko, bezmyślnie, nadal z lekkim sercem na myśl, że jednak nie utraci majora. - William nigdy się we mnie nie zakochał. Ani przez chwilę. Wątpię nawet w to, czy mnie lubi. Ożenił się ze mną tylko po to, bym miała jakieś zabezpieczenie.

Major przypatrywał się jej przez dłuższy czas. Po jego otwartym, chłopięcym obliczu przesunęła się chmura zmiennych i sprzecznych emocji.

- Rozumiem! - powiedział powoli po kilku sekundach, przyglądając ciemnozłoty wąs dwoma palcami i marszcząc brwi w wyrażający zdziwienie grymas. - A raczej nie rozumiem. Wcale nie rozumiem.

## Rozdział X

Richard Carlton nie całkiem zapomniał o własnym zaskoczeniu, kiedy przyjechał wcześniej rano następnego dnia, by złożyć swe uszanowania. Usłyszawszy odgłos końskich kopyt na żwirze, Kate zeszła po schodach na powitanie, a Samuel przybiegł z tyłu domu, żeby odebrać od niego wodze. Było to powitanie, które uradowało serce majora.

Kate wyglądała ślicznie jak z obrazka w prostej bawełnianej spódnicy i białej bluzce, z ciemnoróżowym kwiatem hibiscusa wpiętym we włosy.

- Przyjechałeś wcześniej, kuzynie Richardzie - zawołała wesoło.

- Mam nadzieję, że nie za wcześniej. - Zeskoczył z konia, ujął jej wyciągniętą rękę i pochylił się nad nią. I chociaż może nie było to stosowne, podniósł ją do ust.

- Oczywiście że nie. Wstałam już całe wieki temu. Sophie nadal jest w łóżku.

- Ale ty nie mogłaś spać?

- Wprost przeciwnie, spałam dobrze. - Po jej ożywionej twarzy przebiegł cień poczucia winy, jakby nagle pomyślała, że wzięwszy wszystko pod uwagę, nie powinna była dobrze spać.

- W porządku. - Major uśmiechnął się do niej. - Nie bałaś się więc tych wszystkich odgłosów dżungli.



- Właściwie nie. Słyszałam rechot żab i coś co przypomniało dźwięki wydawane przez świerszcze...

- Prawdopodobnie cykady.

- I w oddali coś warczącego i drapiącego. Ale obudził mnie cudowny odgłos - ptaki śpiewające w zaroślach. Było to tak piękne, że wstałam i próbowałam jej wypatrzyć. A wówczas ujrzałam coś wspaniałego, świt za Górą Adama.

Przerwała. Major przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy, co sprawiło, że równocześnie poczuła i strach, i radość.

- Wtedy Samuel - ciągnęła prawie bez tchu - przyniósł mi na śniadanie mrożone paw-paw.

- Nie na śniadanie - poprawił ją major. - Na Cejlonie na śniadanie mówi się wczesna herbata. To twoja pierwsza lekcja tego dnia, mała Kate.

- Tak, panie majorze - roześmiała się, przykucając w udawanym dygu, aż z poczuciem winy zdała sobie sprawę, że flirtuje, i to na dodatek z kuzynem doktora Warrendera.

- Czy jesteś już gotowa na drugą lekcję, kuzynko Kate?

- To zależy od tego, czego będzie dotyczyć.

- Tego, przed czym ostrzegałem cię wczoraj. Chociaż prawdopodobnie byłaś zbyt zmęczona, żeby wszystko zrozumieć. - Uśmiechnął się. - Twoja pańskie odwiedziny w kuchni. Dopadnięcie Appu w jego jaskini.

Kąciki ust opadły Kate w dół.

- Och, Boże.

- Żadne „Och, Boże” - rzucił żwawo major. - To trzeba zrobić, Kate, daję słowo. I to wszystko. Im szybciej, tym lepiej. Będiesz na to potrzebować trochę pieniędzy, jakie dał ci William.

Kiedy wsunął rękę do kieszeni munduru, jego wzrok spoczął badawczo na twarzy Kate. Jej wspaniałe, jasne oczy zachmurzyły się na dźwięk imienia Williama.

Uwodzicielski uśmiech zamarł jej na ustach. Odwróciła się i poszła przed nim w stronę kuchni, nie mówiąc ani słowa.

Kuchnia była prymitywną przybudówką na tyłach domu. Miała glinianą podłogę i stał w niej piec na węgiel drzewny, a tak pełna była dymu, że Kate z trudem dostrzegła Appu. W końcu zmaterializował się: najpierw ukazały się jego błyszczące oczy i białe zęby, kiedy wyłonił się z dymu niczym dżin z lampy Alladyna.

Tego ranka rozmawiano w jakiejś odmianie angielskiego. Zaczął major, życząc Appu dobrego dnia, i tak się dalej potoczyło. Używając pewnych dyplomatycznych umiejętności major Carlton kazał Kate zamówić kurczaka w curry, a następnie sałatkę owocową z rambutanów, paw-paw, ananasa, pomarańczy, mango i platanów, a na wieczór curry jarzynowe. Następnie Appu wręczono pieniądze, żeby poszedł na targ po potrzebne produkty.

Dzięki Bogu, Kate pozwolono następnie uciec, a Appu rozpułnął się w dymie. Major Carlton i Kate przechadzali się po ogrodzie, podczas gdy ten cierpliwie wyjaśniał jej, że codziennie rano musi przechodzić przez ten rytuał.

- Buddyści równie łatwo przystosowują się do otoczenia jak chrześcijanie - skomentował kwaśno Richard. - Oczywiście Appu obetnie trochę dla siebie z pieniędzy, które mu dałaś - uśmiechnął się - ale byłoby rzeczą całkowicie niewłaściwą, gdybyś sama robiła zakupy.

- Dlaczego?

Richard wzruszył ramionami.

- Po prostu tak by było. W każdym razie, gdybyś nawet tak robiła, to za wszystko płaciłabyś potrójną cenę.

Kate roześmiała się.

- Wobec tego nie będę tego robić.
- Dobrze. Wkrótce bowiem odkryjesz, droga Kate, że musisz przyjmować rzeczy takie, jakie są.

W czasie tego spaceru w ogrodzie dowiedziała się także, w jaki sposób Richard nakłonił Appu do zaakceptowania Samuela.

- Jeśli mogę tak powiedzieć, to był przykład - zaśmiał się major - brytyjskiej dyplomacji.

Kate pytająco uniosła brwi. Na jej ustach czarująco błąkał się uśmiezek wyczekiwania. Richard na chwilę zamilkł. Nachylił się do niej bliżej, jakby chciał ją pocałować, po czym lepiej się nad tym zastanowił. Zamiast tego powiedział powoli:

- Przede wszystkim powiedziałem mu, że ulubionym daniem memsahib jest kurczak w curry.

Kate sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Lubisz przecież kurczaka w curry, prawda, Kate? W końcu zamówiłaś go dzisiaj rano.

- No, tak - zgodziła się z powątpiewaniem Kate. - Dość to lubię.

- Dobrze. Wobec tego zapytałem, jak on, Appu, buddysta, któremu religia zabrania zabijać, zamierza przyrządzić ulubioną potrawę memsahib. Kto zabija ptaka?

Kate spojrzała na niego, niepewna, czy ma się śmiać, czy go zganić.

- Unaocznilem więc Appu, jak bardzo pożyteczny będzie Samuel. Jeśli Appu będzie trzymał kurczaka, podczas gdy Samuel, zwykły Hindus, ukręci mu łeb, memsahib dostanie swe ulubione curry.

- Richardziel Roześmiał się.

- Powiedziałem ci, że buddyści równie łatwo przystosowują swą religię do okoliczności jak chrześcijanie. Appu zachował twarz. Memsahib zachowała twarz, ponieważ wykonano jej rozkazy. I o to tylko chodzi.

Sophie, przechadzając się po trawniku, usłyszała ostatnie kilka zdań i z radości klasnęła w dłonie.

- Dobra robota, Richardzie. Sądzę, że zasłużyłeś za to na pocałunek.  
- Stanęła na czubkach palców i mocno pocałowała go w usta.

Kate zrobiła spontaniczny krok w przód, żeby uczynić tak samo, ale powstrzymało ją coś w jego oczach, jakaś nie znana jej dotąd świadomość. Stwierdziła, że nie da rady sprostać jego oczekującemu, lekko kpiącemu spojrzeniu. Wysokim, nienaturalnym głosem zapytała Sophie, czy smakowała jej wczesna herbata. Zobaczyła, jak przenikliwe spojrzenie Sophie omiata najpierw jej twarz, a następnie twarz Richarda. Kate przerwała rozbawioną odpowiedź Sophie, że ona, choćby nie wiem co, i tak będzie nazywać to śniadaniem, obwieszczając, iż musi pójść na pocztę, żeby zamówić rozmowę telefoniczną z Colombo, i sprawdzić, jaki jest stan zdrowia Williama.

Owo sprawdzanie stanu zdrowia Williama, podobnie jak poranne odwiedziny majora Carltona, stały się codziennym obowiązkiem, kruchą kotwicą na wzburzonych morzach, na które, jak podświadomie zdawała sobie sprawę, rzuca ją życie. Drugiego ranka, kiedy telefoniowała, zapytała dzwięczny głos, który powiadomił ją, że stan zdrowia doktora Warrendera nie uległ zmianie, czy może go odwiedzić. Głos jednak odmówił jej, powiedział, że doktora należy zostawić w spokoju. W spokoju, żeby mógł umrzeć, próbowała nie tłumaczyć sobie Kate. Jednakże odmowa utwierdzała ją w nieuchronnej ostateczności.

Nazajutrz Kate podniecała się pierwszym dniem pracy Sophie u Browna. Był to ogromny dom towarowy w centrum Rangawelli, znajdujący się prawie tuż obok stacji kolejowej za targowiskiem. Przejeżdżali obok niego trzy dni temu, udając się do domku w Braemar.

Sprzedawano w nim wszystko począwszy od urządzeń rolniczych, karmy dla zwierząt, a na ekwipunku jeździeckim, zabawkach dla dzieci, ubiorach i kapeluszach dla kobiet skończywszy.

Dział kobiecy zajmował prawie całe pierwsze piętro i nim właśnie miała się zająć Sophie. W ostatnich latach zdarzały się skargi, zwłaszcza od żon oficerów, że kapelusze są niemodne, a co jeszcze gorsze, czasami powtarzalne, tak że damy spotykające się na dyplomatycznych przyjęciach znajdowały się w kłopotliwych sytuacjach, napotykając inną zaproszoną kobietę w kapeluszu identycznym jak jej własny.

- Wkrótce wszystko to zmienię albo nie nazywam się Sophie Simpson - powiedziała Sophie, wracając w najętej dorożce, zadowolona z pierwszego dnia pracy. Opadła na jeden z tekowych foteli i z wdzięcznością popijała szklanekę mrożonego cytrynowego soku, którą Kate podała jej na tacy. - Nikt tam nie zna się na kapeluszach i ubraniach. Mogłabym przerobić ten sklep w kopalnię złota. Mnóstwo materiałów. Jedwab, pióra, perły, cekiny. Tania siła robocza. A klientek na pęczki. Zdziwiłabyś się, kogo miałam nawet w ten pierwszy dzień - żony dyplomatów, żony plantatorów - wydawały mi się trochę wyniosłe - a nawet żonę oficera z regimentu Richarda. Nie za bardzo mi się spodobała. Złe oczy i takie same usta.

- Czy coś kupiły?

- Zamówiły. Wszystkie zapragnęły kapeluszy zrobionych przez modniarkę z Mayfair... - Napotkała wzrok Kate i wybuchnęła śmiechem. - No, cóż, prawie z Mayfair.

- A jaki jest kierownik?

- Pan da Silva? Nie jestem pewna. Jest na wpół Holendrem, na wpół Syngalezem. Jak mi się wydaje mówią na nich „mieszkańcy”. Wcale nie jest przystojny, jeśli o to ci chodzi.

Kate potrząsnęła głową.

Sophie rzuciła jej baczne spojrzenie.

- Cały dzień byłaś całkiem sama?

- Właściwie nie. Wpadł Richard, ale ja byłam wtedy na poczcie. Dziś rano zabrało mi dużo czasu zdobycie połączenia z Colombo. A w południe odbyłam rozmowę z...

- Tak? - przerwała jej Sophie, wyprostowując się z napięciem. - Z Georg'em?

- Nie, nie z Georg'em. Z żoną pastora Kościoła Anglikańskiego. Była bardzo miła.

- Jakież to nudne. - Sophie zmarszczyła brwi - I jakie to podłe ze strony George'a, że nie przyjechał. - Zmarszczyła brwi. Po chwili jednak jej twarz się rozpogodziła. - Kupiłam sobie pamiątkę swego pierwszego dnia. - Sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę owiniętą w bibułę, a kiedy ją odpakowała, wyrzwał z niej mały czarny słoń. - Pan da Silva twierdzi, że czarne słonie przynoszą szczęście.

Poszła do swojego pokoju, żeby ustawić go obok swoich innych pamiątek - szylkretowej szczotki do włosów, małej szpady z toledańskiej stali, kamei, którą kupiła w Neapolu, kilku przedmiotów, jakie przywiozła ze sobą z Anglii, które teraz nadawały małemu pokoikowi indywidualny charakter.

- Naprawdę czuję się jak u siebie w domu, Kate - powiedziała przy podwieczorku. - Naprawdę w domu. - Westchnęła. Ale jest pewnien szkopał, a mianowicie to, że George nie przyjeżdża. Ale w końcu - umyła czubki palców w miseczce - zawsze jest jakiś szkopał. A on z pewnością był bardzo zajęty.

- Zwłaszcza dlatego, że wyjechał - starała się ją pocieszyć Kate.

- Prawdopodobnie kiedy wrócił, zastał sprawy w sporym nieładzie. Ci Tamilowie to niezłe lenie, jak powiada pan da Silva. Tak więc George ma z pewnością pełne

ręce roboty. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby nas odwiedził któregoś dnia.

Dni jednak mijały, a George się nie pojawił. Kate i Sophie nawykły do codziennej rutyny. Kate wstawiała wcześniej przy śpiewie ptaszków, które jak się dowiedziała, nazywały się złote gronostaje. Samotnie spożywała śniadanie, i zazwyczaj odbyła już swoją poranną konferencję z Appu, zanim Sophie wyruszała, by otworzyć swój dział u Browna. Po czym zaczynał się następny obowiązek, co do którego pouczył Kate Richard.

O dziesiątej Samuel czekał na nią w hallu. Krocząc skromnie krok za nią, towarzyszył jej, podczas gdy sprawdzała, czy dobrze wszystko wyczyścił i wyfroterował. Megan zawsze była dumna z tego, że jest u niej „czysto jak w pudełku”, tak więc Kate, którą faktycznie wychowała, dobrze wiedziała, gdzie szukać niewidocznego brudu. Przesuwała palcami po parapetach, podnosiła poduszki, zaglądała pod łóżka. A potem sprawdzała rzeczy dla siebie obce - czy gliniana kadź, stojąca w hallu, jest napełniona wodą, czy nogi kredensów stoją na talerzykach z wodą, która miała powstrzymać białe mrówki, czy w szafie i szufladach komody znajdują się kulki kamfory, i wyciągała z półek niektóre z książek Williama, by zobaczyć, czy nie zostały nadgryzione lub czy nie zbutwiały. Kiedy właśnie to robiła, znalazła jakąś książkę na temat ptaków i zidentyfikowała gniazdo pod oknem. Sprawilo to, że przez chwilę poczuła jakąś nikłą więź z Williamem. Przez większość czasu miała trudność z przypomnieniem sobie jego twarzy. Kiedy tylko, przepełniona wdzięcznością, próbowała go sobie wyobrazić, na twarz Williama nakładała się twarz Richarda.

Richard, oczywiście, okazał się nieoceniony. Natychmiast załatwił w banku to, by mogła korzystać z rachunku Williama. Doradził jej, ile może wydać na

tydzień i powiedział jej, że jest pewny, iż William chciałby, żeby sobie kupiła jakieś sukienki i inne drobiazgi. Wkrótce bowiem, właściwie jak tylko będzie w stanie to uczynić, musi spotkać się z brytyjską społecznością w Rangawelli.

W tydzień po jej przyjeździe zaczął ją przedstawiać - komisarzowi okręgu i jego żonie, nadzorcom, którzy odbierali drogi w dżungli, pracownikom kolei i ich żonom, pastorowi Kościoła Anglikańskiego, inżynierowi przeprowadzającemu irygację, a także miejscowym plantatorom.

Okolice Rangawelli skolonizowali w przeważnej mierze Szkoci. Drogi, w większości zbudowane przez słynnego Johna Frasera, nosiły znane szkockie nazwy - Perth, Dunbar, Stirling. Dom Williama przyjął nazwę od drogi, która do niego prowadziła, Braemar, podczas gdy ulica, przy której znajdował się hotel i targowisko, nazywała się Prince's Street.

Całą historię Cejlonu można było prześledzić w dolinie i otaczających Rangawellę wzgórzach: weddyscy aborygeni w dżungli, licząca dwa tysiące lat świątynia zbudowana w cudownych czasach Mahawansów, budynki rządowe w solidnych duńskich domach z kamienia, strzegąca wejścia do doliny masa portugalskiego fortu, teraz dającego schronienie żołnierzom pilnującym burskiego obozu jenieckiego i garnizonowi Ósmego Pułku Huzarów.

We wtorek jej drugiego tygodnia pobytu na Cejlonie Richard wiózł Kate Prince's Street na podwieczorek u porucznika Arbuthnota, swojego adiutanta, i jego żony, pięknej kobiety o zielonych oczach, jasnych włosach i niezadowolonych ustach. Mieszkali w białym wapnem bungalowie tuż poza otoczonym kolczastym drutem obozem. Siedząc na werandzie i popijając herbatę Kate widziała niewyraźne, nieszczęsne postacie



Burów, którzy zażywali ruchu za ogrodzeniem. Sprawili, że poczuła się nieswojo i w dziwny sposób winna, tak jak czuła się nieswojo i winna, poddawana zimnemu spojrzeniu pani Arbuthnot i pod wpływem jej bardzo bezpośrednich pytań. Zapytała o Williama, o to, jak się spotkali, od jak dawna się znają, jakie mają wspólne zainteresowania. Po czym, kiedy we dwie przechadzały się po ogrodzie, zapytała Kate o to, jak często widuje się z majorem. Było to jedno jedyne wyjście z Richardem, które nie sprawiło jej przyjemności.

Następnego ranka, jakby chciał to nadrobić, Richard zjawił się w domku jadąc na swoim gniadym koniu i prowadząc ładnego, siwego kuca.

- Jest równie łagodna jak ty, Kate - powiedział, przesuwając dłoń po szyi klaczy. - Tak więc natychmiast wszystkiego cię nauczę. Kup sobie u Browna bryczesy i buty do konnej jazdy. Jutro zaczynamy lekcje.

- Niestety, kuzynko, nie mają damskich siodeł - powiedział następnego dnia, pochylając się i składając dłonie, kiedy pomagał jej wsiąść na konia. - Tak dobrze. Postaw stopę na moich rękach. Nie bój się oprzeć całym ciężarem ciała. - Uśmiechnął się do niej. Jego mocne, brązowe, splecione palce nie poruszyły się, kiedy oparła na nich obutą stopę. Dostrzegła napięte mięśnie jego nagich ramion i poczuła nagłą, niegodziwą tęsknotę, by objęły ją w uścisku ramiona tak silne jak te.

- Tak dobrze. Teraz przerzuć na drugą stronę prawą nogę. Wspaniale. - Wyprostował się. - Dobrze ci?

Pozbawiona tchu skinęła jedynie głową.

- A więc trzymaj wodze. Teraz dopnę ci popręg, ale po pewnym czasie sama będziesz potrafiła pochylić się i to zrobić albo zrobi to Samuel. - Strzelił palcami. - Chodź i popatrz, chłopcze.

Przez resztę poranka Kate opanowywała podstawy jazdy konnej na kamiennej ścieżce pod pełnym podziwu

wzrokiem Samuela. Potem pojechali w stronę sosnowego zagajnika za plantacjami herbaty, zatrzymując się, by przyglądać się tamilskim kobietom, zbierającym trzy górne listki z krzaczków i wrzucającym je przez ramię do dużych wiklinowych koszy na plecach. Kobiety ubrane były w jaskrawe sari, a w nosach miały wpięte złote kółka. W czerwieni i złocie ich sari pobłyskiwało słońce, wydobywając zapach z herbaty i położonych za nimi sosnowych lasów, mieszając go z zapachem wypolerowanej skóry i końskiego potu. Jedynym dźwiękiem, jaki się rozlegał, był szczeł uzd, kiedy konie potrząsały głowami, i śpiew pracujących kobiet.

Scena napawała ciepłem i spokojem, przywodziła na myśl płodność, dobrobyt i pozorne zadowolenie. Dlaczego więc, zastanawiała się Kate, poczuła nagły przyływ strachu, to niewytłumaczalne poczucie winy, to niemożliwe do zniesienia poczucie samotności i obcości

Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę, jakby chciała się upewnić, że Richard nadal znajduje się obok. On ujął ją z lekkim okrzykiem zdziwienia i żarliwie przytknął do ust. Przez chwilę jego jaskrawoniebieskie oczy wpatrywały się w nią z wyrazem niemal przesadnej wdzięczności. Jej poczucie winy nie było już niewytłumaczalne. Uwolniła swoje dłonie z jego dłoni.

- Czy William lubi jeździć konno? - zapytała swobodnym, wesołym głosem, jakby chciała zmniejszyć poczucie winy i obojgu przypomnieć o swoim położeniu.

Richard uśmiechnął się tajemniczo.

- Jak sądzę, bardzo.

Docisnął pięty do boków konia i ręką dał jej znak, by zrobiła to samo. Kiedy znowu ruszyli do przodu, tuż koło siebie, powiedział cicho:

- W porządku, kuzynko Kate. Nie musisz przypominać mi o Williamie. Wierz mi, możesz mi ufać.

Ale czy mogę ufać sobie, zastanawiała się Kate. Po raz pierwszy poczuła się starsza niż major, tak naprawdę starsza niż ktokolwiek, kogo знаła.

Sophie była w domu, kiedy wrócili. Przywitała ich przyjaznym, wszytkowiedzącym uśmiechem.

W ciągu niecałych dwóch tygodni ustalili przyjemną rutynę. Po przepracowanym u Browna ranku Sophie na ogół udawało się zjeść z Kate lunch. Zazwyczaj w czasie najupalniejszych godzin ucinają sobie drzemkę, po której Sophie wracała do pracy.

Około wpół do piątej, kiedy nie jechały do kogoś na podwieczorek, Richard eskortował Kate do Klubu Plantatorów na partię tenisa albo na mecz krykieta. W drugą sobotę Richard zagrał w wojskowej jedenastce przeciwko inżynierom, podczas gdy Kate przyglądała się ubranym w białą flanelę graczom - och, jak bardzo angielskim - z werandy pawilonu.

Żony inżynierów i wojskowych przyjęły ją dość dobrze. Znalaziono jej miejsce obok pani Arbuthnot. Jak widać, Richard był bardzo popularną postacią.

- On jest nadzieją naszej strony - powiedziała Kate pani Arbunthnot. I chociaż się uśmiechnęła, spod runda jednego z wytworów Sophie z jasnozielonej słomki, omiotła Kate spojrzeniem z góry na dół.

- A cóż pani porabiała od ostatniego spotkania?

- zapytała ją pani Arbuthnot, kiedy popijały herbatę.

- Oprócz, oczywiście, widywania się z Richardem? Kate oszczędzono odpowiedzi na to pytanie, gdyż rozpoczęła się gra. Ku niekłamanej przyjemności pani Arbuthnot, grę rozpoczął Richard.

- Jak widać - powiedziała do Kate - jest niezastąpionym graczem.

Kate uderzyło to, że użyła takiego słowa w odniesieniu do krykiecisty, niewiele jednak знаła się na męskich grach. Podobnie jak pani Arbuthnot, przyglądanie

się Richardowi sprawiało jej przyjemność, stwierdziła jednak, że gra toczy się bardzo wolno.

- To się nazywa przelecenie panienki, Kate. - Ten fakt zdawał się zachwycać panią Arbuthnot. - Richard przeleciał panienkę - obwieściła wszystkim wokół, klaskając w dłonie, śmiejąc się radośnie i dając kuksańca sąsiadce. - Jakież to odpowiednie, prawda? - Wszystkie pozostałe żony wybuchnęły śmiechem, spoglądając na Kate kątem oka, jakby chciały zobaczyć, jak ona przyjmie to, co one jak widać uważały za bardzo zabawny żart.

W drodze powrotnej do domu Kate poprosiła Richarda, żeby wyjaśnił jej ten żart, jednak jego chłopięce usta zacisnęły się i rzucił jej ostrym tonem, że nie ma czego wyjaśniać. Niektóre niemądre kobiety śmieją się nie wiadomo z czego.

Następnego dnia była oczywiście niedziela, a w ciągu całych ubiegłych dwu tygodni Kate nie odwiedziła kościoła czy kaplicy. Ani Sophie, ani ona nie czuły się na siłach, by znosić kazania wielebnego Purvisa, a ich pójście do Kościoła Anglikańskiego Edith potraktowałaby jak zdradę.

Jednakże tego ranka Kate zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia, kiedy Samuel wszedł na werandę, ubrany w najlepszą koszulę i spodnie, trzymając w ręce śpiewnik, żeby zapytać, czy „pani” - przyjął sposób Appu zwracania się do niej - idzie do kaplicy.

- Nie przejmuj się kaplicą, kochanie. Zamiast tego zrób dobry uczynek - rzuciła Sophie, kiedy Kate przyznała się jej do swojego poczucia winy. - Zrób to dla mnie. Kiedy Richard przyjedzie, namów go, żeby zawiózł nas do George'a. Potrzeba mi trochę rozrywki. Praca u Browna mnie przygnębia. George nigdy nas nie odwiedzi, tak sędzę. Może wszystko to co mówił na statku, to tylko czcza gadka.

- Jestem pewna, że tak nie było - powiedziała Kate z nutą powątpiewania. - Ale spróbuję. Nie mogę jednak obiecać, że Richard to zrobi.

- Zrobi wszystko, co tobie sprawi przyjemność. - Sophie uśmiechnęła się, pewna tego, co mówi.

Mylła się jednak. Richard wysunął brodę, zmarszczył brwi i lekko zirytowany pogładził wąs.

- Z przyjemnością obie bym was tam zawiózł. Jazda nie stanowi żadnego problemu. Ale ja właściwie nie znam tego faceta. Nie znamy się tak dobrze, żeby się odwiedzać. A z tego, co słyszałem o Hardwicke'u... coż... - Wyraźnie starał się wyrazić coś niezwykle delikatnej natury. - Cóż, nie chciałbym, żebyście znalazły się z Kate w delikatnej sytuacji.

- A coż to ma znaczyć? - zapytała gniewnie Sophie.

- Na mą duszę, dorosła kobieta powinna wiedzieć, co to znaczy - powiedział jej Richard z nagłą surowością. Nadal miał zaciśnięte usta i wysuniętą brodę. Sophie przyznała się do porażki.

- Richard jest trochę za miły dla własnego dobra -zauważyła Sophie tego wieczoru, kiedy obie z Kate siedziały na werandzie, popijając mrożony sok cytrynowy i przyglądając się świetlikom. - Zrobiłby dla ciebie wszystko, z wyjątkiem wprawienia cię w zakłopotanie. To miłe.

- Dla ciebie - poprawiła ją Kate. - To ty chciałaś pojechać.

- Ale tak czy owak, zrobiłby to dla ciebie.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Wiesz, wiesz, niewinna panienko. Oczywiście że , wiesz. Nie jesteś głupia. A teraz wiesz już trochę więcej

o mężczyznach. Cokolwiek Richard robi dla mnie, tak naprawdę robi dla ciebie, ponieważ jestem twoją przyjaciółką. Och, nie myśl, że jestem zazdrosna. Daleka jestem od tego. Cieszę się. Dzisiaj rano trochę wyprowadził

mnie z równowagi, ale moja złość nie trwa długo. Zrozumiałam, że jest taktowny i miły. Richard jest dobrym, wrażliwym facetem. Jednym z najlepszych. Do tej pory nie za bardzo ci się powodziło. Najwyższa pora, żeby ktokolwiek, kto jest tam w górze - Sophie wzniosła wzrok do nieba - Bóg, czy ktokolwiek inny - rzucił ci jakiegoś asa.

Kate otwarła usta, żeby zaprotestować, wyjaśnić. Miotaly nią jednak sprzeczne uczucia, niemożliwe do spełnienia nadzieje i męczące lęki, dziwne fizyczne tęsknoty, które - była tego pewna - muszą być rzeczą całkowicie niewłaściwą i złą.

- Ja - ciągnęła Sophie, biorąc jej milczenie za zgodę - już nie oczekuję asa. - Roześmiała się głośno. - Wystarczy mi walet. Prawdziwy walet. Ale on jest facetem dla mnie - westchnęła. - Chciałabym, żeby Richard wymyślił jakiś sposób, żeby nas do niego zabrać.

I z tą pełną żalości nutą poszła spać. Jednak major okazał się tak miły, za jakiego go uważała. Posiadał również zakorzenioną głęboko niechęć, by odmówić damie, chociaż według ścisłej wojskowej definicji Sophie nie można było nazwać damą. Przemyślał to wszystko, zapytał nawet panią Arbuthnot, jakie jest najpopularniejsze towarzyskie spotkanie plantatorów, i dowiedział się, że są nią wyścigi odbywające się regularnie w Nuwara Eliya.

Następnego ranka, kiedy przyjechał do Braemar, obwieścił, że zabiera je tam obie w środę.

- Włóż najładniejszą sukienkę - zawołał do Sophie, która właśnie biegła do powozu. - Jak sądzę, spotkasz tam starego przyjaciela.

## Rozdział XI

Pogoda była bezwietrzna i ciepła.

Taki był powód, usiłowała uspokoić się Edith Purvis, że Wiktoria znowu płacze. Wysokie zawodzenie sięgało aż do pokrytego falistą blachą dachu i wychodziło na zewnątrz przez otwarte okno dzieciennego pokoju, tłumiąc krzyki chłopców bawiących się na boisku protestanckiego sierocińca i skutecznie zagłuszając fisharmonię na lekcji chóru w małej szarej kapliczce znajdującej się obok.

- Dlaczego to dziecko płacze, Edith? - zawołał wielebny Purvis ze swojego gabinetu. - Co jej dolega tym razem?

- Zaraz zobaczę, Arnoldzie.

- Co robi Rayna?

Rayna była piękną młodą dziewczyną pochodzącą z najniższej kasty na Cejlonie. Jednak krzyżyk, który zwisał na jej szyi - chociaż zbyt katolicki jak na gust Edith - gwarantował, że jest chrześcijanką. A przynajmniej będzie, kiedy jutro zostanie ochrzczona razem z małą Wiktoria, dwoma chłopcami posługującymi w domu, Samuelem od Warrenderów i siedmioma konwertytami Arnolda. „Dwunastu apostołów”, mówił o nich jej mąż, dodając kwaśno „ale ciekawe, kto będzie Judaszem”.

W głębi ducha, a także nauczona gorzkim doświadczeniem, Edith podejrzewała, że wszyscy z nich, z wyjątkiem,

oczywiście, małej Wiktorii. Podobnie jak wszyscy protestancy misjonarze Edith przybyła na Cejlon przekonana, że Bóg wysłał ją tutaj jako swego ewangelistę, że „dobra nowina” zostanie natychmiast wysłuchana i z wdzięcznością przyjęta. Nic nie mogło być dalsze od rzeczywistości. Od wieków buddyzm, hinduizm i islam zakorzeniły się jako wierzenia mieszkańców. Ponad trzysta lat wcześniej Portugalczycy zaprowadzili katolicyzm dzięki franciszkanom, którzy kierowali się zasadą: „Zaczynaj od nauczania, ale jeśli to zawiedzie, nie szczędź miecza”.

Tak więc protestancy misjonarze spotykali się z niemal całkowitym sprzeciwem. Purytańscy potomkowie żołnierzy Cromwella odłożyli biblie i miecze, a zamiast tego budowali szpitale i szkoły. W rezultacie protestancka rekrutacja uległa przyspieszeniu. Kształcenie było jedynie angielskim eksportem, a kiedy się już je uzyskało, rozsądną rzeczą było przejście na chrześcijaństwo, gdyż w ten sposób zyskiwało się dostęp do zatrudnienia u brytyjskich klas panujących. Edith jednak szybko odegnała od siebie tę myśl, kiedy biegła przez werandę, próbując opanować niepokój o małą Wiktorię.

- Rayna!

No i proszę, była tam, na drugim końcu werandy, przekomarzając się z chłopakami. Dziewczyny z jej kasty miały reputację, że są - jak to nazywała Edith -szybkie. Kiedyś Rodiya byli najwyższą kastą na Cejlonie, ale wieki temu, król z tej kasty poprosił, by podali mu na bankiecie dziczyznę. Oni jednak nadal pili i bawili się, i już się ściemniło, kiedy poszli w dżunglę na polowanie. O tej porze znaleźli jedynie małą, bawiącą się samotnie dziewczynkę. Zabili więc ją i podali królowi na ucztę. Kiedy ten to odkrył, w szaleńczym gniewie skazał ich na najniższą kastę, nakazując, by ich kobiety nie nosiły na sobie nic od pasa w górę, co dało początek ich złej reputacji. Z największą trudnością



udało się Edith przyoblec Raynę w stanik, by zachować zasady przyzwoitości w Rangawelli.

- Rayna, dziecko płacze!

Na dźwięk głosu matki Wiktoria zawyła tak, że odbiło się to echem po całym bungalowie.

Edith popędziła do pokoju dzieciennego, nagle przepełniona przerażeniem. Poprzednio bała się tylko jednego - Boga. Teraz bała się dwóch rzeczy. W pięknym rajskim ogrodzie, pełnym dzikich zwierząt, insektów, gadów, wudu, zaklęć, szamanów, chorób, gwałtów, nędzy i krwi, bała się o swoje dziecko. Dotknęła czoła Wiktorii, jej twarzy i pach. Czy mała miała gorączkę? Co znaczyły te plamy na jej policzkach? Upał, wysypka, czy...?

Gdyby tylko był tutaj doktor Warrender! Nie było go jednak. Od czasu przyjazdu na stację w Rangawelli nie widziała swoich towarzyszek z kajuty. Raz za razem kierowała lornetkę na bungalow doktora znajdujący się po drugiej stronie doliny przedzielonej linią kolejową, widziała jednak tylko jasnożółte i różowe sukienki Sophie i Kate, a także khaki majora Carltona.

Edith pozostała w pokoju dzieciennym ponad godzinę, delikatnie kołysząc Wiktorię w ramionach, nucąc zaimprovizowaną kołysankę, aż dziecko przestało płakać, zamknęło oczy i zaczęło rytmicznie oddychać. Matka delikatnie położyła je w łóżeczku.

- Teraz śpi, Rayna - szepnęła. - Pilnuj jej cały czas!

- Tak, memsahib.

Edith na palcach przeszła do gabinetu męża.

- Wreszcie się uspokoiła.

- Tak, Arnoldzie.

- Skończyłem kazanie na dzień chrztu, Edith. Wiem, że chcesz je usłyszeć.

Posłusznie weszła do jego gabinetu i usiadła na krześle, które jej podsunął, zacisnęła ręce i czekała.

Kazanie zdawało się nie mieć końca. Ciągnęło się i nadal nie widać było punktu kulminacyjnego. Przerwał je krzyk. Arnold wznosił wzrok do nieba. Edith podniosła się.

- Muszę pójść, Arnoldzie.
- Za bardzo martwisz się dzieckiem.
- Nie ufam Raynie.
- To nie Raynie powinnaś ufać, ale Bogu.

Może to rzeczywiście Bóg kazał jej uciec z gabinetu Arnolda, przebiec werendę i pokonać dwa schodki prowadzące do pokoju dziecinnego, z niepokojem większym, niż zaznała dotychczas. Obraz, jaki zobaczyła, kazał jej natychmiast krzykiem wezwać chłopców. Przybiegli do drzwi pokoju stukając bosymi stopami - i zamarli w bezruchu.

Rayna po drugiej stronie pokoju wyjmowała pieluchę z najniższej szuflady komody. Wiktoria leżała na łóżku niańki kopiąc i wrzeszcząc rozpaczliwie.

- Właśnie ją przewijam, memsahib.

Kilka stóp od kopiących nóżek kołysała się głowa kobry, z błyszczącymi oczami, z wysuwającym się i chowającym w łuskowatym pysku językiem.

- Zabijcie ją! - wrzasnęła Edith. - No już, zabijcie ją!

Ku jednak jej wściekłości chłopcy potrząsnęli głowami.

- To dobry wąż, memsahib.

Edith przypomniała sobie mgliście, że kobra zyskała sobie dobre imię, ponieważ uratowała życie Gautamy Buddy, unosząc łeb, by ochronić go przed słońcem, i w ten sposób stając się święta dla wszystkich buddystów.

- Jesteście podobno chrześcijanami! - krzyknęła, rzucając się w stronę łóżka - a tak właśnie postępują chrześcijanie!

Kobra już owinęła się wokół kostki lewej nóżki dziecka. Kopnięta przez prawą nóżkę Wiktorii, pluła z wściekłości. Odchyliła w tył łeb, szykując się do ataku,

gdy Edith rzuciła się do przodu. Bohatersko złapała węża za łeb, oderwała go i wyrzuciła przez otwarte drzwi, tuż obok dwóch chłopców, którzy nadal stali na zewnątrz.

Edith Purvis nie wiedziała, co stało się potem, ani o to nie dbała. Chłopcy powiedzieli jej później, że zabili kobrę, w co Edith wątpiła. Widziała jedynie, mogła myśleć jedynie o małej Wiktorii, na chwilę bezpiecznej. Wzięła ją na ręce i przytuliła tak mocno, że dziecko zaczęło wyc jeszcze głośniej.

Całe to zamieszanie wywabiło z gabinetu Arnolda, nadal dzierzącego w rękę kazanie, w samą porę, by mógł zobaczyć, jak jego żona wylewa swój gniew na Raynę.

Tego popołudnia nikt nie zaznał spokoju. Pomimo protestów Arnolda Edith przeniosła łóżeczko Wiktorii do ich pokoju.

- Tylko w ten sposób jestem w stanie ją pilnować - powiedziała.

Spokój zapanował dopiero o zmierzchu.

Kiedy Wiktorii została nakarmiona i spała już w sypialni, Edith Purvis usiadła na werandzie i w chłodzie wieczoru przez lornetkę przyglądała się złemu światu na zewnątrz. Nagle od strony Nan Oya zobaczyła poruszający się obłok kurzu wzniesiony przez powóz, szkarłatny w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Major Carlton i obie dziewczęta mile spędzili dzień na wyścigach w Nuwara Eliya. Sophie, w swej najlepszej czerwonej sukience i kapeluszu z wiśniami na głowie, była rozczarowana, że nie spotkała George'a Hardwicke'a wśród tłumu dżentelmenów w szarych żakietach i cylindrach. Rozchmurzyła się jednak, kiedy w gonitwie o puchar gubernatora postawiła na outsidera, który pierwszy przybiegł na metę, przynosząc wygraną sto do jednego, tak więc wszyscy napili się szampana, żeby to uczcić.

Edith skierowała lornetkę na trzy twarze.

- Major Carlton, pani Warrender i ta kobieta, Simpson - krzyknęła do męża, który w gabinecie uczył się na pamięć kazania. - Wracają z wyścigów, gdzie, mogę się o to założyć, uprawiali hazard! I wszyscy po spożyciu diabelskiego napoju! W jakim stanie będą, Arnoldzie, kiedy jutro przyjdą do domu Bożego na chrzest Wiktorii?

Prawdę mówiąc wszyscy troje przyjechali następnego dnia na chrzest Wiktorii w powozie powożonym przez Samuela i byli całkiem trzeźwi. Sophie oczywiście ubrana była w swą szkarłatną suknię i kapelusz z wiśniami, a Richard miał na sobie wyjściowy mundur 5. Pułku Dragonów, ale wszyscy nieśli w rękach modlitewniki zabrane z półki w gabinecie Williama, i nigdy bardziej szacowna grupka nie przekroczyła portalu małej szarej kaplicy.

Wewnątrz powietrze było ciężkie od zapachu kwiatów. Lilie, lotos, dzakaranda, uroczyn i róże ozdabiały ołtarz, ambonę i kamienną chrzcielnicę, gdzie na czele kolejki stała Edith Purvis trzymając w ramionach Wiktorię. Kaplica była przepelniona. Na przodzie siedzieli chłopcy z sąsiedniej szkoły misyjnej, a potem w większości Tamilowie. Kate, Sophie i Richard wślizgnęli się na jedyne trzy puste miejsca na samym tyle, podczas gdy Samuel poszedł do przodu, żeby przyłączyć się do stojących przy chrzcielnicy.

Rozległy się dychawiczne dźwięki fisharmonii. Przy ambonie wielebny Purvis uniósł dłonie do nieba i wierni powstali.

- Chodźcie do Jezusa...

Zaczęto się modlić, po czym nastąpiło kazanie, potem zaśpiewano hymn. Wielebny Purvis podszedł do chrzcielnicy i przeczytał obrzędową modlitwę. Dorośli

kandydaci wykrzykiwali swe odpowiedzi, przyrzekając wierność prawdziwemu Bogu i wyrzekając się Diabła i wszelkich jego pokus.

Edith odpowiadała za Wiktorię, myślami nadal przy wydarzeniach wczorajszego dnia i niebezpieczeństwach, jakie bezustannie zagrażały jej córeczce. Wyczuwając może jej niepokój mała Wiktorja zaczęła płakać, kopać i szarpać się. Z największą trudnością udało się Arnoldowi nakreślić wilgotnym palcem znak krzyża na czole wrzeszczącego, miotającego się zawiniątka.

Dziecko nadal wyło, kiedy Arnold chrzczył Samuela i pozostałą dziesiątkę, i musiał krzyknąć, by przebić się przez ten hałas:

- Teraz jesteście prawdziwymi sługami Pana!

Nowi wyznawcy Chrystusa zostali udekorowani wieńcami z kwiatów, a następnie Arnold poprowadził ich razem z pozostałymi wiernymi w stronę bungalowu na sok cytrynowy i ciasteczka, wykrzykując:

- Teraz pora na zabawę!

Richard Carlton musiał się wymknąć niepostrzeżenie, po tym jak otrzymał na pocztce pilną wiadomość telefoniczną, tak więc Kate i Sophie same poszły do bungalowu, gdzie mieściła się plebania.

Edith popatrzyła podejrzliwie zarówno na Kate jak i na Sophie. Pokazywała Wiktorię wiernym, podnosząc w górę, teraz już spokojną i gaworzącą, by się nią wszyscy zachwycali, i przycisnęła ją mocno do siebie, kiedy Arnold robił dziecku zdjęcie swoim nowym aparatem.

Wszyscy powtarzali w kółko: „Ach, nosić takie samo imię jak wielka królowa! Jesteś dzieckiem szczęścia!”-dopiero jednak kiedy Sophie odeszła od Kate, żeby zapytać młodego inżyniera drogowego, który pracował w pobliżu plantacji Blue Mountain, czy przypadkiem nie widział Qeorge'a Hardwicke'a, Edith przyniosła dziecko do Kate, by ta mogła je obejrzeć.

- Czyż nie jest śliczna? I tak dobrze wygląda. Ma twój nos i usta, Edith, i rude włosy swojego ojca. - Głos, który dobiegł z za ich pleców, miał przyjemny szkocki akcent. Odwróciwszy głowę Kate zobaczyła wysoką, przystojną kobietę ó stalowoszarych oczach, ubraną w surową bawełnianą sukienkę w tym samym kolorze, zapiętą wysoko pod szyję.

- Nie poznałaś jeszcze siostry MacGregor, prawda Kate? - Edith uśmiechnęła się do Szkotki. - To jest pani Warrender, Mary.

Kate nieśmiało ujęła, silną kościstą dłoń.

- Miło mi panią poznać - szepnęła, podczas gdy szare oczy wędrowały po jej twarzy, figurze, ubraniach - nie z wrogością, ale ze smutnym zdziwieniem i dezaprobatą.

- Wiele o pani słyszałam - powiedziała Kate, by przerwać niezręczną ciszę.

- Sądzę, że doktor Warrender wspomniał pani o mnie. - Siostra MacGregor wymówiła jego nazwisko, jakby sprawiało jej to przyjemność.

- Och, wszyscy o tobie mówią, Mary. - Edith zwróciła się do Kate. - Mary jest naszą podporą, zawsze można na nią liczyć w potrzebie. Zwłaszcza teraz, kiedy doktora... nie ma.

Siostra MacGregor machnęła lekko ręką, łagodnie protestując.

- Jakie są wieści o doktorze? - zapytała Edith. Zapytała o to właśnie Mary.

- Bez zmian - odparła krótko siostra MacGregor. Przez moment na jej przystojnej, opalanej twarzy pojawił się wyraz skrywanego cierpienia. Jej rzeczywiście na nim zależy, i wie o nim więcej, niż mówi, pomyślała Kate.

- Telefonuję do szpitala codziennie - powiedziała, zdając sobie sprawę z faktu, że w jej głosie brzmi dziecinne poczucie krzywdy. - Nie pozwalają mi jednak go odwiedzać. I nic mi nie mówią. Nic a nic.

- Wątpię, czy by pani zrozumiała, nawet gdyby pani powiedzieli. - Siostra MacGregor wypowiedziała te słowa szybko i sucho, jednak bez zamierzonej protekcyjności. Kate zarumieniła się, czując, że poddano ją osądowi, nie wrogiemu, ale przenikliwemu, i dostrzeżono w niej braki.

Ucieszyła się, gdy w tej chwili podeszła do niej Sophie, kilka razy unosząc brwi w górę, by dać jej znać, że inżynier nic nie pomógł. Pochyliła się do przodu pomiędzy Kate a siostrą MacGregor, by zaszczebiotać do dziecka, podczas gdy Edith Purvis dokonała prezentacji.

Siostra MacGregor przyglądała się Sophie z taką samą dozą niedowierzania jak w przypadku Kate.

- Dzieliłyśmy kajutę - wyjaśniła jej Edith, jakby chciała wytłumaczyć tę niefortunną znajomość. - Można powiedzieć, jesteśmy niczym statki mijające się w ciemnościach.

- Tylko że wy - siostra MacGregor uśmiechnęła się kwaśno - wy nadal podróżujecie razem.

- Tak, w istocie. Tak, w pewien sposób.

Edith zaczerwieniła się z zakłopotaniem. Miała świadomość, że siostra MacGregor wzięła zbyt wyzywająco ubraną, zbyt mocno uperfumowaną, zbyt silnie uróżowioną Sophie, dokładnie za to, czym była - za kobietę o obyczajach, których nazwanie nigdy nie splamiłoby jej własnego języka, jednak o których świadczyło każde spojrzenie i gest Sophie. Edith nienawidziła myśli, że Sophie zionie swym złym oddechem na dziecko, dotyka jego niewinnego policzka, jak to właśnie teraz robiła palcem wskazującym.

- No, no, to prawdziwa piękność. I tylko pomyśleć, że widziałyśmy, jak przyszła na świat, na mą duszę!

Edith jednak nie chciała mieć nic wspólnego z duszą Sophie. Sophie była złą kobietą, która mogła sprowadzić jedynie zło. Nagle

wydało się jej, że Sophie,

ubrana niczym ladacznica w szkarłatny jedwab i czarne koronki, jest złą wróżką z bajki, która przyszła, by rzucić urok na małą Wiktorię.

Pod pretekstem, że jest jej za gorąco i musi podejść do okna, wyrwała dziecko z rąk Sophie. Po drugiej stronie pokoju otoczyli ją dobrzy, bezpieczni, bogobojni ludzie. Dzieckiem zachwycali się świeccy katecheci, nauczyciele i pielęgniarki, a jedynie wysoki, głośny śmiech Sophie mówił jej, że ta kobieta nadal znajduje się w pokoju.

Nagle, gdy stała przy oknie, Edith usłyszała niezwykły dźwięk. Mały blaszany dzwonek w ich kaplicy zaczął dzwonić, jakby wzywał na poranną modlitwę. Rozejrzała się wokół nerwowo, szukając wzrokiem Arnolda, ale nigdzie go nie było. A następnie, co zaskoczyło ją jeszcze bardziej, z drugiego krańca doliny dobiegł ją głęboki dźwięk dzwonu anglikańskiego kościoła św. Jana, a po nim delikatniejsze kuranty katolickiej katedry Matki Boskiej, znajdującej się przy stacji kolejowej. Teraz wszyscy już je słyszeli uroczyście dzwoniące unisono.

Rozmowy zamilkły.

Serce Edith ścisnął strach. Kto bił w dzwony i dlaczego? Nie wiedziała, czy jest to poważne ostrzeżenie od Boga czy od człowieka. I czego dotyczy? Ochrypłym głosem zawołała:

- Czy wybuchł pożar? Zamieszki? Dlaczego biją w dzwony? - Nikt jednak nie potrafił jej odpowiedzieć. Goście stali w milczeniu. Tylko panna Simpson nadal wesoło szeptała i chichotała.

Odpowiedzi udzielił major Carlton, który nagle pojawił się w drzwiach. Jego opaloną twarz rozjaśniał szeroki uśmiech, świadczący o tym, że wieści, które przynosi, są dobre, i nie dotyczą pożaru ani powstania.

Wzbudzający autorytet w swym mundurze, podszedł do Edith i zasalutował.



- Nie pożar, pani Purvis. Ale, na Jowisza, musimy jakiś rozpalić! Ladysmith zostało uwolnione! Właśnie co dostałem wiadomość z kwatery głównej w Colombo. Wszyscy nasi mężczyźni i kobiety są bezpieczni, dzięki Bogu. W końcu przepędziliśmy Burów.

Rozległo się zbiorowe „Hurra!”

Wielebny Purvis, który pojawił się za nim, padł na kolana i podziękował Bogu. Ktoś zaczął śpiewać „Boże, chroń królową”, a następnie „Rządź, Brytanio”. Kilka pań zaczęło płakać. Sophie zaczęła tańczyć, a Kate poczuła ciepłą falę wdzięczności, że teraz już z pewnością major Carlton nie będzie musiał wrócić na wojnę.

Nic to jednak nie było w porównaniu z ulgą, jaką odczuła Edith. Przeróżający, zagrażający, niebezpieczny świat powrócił do normy. Zniknęły lęki, które ostatnio tak bardzo ją osaczały. Bóg rządził w niebie, a Brytyjskie Imperium rządziło poniżej uporządkowanym światem.

Widok majora Carltona, wystrojonego w elegancki mundur symbolizował dla niej Brytyjskie Imperium, które jeszcze raz uporało się ze złem i rebelią, jeszcze raz, za błogosławieństwem Boskim, odniosło zwycięstwo. Na swój tajemniczy sposób Bóg zdawał się także błogosławić małą Wiktorię. Fakt, że taka radość miała miejsce w najważniejszym dniu życia jej dziecka, było z całą pewnością oznaką Jego szczególnej miłości.

W owej chwili szczęście Edith było tak wielkie, że kiedy major Carlton zawołał do niej:

- Pani Purvis, dla uczczenia zwycięstwa pod Ladysmith w sobotę organizujemy tańce w Klubie Plantatorów. Mam nadzieję, że pani i wielebny Purvis będziecie . mogli przyjść - przyjęła natychmiast zaproszenie.

- Dziękuję, majorze, wielebny Purvis i ja będziemy zachwyceni.

## Rozdział XII

Tego wieczoru strzelały fajerwerki, rozświetlając niebo nad doliną Rangawelli na czerwono, białą i niebiesko. Z fortu dobiegi stłumiony odgłos wystrzału, kiedy garnizon oddał salut honorowy. Następnego dnia Richard opowiadał przy śniadaniu, że tyle butelek wypito w Klubie Plantatorów, że skończył się cały zapas brandy.

- Mam jednak nadzieję, że przygotowania do sobotniego balu są w toku - zapytała z niepokojem Sophie.

Richard popatrzył na kupony srebrnej koronki, chmury tiulu, długie skręcone pióra i stosy cekinów, które zaśmiecały salon, i roześmiał się.

- Cóż, widzę, że wasze przygotowania są.

- Och, to tylko do naszych stroików na głowy - powiedziała mu Sophie. - Kupiłam je u Browna po kosztach własnych. Już zamówiłyśmy suknie. Na tyłach domu towarowego Browna jest krawiec. Ma mały zadymiony warsztat, ale szyje jak czarodziej. Przepowiada również przyszłość.

Richard roześmiał się ponownie.

- Oni wszyscy to robią.

- Mnie powiedział, że będę miała tak piękną suknię, iż odmieni to moje życie.

- Czy wolno mi zapytać, jakiego będzie koloru? Sophie potrząsnęła głową.

- Nie. Ale powiem ci, jakiego koloru będzie suknia żony twojego adiutanta... suknia pani Arbuthnot. Zielona. To błąd, ale upierała się przy tym. Dziś rano zostaliśmy u Browna zasypani zamówieniami. Każdy chce coś nowego.

Sophie była w swoim żywiole. Cieszyły ją przygotowania, ale w równym stopniu nie mogła się doczekać nadejścia soboty. Bez wątpienia George Hardwicke pojawi się na balu. Z całą pewnością nie opuści uroczystości z okazji tak ważnej jak wyswobodzenie Lady-smith. Nie byłoby to patriotyczne. Nie opuści jej, tak jak nie opuściłby parady Korpusu Strzelców Plantatorów przez ulice Rangawelli w Dniu Imperium.

- To będzie niezłe widowisko - powiedziała do Kate Sophie w czwartek wieczorem, szyjąc stroiki na głowy.

- Te wszystkie śliczne suknie i mundury. Ani trochę bym się nie dziwiła, gdyby George pojawił się w swoim mundurze.

- Nie wiedziałam, że George kiedyś służył w wojsku.

- Och, tak, ale lata temu. - Odgryzła nitkę zębami.

- George robił wiele rzeczy. Przeżył niejedno. - Gśmie-chnęła się do Kate krzywo. - I ja także, że tak powiem, nie tyle jednak co George. Był tu, tam i ówdzie.

Największą obawą Sophie było to, że wydarzy się coś, co uniemożliwi jej i Kate pójście na bal. Strach krystalizował się wokół doktora Warrendera. Co się stanie, jeśli biednemu chłopu nagle przyjdzie do głowy umrzeć? Sophie poznała już młodą Kate. Odmówi pójścia na bal i siłą rzeczy Sophie będzie musiała dotrzymać jej towarzystwa.

W piątek krawiec dostarczył suknie, które natychmiast rozpakowały, bladoniebieską jedwabną dla Kate i z ulubionej rubinowej tafty dla Sophie. Suknie przywodziły na myśl dziwne, egzotyczne kwiaty, zauważyła Kate, które zakwitły w małej lepiance z klepiskiem i blaszanym dachem, oświetlanej dymiącym kagankiem.

Pasowały doskonale. Kate miała pewne wątpliwości co do stroików na głowy. Robiąc je Sophie skopiowała stroiki debiutantek, jakie robiła raz dla panienek, które miały być przedstawione Jej Królewskiej Wysokości. Tylko że tym razem nie były białe, lecz rubinowe i szaroniebieskie, przetykane srebrną koronką, obszyte cekinami i omotane tiulem w tym samym kolorze.

W sobotę rano Kate odbyła swą zwyczajową codzienną wizytę na poczcie. Sophie upierała się, żeby z nią jechać. Stała jak na rozżarzonych węglach, kiedy łączono rozmowę, i prawie rozplakała się z ulgi, kiedy Kate ponownie odmówiono zgody na odwiedzenie doktora Warrendera, ale powiedziano jej, że „nadal trzyma się przy życiu”.

- Módlmy się, żeby nadal tak było - powiedziała Sophie z niezwykłą dla siebie pobożnością i żarliwością, dodając w duchu: „A jeśli ma już umrzeć, niech to zrobi po balu!”

W soboty dom towarowy zamykano w południe i otwierano ponownie dopiero w poniedziałek rano, tak więc Sophie miała czas, by ze spokojem wykonać wszystkie zabiegi upiększające. Sekcję kosmetyczną i fotograficzną nadzorował Syngalez, który produkował znakomite preparaty do włosów z oleju kokosowego i nasion aramis. Kate i Sophie umyły włosy w deszczówce z beczki, która stała na podwórku i wysuszyły je w popołudniowym słońcu.

Słońce już rozjaśniło brązowe włosy Kate na złoto. Sophie zakręciła jej w papiloty, tak że teraz drobnymi loczkami otaczały jej twarz. Resztę włosów zaczesła na czubek, uwydatniając doskonałość szyi Kate. Swoje włosy Sophie upięła w trochę bardziej wyrafinowany sposób. W sukni z rubinowej tafty wyglądała oszalamiająco. Kreacja była mocno dopasowana w talii i mocno spiętrzona z tyłu, głęboko wycięta, by ukazać uwodzicielskie

zagłębienie w jej pięknych piersiach, i odkrywająca pulchne, kształtne ramiona.

Przyglądając się swym odbiciom w lustrze, stojąc obok siebie, wyglądały, jakby były w tym samym wieku.

- Popatrz, co sobie uszyłam dziś rano, kiedy dziewczęta robiły stroik dla żony komisarza okręgu. - Sophie uniosła suknię wysoko, żeby było widać podwiązki w tym samym kolorze co suknia, które założyła tuż nad kolanami.

- Co za strata, Sophie. Nikt ich nie zobaczy.

- Cóż, nigdy nie wiadomo. - Zakręciła się na wysokich obcasach, a suknia zaczęła się unosić. - Widzisz je teraz?

- Nie, musisz się szybciej kręcić.

Sophie zaczęła się kręcić niczym duży czerwony bąk.

- Uważaj, zakręci ci się w głowie!

- Już mi się kręci.

- Za chwilę upadniesz.

Zanim jednak doszło do tego nieszczęścia, na ścieżce rozległ się chrzęst kół powozu i Sophie chwyciła Kate za rękę i pociągnęła ją za sobą do sypialni dla dokonania ostatecznego retuszu.

Kiedy zwilżały listki *papier poudre* i dotykały nimi nosów, usłyszały dzwonek u drzwi wejściowych, odgłos szybkich kroków Samuela, który na bosaka biegł, by je otworzyć, a następnie cięższy krok majora w hallu. Nałożyły jeszcze tylko odrobinę różu na policzki i wyszły mu na powitanie.

Nawet własne ekstrawaganckie zabiegi nie przygotowały je na olśniewający widok, kiedy major Carlton skoczył na równe nogi, gdy weszły do salonu. Jego nogi opinały obcisłe, białe spodnie dragonów z niebieskimi lampasami współgrającymi kolorystycznie z kurtką zdobioną złotymi

szamerunkami, epoletami i guzikami. Jego pierś pokrywały rzędy medali na wstążeczkach we wszystkich kolorach tęczy.

- Cóż, usuwasz nas w cień - zaśmiała się Sophie, zastanawiając się, jak długo jeszcze Kate będzie w stanie opierać się miłości do majora, lub, dostrzegając wyraz jego oczu, kiedy patrzył na Kate, jak długo on zdoła oprzeć się jej. Gdyby doktor Warrender umarł, być może okazałoby się to najlepszym wyjściem, chociaż Sophie zastanawiała się, czy Richard kiedykolwiek na stałe zwiąże się z jakąś kobietą, czego głupio oczekiwała niewinna, młoda Kate.

Odmienne niż Sophie, Kate nie miała najmniejszego pojęcia, jak trudno jest skłonić mężczyznę do małżeństwa, czy chociażby stałego „układu”.

- Nie sądzę, by ktokolwiek był w stanie was obie usunąć w cień - powiedział z galanterią major Carlton, najpierw muskając ustami dłoń Kate jako mężatki, po czym pochylając się nad dłonią Sophie i stukając obcasami. Ta doszła do wniosku, że sama z łatwością by się w nim zakochała. Poczła, jak całe jej ciało opływa ciepła fala fizycznego pożądania. Kiedy major się wyprostował, ze zdziwieniem dostrzegła w jego niebieskich oczach wiele mówiący wyraz.

- Będą się ustawiać w kolejce, żeby z wami zatańczyć - powiedział. - Jest taki niedostatek pań, że dosłownie będą czekać, by was złapać, jak tylko wejdziecie do klubu - powiedział. - Tak więc zanim wyjdziemy, chcę u was obu zarezerwować sobie wszystkie tańce, jakie możecie dla mnie przeznaczyć.

Richard miał rację.

Pod wielkim obracającym się wentylatorem w wyłożonym boazerią hallu stado zaczerwienionych mężczyzn w strojach wieczorowych, oficerów w khaki i czerwieni

oraz komisarz okręgu i jego asystenci w strojach dyplomatycznych, stało w pełnym niepokoju oczekiwaniu. Nie byli, oczywiście, obecni żadni syngalescy, tamilscy czy muzułmańscy dygnitarze. Był to klub tylko dla białych.

Podszedł do nich postawny mężczyzna o nabiegłych krwią oczach w czerwonej twarzy, który uściśnął rękę Richardowi i z nadzieją spojrzął na damy, które mu towarzyszyły.

- Kate... Sophie... pozwólcie, że wam przedstawię Billa Baxtera, członka założyciela i obecnego prezesa Klubu Plantatorów. Wspaniały człowiek, najpotężniejszy i najszczodrzejszy człowiek, jakiego mogliście poznać.

- Cała przyjemność po naszej stronie.

Wielkiemu człowiekowi oczy wyszły jeszcze bardziej na wierzch na widok na wpół obnażonych piersi Sophie, ale wiemy etykiecie to Kate poprowadził do sali balowej.

Kiedy prezes odszedł, pozostali mężczyźni zaczęli pchać się do przodu, aż ich szeregi rozstały się niechętnie, by przepuścić znajomą, szczupłą postać George'a Hardwicke'a. Sophie udawała, że go nie poznaje. Zadarła nos do góry.

- Czy zostaliśmy sobie przedstawieni?

- Sophie, nie bądź głupia! - Pochylił się i pocałował ją. Wówczas Richard wysunął się do przodu.

- My, z całą pewnością, proszę pana, nie zostaliśmy sobie przedstawieni. - Uśmiechnął się. - Wiele jednak o panu słyszałem. - Wysunął prawą rękę. - Jestem Richard Carlton.

- Miło mi pana poznać.

- Niestety, obawiam się, że tego walca Sophie mnie obiecała...

Podłoga sali balowej była z drewna tekowego, a na jej obrzeżach stały małe złożone stoliczki i krzesła. Na podium grała orkiestra. Składała się z dwóch fortepianów, dwóch trąbek, skrzypiec i oboju, a także z wielkiej

perkusji, w którą od czasu do czasu uderzał krajowiec o skórce koloru mlecznej czekolady i oczach jak spodeczki. Wszędzie wokół znajdowały się dekoracje w czerwieni, bieli i granacie, jak i brytyjskie flagi. Gdy skończył się walc, Richard zaczął tańczyć z Kate, a prezes z Sophie. Po następnych dwóch tańcach cała czwórka przysiadła się do porucznika Arbuthnota, jego żony i wielebnego Purvisa z Edith przy stoliku, który zajmowali najbliższej orkiestry.

Bill Baxter zamówił szampana.

Wielebny Purvis pochylił się do przodu.

- Dla nas, panie prezesie, sok cytrynowy.

- Czy w takim dniu jak ten, pan i pani Purvis nie pójdziecie na pewne ustępstwa?

Wielebny Purvis uśmiechnął się, jednak potrząsnął głową.

- Musimy praktykować to, co nauczamy.

- Niechaj tak się stanie. A każdy Brytyjczyk na wyspie musi postąpić tak samo. Chłopcze, dwa soki cytrynowe i woda sodowa.

- Nie potrzebujemy szampana, żeby dzisiaj czuć się szczęśliwi - powiedziała Edith Purvis. - Jesteśmy tak dumni - i tak wdzięczni Bogu.

- Nie mogło się to wydarzyć w bardziej stosownym momencie - powiedziała pani Arbuthnot. - Po naszej klęsce pod Malenkop Hill Burowie w obozie jenieckim mówili syngaleskim sprzątacjom, że rządy Brytyjczyków dobiegły końca i nakłaniali ich do buntu.

- Kulisi pracujący na plantacjach stali się bardzo bezczelni - przytaknął prezes.

- Nasza służba także - zauważyła pani Purvis.

- To niemieckie wpływy - powiedział prezes. - Jest za wiele cholernych... przepraszam... Niemców na tej cholernej wyspie... przepraszam... którzy tylko patrzą, żeby się do nas dobrać... To ci cholerni Niemcy...



przepraszam... namówili Burów do rewolty. I teraz te sukinsyny...  
przepraszam najmocniej.... próbują zrobić to tutaj.

- Ladysmith położy kres temu wszystkiemu.

- Ma pan cholerną... przepraszam... rację. - Prezes odwrócił głowę i  
rzucił do stojącej za nim postaci: - Witam, George. - Roześmiał się. -  
Czy obiecałem ci ten taniec?

- Nie, ale zrobiła to ta śliczna dama, która siedzi obok pana.

Przez chwilę Kate pomyślała, że Sophie mu odmówi. Głyszła  
jednak szelest tafty, Sophie wstała, a George wziął ją w ramiona.

- Do twarzy ci w tej sukni, moja droga - szepnął George, mocno  
przyciskając do siebie Sophie. - Uwydatnia twoją świetną figurę,  
niech mnie licho, jeśli nie!

W przerwach między tańcami poprosił ją o karnet i biorąc do ręki  
ołówce z niebieskim, jedwabnym frędzlem, wykreślił wszystkie  
tańce.

- Moje - powiedział - wszystkie moje. - I wszędzie napisał wielkie  
inicjały G.H.

- Jeśli tak bardzo pragnąłeś mojego towarzystwa, George, dlaczego  
nie odwiedziłeś nas w bungalowie?

- Nie mogłem, moja droga. Niech mnie licho, gdybym mógł, to bym  
przyjechał. Miałem mnóstwo roboty. Wszędzie był bałagan. Kiedy  
mnie nie było, krajowcy zaczęli się stawiać, wiesz. Teraz, kiedy  
daliśmy Burom łupnia, lepiej się zachowują.

- Kobiety czy mężczyźni? - Sophie uderzyła go w dłoń wachlarzem,  
sądząc że ta uwaga zabrzmi dowcipnie, jednak po nagłej zmianie  
wyrazu jego twarzy zobaczyła, że jej strzała sięgnęła celu. Nie  
zmartwiło jej to. Mężczyźni na całym świecie byli tacy sami, a w  
gorących krajach, gdzie niewiele było białych kobiet, jeszcze  
bardziej. Teraz wszystko się zmieni. Ona wiedziała, jak przymknąć  
oko,

gdyby tylko George się z nią ożenił. A dzisiejszego wieczoru nie miała najmniejszej wątpliwości, że jej pragnie.

I nie tylko George Hardwicke jej pragnął. Pragnęli jej wszyscy mężczyźni. Pomimo swojego wpisu w jej karnecie, George'owi nie pozwolono na zatańczenie z nią każdego tańca. W którymś momencie doszło do szamotaniny, kiedy po raz trzeci z rzędu próbował poprowadzić ją na parkiet, gdy sąsiadujący plantator zażądał uczciwej gry. Billa Bax-tera poproszono o rozstrzygnięcie tego sporu, który sprytnie go rozegrał, sam prowadząc Sophie na parkiet, tak mocno ją przyciskając, że prawie nie mogła oddychać.

Uśmiechała się jednak szeroko i cierpliwie znosiła te rozpalone, czerwone łapy w białych rękawiczkach. Wiedziała, że wszyscy mężczyźni ją podziwiają i mówią George'owi, jaki to z niego szczęściarz. W rzeczy samej jej pojawienie się było świętowane prawie w równym stopniu, co wyswobodzenie Ladysmith. I kiedy wtoczono beczkę z brandy, to ją właśnie poproszono o pomoc w przyrządzaniu drinków, którymi miano wznieść toasty. Patriotycznie nastawieni, dumni, przebywający daleko od domu plantatorzy i nieliczni oficerowie pili szybciej i swobodniej niż zazwyczaj. Wielu członków klubu niepewnie trzymało się na nogach, kiedy tłoczyli się wokół sporego wózka, na którym stała srebrna waza wielkości małej wanny. Najpierw Sophie, następnie major, a potem Bill Baxter, prezes, wlał do niej butelki francuskiego koniaku, dolewając na koniec starego szampana.

Mieszankę szybko rozlano do kieliszków srebrną chochlą, i zanim bąbelki zniknęły, prezes wznosił toast:

- Za królową I  
- I jeszcze jeden toast dzisiejszego wieczoru - krzyknął George. - Za zwycięstwo!

Zakręcił Sophie i podniósł ją w górę tak niepewnie, że spadł jej z nogi srebrny pantofelek i musiała przytrzymać się jednego z poślaczanych krzesel.

- Za zwycięstwo - wrzasnął George, łapiąc pantofelek. - A ja spełnię swój toast w nim!

Było to zgodne z nastrojem panującym na przyjęciu. Niektórzy z plantatorów zaczęli się wygłupiać i przeskakiwać przez siebie. Do misy wiano jeszcze więcej szampana i brandy. Z chęcią ponownie napełniano kieliszki. George po brzegi napełnił srebrny pantofelek i szybko wypił. Stojący obok mężczyzna wyrwał mu go z ręki, również napełnił po brzegi i wypił, po czym jeszcze inny zaczął walczyć o jego posiadanie.

Wówczas Bill Baxter skoczył na podium, teraz już opuszczone przez orkiestrę, i zaczął wybijać rytm kankana. Sophie zdjęła drugi pantofelek i rzuciła go w tłum, jakby był piłką do rugby, a następnie również wskoczyła na podium i zaczęła tańczyć.

Wielebny Purvis z żoną już wstali od stolika i wychodzili, zatrzymali się jednak przy drzwiach sali balowej, by przyjrzeć się temu widowisku. Twarz Sophie przybrała niemal kolor jej sukni, jej oczy błyszczały wesoło, gdy wysoko ponad głowę wyrzucała nogi, tańcząc kankana, równego temu, jaki można było zobaczyć w „Folies Bergere”. Promieniowała, była ucieleśnieniem życia i radości, kiedy jej spódnica wirowała, ukazując czarne pończochy i krwistoczerwone podwiązki.

- Ohyda! - powiedziała pani Purvis do męża. - Zło! Zachowuje się jak biblijna Jezabel i to przed krajowcami. Chodź, Arnoldzie, to nie jest odpowiednie dla nas miejsce.

Jednakże mężczyźni na parkiecie przyglądali się Sophie z otwartymi ustami, jakby była boginią, która zstąpiła z nieba, po czym krzyknęli na wiwat, aż odbiło się to echem.

Była to chwila największego triumfu Sophie - i początek jej upadku.

## Rozdział XIII

Kiedy skończył się bal, George, pijany alkoholem i zawiścią pozostałych plantatorów, odprowadzając panie do powozu zaproponował, by następnego dnia wybrali się w czwórkę na wycieczkę. Jeśli major przywiezie panie do jego bungalowu, zjedzą tam śniadanie, a następnie pojedą na wyspę Maskeliya.

Usytuowana na środku pełnej krokodyli rzeki Gduganga na zachód od równiny Horton, święta wyspa była ulubionym miejscem pikników. Jadąc tam, zobaczą mały i wspaniałe ptaki, a w środku dżungli, na polance, ruiny świątyni i gigantyczny posąg Buddy. George był pewien, że wycieczka sprawi paniom przyjemność, i pilno mu było nadrobić stracony czas, kiedy zaniedbywał Sophie z powodu kłopotów, jakie nie pozwalały mu opuścić posiadłości.

Sophie z zachwytu klasnęła w ręce. Kate była mniej oczarowana tym pomysłem, a major przyjął zaproszenie z uprzejmym uśmiechem, jednak przenikliwie przyglądając się George'owi.

- Widzisz - powiedziała Sophie, kiedy przygotowywały się do kilku godzin snu przed poranną herbatą, którą zamówiły na siódmą - to wiele znaczy, kiedy dżentelmen zaprasza damę do siebie do domu. Naprawdę uważam, że ten wieczór zmienił wszystko w moim życiu, tak jak to przepowiedział Smokey Joe.

Kate wysunęła się z halki i zaczęła wypinać szpilki z włosów. Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Nie miała wielkiego mniemania o George'u Hardwicke'u, ale w końcu niewiele wiedziała o mężczyznach i cieszyła się, że Sophie się cieszy.

- Ja wiem, że to faktycznie zmieniło stan rzeczy. - Sophie podeszła do lustra Kate i zaczęła wyjmować szpilki z włosów, które kaskadą opadły jej na ramiona. - Powiedział, że ujrzał mnie taką, jaką mnie nigdy do tej pory nie widział - w nowym świetle. Sądzę, że się we mnie zakochał. Właściwie nawet to powiedział.

Zaczęła śpiewać „Lilię z Laguny”, zamieniając on na ona, w tej słynnej piosence z music-hallu: „Wiem, że mnie lubi, wiem, że mnie lubi, ponieważ wyznał mi to. Jestem jego lilią z Laguny, jego lilią, jego różą”.

Tanecznym krokiem przeszła przez sypialnię Kate w stronę drzwi, gdzie się zatrzymała, otworzyła je i westchnęła:

- Nie wiem jednak, czy lubi mnie na tyle mocno, żeby się ze mną ożenić. - I tym pytaniem bez odpowiedzi życzyła Kate dobrej nocy, tyle ile z niej jeszcze zostało, po czym poszła do swojego pokoju.

Kate długo leżała pod moskitierą z szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się przed zaśnięciem, jak miała to w zwyczaju, czy doktor Warrender nadal żyje, a tej nocy ze szczególnym poczuciem winy, co by sobie pomyślał o balu i o występie Sophie, i w rzeczy samej, także o jej zachowaniu.

Appu zapukał do drzwi prawie w tej samej chwili, kiedy zamknęła oczy. Wstała natychmiast. Słońce weszło już nad najdalszymi wzgórzami, zalewając dolinę płynnym złotym światłem. W ogrodzie rozlegał się śpiew ptaków, w pnączach ćwierkały jej ukochane ptaszki, wrony krakały ochryple, kury hodowane przez Appu gdakały i drapały spieczoną ziemię. Z kuchni dobiegał

szczęk naczyń i glos Appu nieustannie strofującego Samuela.

Chociaż Kate wstała tak szybko i zaraz poszła do maleńkiej łazienki, to jednak Sophie ją wyprzedziła, a mimo to spóźniła się na śniadanie, gdyż toaleta zabrała jej mnóstwo czasu. Przemyślawszy to długo i dokładnie Sophie postanowiła zmienić nastrój, a wobec tego i strój, na dzisiejszy dzień. Miała bowiem odwiedzić, może się okazać - jeśli dobrze rozegra swoje karty - swój przyszły dom. Ubiegłego wieczoru pokazała swoją bardziej niegrzeczną stronę. Dzisiaj pokaże, że potrafi być damą, godną szacunku kasztelanką na plantacji Hardwicke'ów.

Ubrała więc twarzową szarą suknię, z której usunęła fioletowe wstążki i kwiaty, jakimi przedtem ozdobiła stanik. Włosy zczesła gładko do góry, tak jak to robiła Kate, i spięła je dwoma grzebykami z masy perłowej, które zakupiła u Browna.

- Bardzo ładnie wyglądasz - powiedziała Kate, kiedy Sophie osunęła się na krzesło, jakie podał jej Appu. - Bardzo ładnie.

- Dziękuję. - Sophie żałowała, że nie może odwzajemnić komplementu. Kate jednak ubrała się w swój codzienny strój: zapiętą wysoko pod szyją białą bawełnianą bluzkę i granatową spódnicę, i z całą pewnością wyglądała zbyt nijako, by skusić majora, który - było to aż nadto widoczne - był niezwykle nią oczarowany ubiegłego wieczoru, ubraną w piękną suknię. Prawie w tej samej chwili, gdy o nim pomyślała, pojawił się major, jadąc na swym wielkim, gniadym wałachu. Zastukał pejczem w szybki werandy, zeskoczył i rzucił wodze Samuelowi, który z niecierpliwością oczekiwał jego przybycia.

W jakiś inny sposób major wyglądał jeszcze przystojniej w kremowych bryczesach do konnej jazdy, rozpiętej

pod szyją sportowej koszuli i w białym tropikalnym hełmie, niż wyglądał ubiegłego wieczoru w galowym mundurze.

- Czy każda z was ma hełm i woalkę? Dobrze. Nad jeziorem może być bardzo gorąco.

Kazał Samuelowi przyprowadzić powóz, po czym pomógł Kate i Sophie wsiąść do niego. Samuel, niepokieszony, że nie pozwolono mu powozić i wziąć udziału w wyprawie, rozchmurzył się na perspektywę, że będzie miał pod opieką konia majora, a możliwe że nawet napiwek, jeśli kopyta zostaną starannie oczyszczone, a uprzęż wypolerowana.

Wyruszyli o dziesiątej. W dolinie z wymówką rozległ się dźwięk dzwonów - katolickiego kościoła Matki Boskiej Bolesnej, niski głos dzwona Św. Jana i ostry głos dzwonu z kaplicy, kiedy pod nadzorem wielebnego Purvisa dwóch konwertytów z całej siły ciągnęło za sznury.

- Mam nadzieję, że George i ja nie przeszkadzamy wam w pójściu do kościoła - rzucił major, bacznie obserwując ich twarze, kiedy szybko przejeżdżali przez główną ulicę Rangawelli.

Kate z poczuciem winy spojrziała w stronę kościoła. Sophie uczyniła to samo z namysłem. Zastanawiała się, w którym kościele wzięłaby ślub, gdyby udało się jej doprowadzić George'a do ołtarza. Kościół Św. Jana był masywną budowlą z szarego kamienia o strzelistej wieży, ona jednak wolałaby skromniejszą kaplicę, co z całą pewnością przyprawiłoby Edith o drgawki. Sophie zdołała dostrzec Edith, która biegła z bungalowu trzymając w ramionach dziecko, cała ubrana w czerń, bardziej odpowiednią na pogrzeb niż letnią niedzielę.

Pogoda była taka sama jak w angielski letni dzień, ale w miarę jak słońce wyłaniało się z cieniowych wzgórz i mglistych dolin, z każdą godziną robiło się

coraz goręcej. Droga była zatłoczona różnymi pojazdami - rikszami i powozami, wozami ciągniętymi przez woły, jak i szczupłymi, ciemoskórymi ludźmi, którzy szli, biegli, coś nieśli. A obok nich, spokojne, delikatnie stąpające, kroczyły ogromne skute słonie, obładowane kłodami drewna i palmowi liśćmi.

Droga stopniowo pięła się w górę, a ruch na niej malał. Wioski z pokrytymi palmowymi liśćmi chatami ustąpiły miejsca małym, pojedynczym osadom, a następnie gęstej, pozornie nieprzerwanej zieleni dżungli. Pośród tej zieleni wysokie wrota wiodące do posiadłości Hardwicke'a wydawały się nieskalanie białe. Major Carlton poprowadził powóz wysypaną tłuczoną czerwoną cegłą drogą, prowadzącą pomiędzy rozległymi szeregami zielonych herbacianych krzewów, w stronę bungalowu stojącego na szczycie wzgórza.

Pierwsze słowa Sophie, kiedy go ujrzała, brzmiały: - Ależ on ogromny. George powiedział mi, że jest duży, ale... - Nagle stała się niepewna, czując że znalazła się poza swoją klasą. - Och, Boże, toż to olbrzym.

Sophie przysłoniła oczy i z otwartymi oczami wpatrywała się w dom. Fioletowa bugenwilia rozlewała się na pokrytym czerwoną dachówką dachu i po długich, białych ścianach. Alejka obsadzona kwitnącymi drzewkami pomarańczowymi prowadziła do ozdobnej altanki otoczonej amarylisami, kameliami, liliami i różami. Przez chwilę prawie nie widziała George'a, który zszedł z szerokiej, obrośniętej kwiatami werandy, trzymając w ręce srebrne wiaderko z butelką szampana.

Wówczas go dostrzegła i zrozumiała, że musi dzisiaj podtrzymać nastrój ubiegłego wieczoru. Jej pewność siebie rosła w miarę, jak rosły jej nadzieje.

Wypiwszy szampana podziwiali widok, jaki z jednej strony rozpościerał się prawie aż do Kandy, a z drugiej



do wielkiego stożka Góry Adama. Następnie George oprowadził ich po bungalowie. Ciężka tekowa boazeria i staroświeckie meble dziesięciu sypialń nie spodobały się Kate, Sophie natomiast była zachwycona.

- George - roześmiała się - wprowadziłeś mnie w błąd. To nie jest bungalow, to pałac.

I po ubiegłej nocy, kiedy to chyba zobaczył Sophie na nowo, miał wrażenie, że bungalow rzeczywiście wygląda inaczej. Podziw Sophie sprawił, że nagle wszystko stało się wartościowsze. Kiedy pokazywał im rozliczne wspaniałości - wodne ogrody i stawy na zewnątrz i ozłoczone sypialnie wewnątrz - prawie nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Jego dłonie omiatały jej ramiona, talię, nie całkiem dotykając, z pewną jednak tęsknotą, kiedy jej ręce zawisały nad słoniami z wypolerowanego drzewa tekowego i kości słoniowej, które stały w hallu, mosiężnymi gongami i zdobionymi klejnotami drobiazgami. A kiedy ponownie w świetle jej entuzjazmu oceniał swe dobra, zastanawiał się nad przyjemnością dodania do nich jeszcze jednego eksponatu... jej.

- Piękne - westchnęła Sophie, wchodząc do wyłożonego boazerią salonu o ogromnych oknach i wyfroterowanej podłodze. - Ależ ty musisz mieć dobre oko, George - wykrzyknęła, czubkiem nogi dotykając łba jednego z ustrzelonych lampartów, których skóry zasłaniały podłogę. Następnie zachwyciła się gobelinami wiszącymi na ścianach, spojrzała na rzędy poroży i na obrazy. Stwierdziła, że obrazy są ładne, ładne są także zegary o srebrnych i turkusowych tarczach, podziwiała, etażerki pełne bibelotów z jadeitu i kości słoniowej, różowego kwarcu i pereł.

Zapytała George'a, czy kiedykolwiek robi się na tyle zimno, by można było rozpalić ogień w wielkim, rzeźbionym w kamieniu kominku, a on odpowiedział,

że ona przekona się kiedy... coś jej szepnął do ucha, a ona roześmiała się z rozkoszą i udawaną przyganą.

Zasiedli przy szerokim inkrustowanym stole z drzewa różanego, który stanowił główny mebel w przeszklonej jadalni. Na jego środku stała srebrna waza przedstawiająca róg obfitości, napelniona owocami - platanami, mango, pomarańczami, guawami, granatami, ananasami, brzoskwiniami i rambutanami. Na stole rozłożono wykwintną srebrną zastawę, kryształowe puchary, złoconą porcelanę. Posiłek, podany przez tylu służących, ilu było gości, rozpoczął się od pilafu, po którym podano curry z ryżem i pieczone przepiórki z migdałami. Na deser zjedli sałatkę owocową.

Mimo że smaczny, był to wystawny posiłek, podany w wystawny sposób, i wprawiający w zakłopotanie. George jadł niewiele. Cały czas wymieniał znaczące, intymne spojrzenia z Sophie, dając jej tajemne znaki, które powodowały, że wybuchała śmiechem, lub też z udawaną przyganą potrząsała głową.

Tylko jeden drobny incydent mógł zakłócić przyjemność Sophie. Siedzieli w czwórkę na werandzie, dopijając kawę. George wysłał służącego, żeby sprawdził, czy do jego powozu zapakowano piknikowy kosz i kazał podprowadzić oba powozy pod schody. Sophie właśnie co powiedziała zalotnie:

- Nie rozumiem tylko, George, po co taki samotny kawaler jak ty potrzebuje tylu sypialń?

- Cóż, faceci z sąsiednich plantacji czasami wpadają i... - zaczął odpowiadać George, kiedy na drugim końcu werandy, gdzie znajdowały się drzwi do niektórych pokoi gościnnych, coś się poruszyło.

Kate wyraźnie ujrzała szczupłą czarnowłosą młodą dziewczynę w złocistym sari. Stała całkiem nieruchomo wpatrując się w nich wszystkich, ale szczególnie w Kate, która znajdowała się na wprost niej. Obaj mężczyźni ją

zobaczyli. George wyglądał na rozzłoszczonego, major na zakłopotanego, jednak Sophie, która siedziała tyłem do tego końca werandy, pozostała w radosnej niewiedzy. Kiedy odwróciła się, żeby podążyć za ich wzrokiem, dziewczyna już zniknęła.

Nikt nie zrobił na ten temat uwagi, nawet wtedy, kiedy podprowadzono powozy i Sophie z HardwickeMem wsiadła do tego, który miał jechać przodem, a Richard z Kate do powozu doktora Warrendera.

Richard postanowił nawet nie wspominać o dziewczynie. Może była, czego obawiała się Kate, jedną z tutejszych kobiet George'a, o których żaden dżentelmen nie będzie rozmawiał z damą.

- Mam wrażenie, że Sophie dobrze się bawi - zauważył Richard nadając ton rozmowie, kiedy czubkiem bata uderzył konia i ruszył za pierwszym powozem. - Miałem wrażenie, że im przeszkadzamy.

Kate potrząsnęła głową.

- Nie jestem pewna. Może masz rację. Z całą pewnością on znowu jest bardzo oczarowany Sophie. Nawet bardziej niż był na statku.

- Według mnie George jest nieobliczalnym facetem.

- Według mnie także - zgodziła się z nim Kate.

- Nie chciałbym razem z nim służyć w regimencie -ciągnął Richard.

- W jednej chwili jest pogodnym, wesołym facetem, w drugiej naburmuszonym diabeł. W jednej chwili będzie chciał z tobą być, w następnej nie.

Chodzi o to, pomyślała Sophie, czy będzie chciał być z Sophie?

Kate odniosła wrażenie, że doskonale się ze sobą porozumiewali w czasie czterogodzinnej jazdy do laguny. Widziała ich głowy jedna tuż przy drugiej. W pewnej chwili George objął Sophie ramieniem. Śmiali się i wesoło rozmawiali, szczęśliwi, że są sami. W rzeczy samej

dobry nastrój George'a ulotnił się trochę, kiedy major zajechał drugim powozem nad brzeg laguny i razem podjechali pod prom.

Łódź, takiego samego typu, jak te, które oblegały w Colombo „Księżniczkę Orientu”, czekała, by zawieźć klientów na opuszczoną wyspę. Po bliższych oględzinach łódź okazała się wydrążonym pniem młodej palmy kokosowej. Zaopatrzona była z czerwony, postrzępiony żagiel i parę wiosła.

Przewoźnik przykucnął na dziobie. Ponieważ łódź mogła jednorazowo zabrać tylko dwoje pasażerów, panowie rzucili monetę, który ma popłynąć pierwszy, i Richard wygrał.

- Nie martw się o nas. Wróci za dwadzieścia minut. - Sophie wsunęła rękę George'owi pod ramię. - Wracając, my popłyniemy jako pierwsi. George powie mu, żeby zabrał nas wszystkich godzinę przed zachodem słońca.

- Wydaje mi się, że George chciał sprawdzić, czy ta cholerna łódź nie przecieka - powiedział Richard, kiedy przewoźnik zeskoczył ze swojej grzędy i zepchnął ich z błotnistej gruntu na nagle głęboką wodę, po czym sam wszedł.

Stado śnieżnobiałych czapli podniosło się z powierzchni laguny, a trochę dalej zrobiła to grupka różowych flamingów. Rzeka miała zaskakująco silny prąd, który białymi grzywami załamywał gładką toń. Od czasu do czasu inne rzeczy także załamywały powierzchnię, rzeczy o błyszczących ciemnych głowach, które, jak sądził major, były aligatorami lub wielkimi jaszczurkami, Kate natomiast była pewna, że są to krokodyle. Nie bacząc na to, co to może być, przewoźnik wiosłował wytrwale, używając nóg jak steru.

Z brzegu ruiny świątyni na wyspie przywodziły na myśl bajkowy zamek. Kiedy podeszło się bliżej, wydawały się

bardziej ziemsko piękne, odbijając się w powierzchni jeziora. Wszystko wokół porastała gęsta zieleń, gdzieniegdzie zakłócona przez jaskrawo-kolorowe kwiaty. Spod zielonych liści wyłaniały się zmurszałe marmurowe płytki, roztrzaskane kopuły, wiodące donikąd korytarze zrujnowanej świątyni.

Znaleźli się sami na tej dziwnie cichej wyspie. Gdzieś w oddali śpiewały ptaki i skrzeczały małpy, jednak te odgłosy potęgowały raczej ciszę niż ją rozpraszały. Kate nagle poczuła się nieswojo. Być może zbyt jawne demonstrowanie przez George'a i Sophie wzajemnej obecności sprawiło, że zdała sobie sprawę z własnych budzących się pragnień. Cokolwiek to było, Kate miała świadomość, że znajdują się z Richardem na wyspie sam na sam, i że z wielu różnych powodów nie powinno tak się stać.

Ruchem ręki Richard dał jej znać, żeby usiadła na gładkim kamieniu w cieniu drzewa i sam usiadł obok niej. Była mu za to wdzięczna. Po chłódzie w posiadłości Hardwicke'a poczuła teraz ciepło i wilgoć morskiego powietrza.

- Hej, Kate! Chyba się mnie nie boisz, co, kuzynko? - zapytał Richard, ułamując palmową gałązkę i wachlując ją nią.

- Oczywiście że nie. A dlaczego miałabym się bać? Przestał ją wachlować i połaskotał w nos gałązką.

- Bo tak to wygląda. Robisz wrażenie zaniepokojonej. Zarumieniłaś się. Nagle pomyślałaś sobie, że może zacznę się zachowywać jak George Hardwicke, i co masz zrobić, jeśli tak się stanie. ,

Zaprzeciła ruchem głowy, jednak roześmiała się z poczuciem winy.

- Nie martw się, nie jestem taki jak George. Jestem zaufanym kuzynem Williama. Chociaż, muszę to wyznać, William nie zna mnie dobrze. Nie ma za wielu

krewnych, spośród których mógłby wybierać. Musiał się więc zadowolić mną.

- Opowiedz mi o nich. O krewnych Williama.

- Nie ma wiele do opowiadania. W większości są to żołnierze z ciągotami do bohaterstwa i śmierci na polu chwały. Ja, oczywiście, nie, nie jestem taki, wystarcza mi pilnowanie biednych Burów.

- Biednych? - zapytała zaskoczona Kate. - Czy nie są źli?

- Nie gorsi - już miałem powiedzieć niż ty czy ja -ale muszę powiedzieć, nie gorsi niż ja. Obawiam się bowiem, że ty, Kate, nie jesteś zła. Wcale nie. Ani troszeczkę.

- Teraz się ze mną droczysz.

- Bardzo delikatnie.

Kate starała się nie czuć zakłopotania, kiedy tak wpatrywał się w nią z uśmiechem.

- Powiedz mi coś jeszcze o krewnych Williama. Co się stało z żołnierzami?

- Dwóch jego braci poległo w Sudanie, a trzeci w Afganistanie. Jego starsza siostra mieszka w Hongkongu. Jej mąż jest bankierem. William bardzo rozczarował swojego ojca, który był generałem. Według niego profesja medyczna jest zajęciem nie do przyjęcia dla kogoś z wojskowej rodziny.

- A w twojej własnej rodzinie?

- Och, także wszyscy są wojskowymi. W armii i służbie kolonialnej. Jestem jedynym żyjącym synem. Jak więc widzisz, William nie miał zbyt wielkiego wyboru.

- Uważam, że dobrze wybrał.

- Rzeczywiście, William ma chyba talent do dobrego wyboru. - Major pochylił się do przodu i pocałował ją w usta.

- Nie powinieś był tego robić. - Kate odsunęła się, chociaż niezbyt pośpiesznie.

- To był kuzynowski pocałunek, Kate.
- Ale ja tak naprawdę nie jestem twoją kuzynką.
- Ja uważam, że tak. - Znowu ją pocałował.

Pół godziny, kiedy czekali na pozostałą dwójkę, minęło w okamgnieniu. Wspominali dzieciństwo, mówili o swoich upodobaniach i o tym, czego nie lubią. Richard pocałował ją kilkakrotnie. Kiedy do brzegu przybiła łódź, Kate czuła, że Sophie od razu zdała sobie sprawę, co zaszło i w jakiś sposób to zamierzyła. Przyglądała się im, uśmiechając do siebie, kiedy George z krzykiem wydawał przewoźnikowi polecenia, po czym poszedł naprzód wąską ścieżką porośłą po bokach krzewami datury, a pozostali podążyli za nim gęsiego.

- Richardzie, powiedziałem mu, żeby wrócił po nas

O piątej. Będziemy mieli dość czasu, żeby obejrzeć świątynię i coś zjeść. - Dziewczęta - rzucił, potrząsając wilgotną trawę - uważajcie na kleszcze.

Ścieżka wiała się pomiędzy czerwonymi skałami i wysokimi tekowymi drzewami. Na słońcu, nieruchome niczym kamienie, wylegiwały się iguany. Nagły hałas sprawił, że Kate uniosła głowę i zobaczyła, jak z tuzin małych przeskakuje z gałęzi na gałąź. Tuż przed nią przeleciał jakiś egzotyczny ptak, a z krzewu oleandru pod jej stopami ze skrzekiem zerwały się cztery czerwono-zielone papugi.

- No, jesteśmy na miejscu - powiedział George

I wskazał na wyrzeźbiony w jednolitej skale wielki posąg Buddy siedzącego w postawie lotosu, z owalnymi oczami spoglądającymi spokojnie spod zasłony drobnych liści flambojantów. Obok kwadratowe pilastry pozbawionej dachu świątyni wznosiły się ponad półksiężycowym progiem, rzeźbionym w króliki i lwy.

George położył na ziemi kosz z jedzeniem.

- Nie uwierzycie, ale ta świątynia ma tysiąc lat.
- Panuje tu tak cudowny spokój - powiedziała Kate.

Sophie weszła na wyłożoną kamieniami ścieżkę, czubkiem buta odgarniając piaszczystą glebę, by obejrzeć fragmenty mozaiki.

- Jeźdźcy - powiedziała. - Mężczyźni z zakrzywionymi szablami i tańczące dziewczęta.

- Ale żadna z nich - rzucił z galanterią George, wyjmując z futerału aparat fotograficzny - nie jest tak piękna jak ty.

Sophie zachichotała. George zrobił jej zdjęcie, jak stoi oparta o pilaster, z jedną ręką wyciągniętą wysoko w górę. Następnie zrobił im wszystkim zdjęcie, jak siedzą na chodniku, jedzą kurczaka i kanapki z szynką, słodkie migdałowe ciasteczka, popijając herbatę z termosu. Potem zrobił Sophie jeszcze jedno zdjęcie, kiedy patrzy Buddzie w twarz. I wówczas wpadł na pomysł, że zrobi jej zdjęcie, jak siedzi Buddzie na kolanach.

- Nie powinieneś tego robić - powiedział Richard.

- Dlaczego?

- To święty posąg. Gdyby zobaczył to jakiś buddysta... Sophie jednak już zdążyła się wdrapać na kolana

posągu i prowokacyjnie usadowiła się mu na kolanach, ze złożonymi przed sobą rękami.

Rozległ się suchy trzask i George powiedział:

- To dobre ujęcie.

- Tak czy owak - rzucił Richard - na twoim miejscu nie pokazywałbym go nikomu.

- Ale ty, kolego, nie jesteś mną.

- Tutejsi mieszkańcy są bardzo drażliwi.

- Drażliwi! To przesądne małpy, tak bym to określił.

- Kiedy jednak przyjechaliby do Anglii i to samo robili na naszych grobach, Sophie, to my mielibyśmy powód do obrazy.

- Bzdura - powiedział George, robiąc Sophie jeszcze jedno zdjęcie, kiedy schodziła z posągu. - Nie zachowuj się jak jakaś stara baba.



- Nie można być zbyt ostrożnym, jeśli chodzi o uczucia religijne - upierał się Richard. - Przypomnij sobie, że główną przyczyną buntu Sipajów było to, że nie uszanowaliśmy świętej hinduskiej krowy.

- Nie wierzę w to.

- Przypadkiem jest to prawda. George parsknął z pogardą.

- Przyjechałeś tu dopiero niedawno. Gdybyś na co-dzień musiał mieć do czynienia z tymi krajowcami, miałbyś o nich inne zdanie. W głębi duszy to dzieci. Lubią niewymyślne żarty i śmiech.

- Żarty? - rzucił krótko Richard. - Mogą uznać to za świętokradztwo.

- Bzdura. Jak można popełnić świętokradztwo w stosunku do pogan?

- Świętokradztwo. - Sophie dosłyszała to słowo, kiedy schodziła i stanęła obok George'a. - Moje zdjęcie świętokradztwem? To mi się podoba!

Kate wiedziała, że Sophie łatwo się obraża. Teraz sprawiała wrażenie śmiertelnie obrażonej. Zacisnęła usta, a jej oczy miały gniewne błyski. Uniosła rękę, jakby chciała wymierzyć majorowi policzek.

Richard uratował sytuację, kiedy dostrzegł nagle przewoźnika, który omijając skały, zbliżał się do brzegu. Wszystkim było zbyt gorąco, zbyt też byli zmęczeni, by kontynuować dyskusję.

- Pojedziemy prosto do bungalowu - rzucił George przez ramię, równocześnie podając Sophie dłoń. - Do zobaczenia na miejscu. Zapraszam na kolację.

George sprawiał wrażenie, jakby już zapomniał o sporze o fotografię, Sophie jednak nadal była oburzona.

- Nie rozumiem, jak siedzenie na kamiennym kolanie kamiennego bożka może być świętokradztwem. - Kiedy siadała do łódki, pogroziła Richardowi palcem.

Richard zaczął się śmiać, aż Kate szepnęła:

- Przestań, proszę! Sophie ma wybuchowy temperament. Jeżeli będziesz się śmiał, tylko pogorszysz sprawę.

Z kamiennymi twarzami pomachali im na pożegnanie i przyglądali się, jak łódź omija skały, po czym znika w oddali. Kiedy zostali sami, znowu zapanowało między nimi niespokojne milczenie.

Kate usiadła na tej samej skale, co poprzednio, by czekać na powrót łodzi. Tym razem, pozornie niedbałym gestem zdjęła hełm i położyła go pomiędzy sobą a Richardem.

Roześmiał się.

- Czy to ma stanowić barykadę, kuzynko? Potrząsnęła głową, niemniej jednak zaczerwieniła się.

- Tylko tyle i ani kroku dalej, to mi chcesz powiedzieć?

- Być może.

- Żadnych pocałunków, kuzynko? Potrząsnęła głową.

- Już nie.

- Dlaczego? Nie sprawiły ci przyjemności? - Pochylił się nad dzielącym ich hełmem i uniósł w górę jej brodę. - A może dlatego, że sprawiły ci za dużą przyjemność? - Kiedy nie odpowiedziała, rzucił: - Może masz rację. Musimy trzymać się zasad.

Jednak trzymanie się zasad okazało się trudniejsze, niż się spodziewali. Kuzyn Williama miał nieodparty urok. Wypytywał ją o rodziców, po czym ze współczuciem pocałował ją w czoło. Opowiadał jej o swojej służbie w armii, cytował powiedzenia swojego sierżanta, a kiedy roześmiała się, objął ją i przytulił, i śmiali się razem niczym dwoje dzieci śmiejących się ze wspólnego żartu.

Noc zaskoczyła ich swoją nagłością.

- Strasznie długo to trwa - powiedział Richard, wyjmując zegarek i przy świetle księżycy próbując dojrzeć, którą wskazuje godzinę. Za nimi pośród palm rosnących przy

brzegu tańczyły świetliki. Na granatowym niebie, wolno poruszając skrzydłami, pojawiły się wielkie jak psy nietoperze. Kate patrzyła, jak lecą na południe, dziwnie odcinające się na tle ogromnego księżyca. Przeszedł ją dreszcz.

- Mam nadzieję, Richardzie, że łódź się nie przewróciła. Chyba krokodyle nie zjadły przewoźnika?

- Oczywiście że nie. Prawdopodobnie poszedł do domu na kolację. Czas nie ma dla tych ludzi znaczenia.

- No, ale chyba zdają sobie sprawę, że nikt nie chce zostać tu po ciemku?

- Chyba tak. - Objął ją ramieniem, a ona, z powodu nietoperzy, przysunęła się bliżej. - Znam przynajmniej jednego mężczyznę, który chciałby tu zostać po zapadnięciu ciemności.

Teraz czas mijał jeszcze wolniej. Oboje wpatrywali się w czarną powierzchnię laguny, wypatrując światła łodzi. Kilkakrotnie wydawało się im, że coś widzą, ale za każdym razem okazywało się, że jest to tylko jakiś niemądry świetlik, który zapuścił się za daleko nad wodę.

Około dziesiątej major porzucił nadzieję, że przewoźnik wróci. Zaczął zbierać w stos chrust i uschnięte palmowe liście.

- Będzie bezpieczniej, jak rozpalimy ognisko - powiedział, przykładając do stosu zapalniczkę. - Na wyspie nie ma żadnych niebezpiecznych zwierząt, jak sądzę, lampartów czy leniwców. Ale może są węże. To je nie powstrzyma, ale przynajmniej je zobaczymy.

Kiedy ognisko płonęło już jasno, powiedział jej, żeby wyciągnęła się na skale.

- Tak będziesz bezpieczniejsza przed węzami. Lepiej nie zdejmuj butów. Będą cię chroniły. - Po czym zdjął kurtkę i położył jej na nogach. - Możesz położyć mi głowę na kolanach. Będę dobrą poduszką. I będziesz całkiem bezpieczna. Ja będę czuwać.

- Będziemy to robić na zmianę - powiedziała.

- Jeśli nalegasz, kuzynko.

- Nalegam.

- Wobec tego połów się wygodnie. Obudzę cię około drugiej.

Kate ułożyła się do snu. Richard gładził ją po włosach, a w którymś momencie pochylił się i pocałował ją w czoło, jakby życzył jej dobrej nocy. Pomimo śpiewu nocnych ptaków i chichotu małp, zasnęła. Kiedy otworzyła oczy, właśnie wstawał świt i w jego różanym blasku dojrzała łódź.

- Wcale nie spałeś - powiedziała Kate.

- Przyzwyczałem się do bezsennych nocy. - Wstał i przeciągnął się.

- Są gorsze rzeczy, z którymi trzeba walczyć, niż nie przespana noc, znacznie gorsze, kuzynko. - Pomógł jej wstać, kiedy łódź dobiła do brzegu. - A teraz muszę rozprawić się z przewoźnikiem.

Ten jednak nie rozumiał ani słowa po angielsku. Wyraz twarzy majora i ton jego głosu wprawiły go w zakłopotanie. Rozłożył ręce, potrząsnął głową i wznosił wzrok do nieba. Major próbował użyć kilku ostrych słów w języku Syngalezów, ten jednak nic nie rozumiał, a major ani słowa z jego tłumaczenia w języku Tamilów.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi - powiedział Richard. - Poddaję się, wsiadajmy. Co za ludzie! Co za kraj!

Pomógł Kate wsiąść do łodzi. Kiedy płynęli, zmarszczywszy brwi, powiedział:

- Nie chciałbym, żeby William kiedykolwiek się o tym dowiedział. Nie chciałbym, żeby pomyślał, iż go zawiodłem, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

- Och, ale przecież go nie zawiodłeś. Nigdy byś tego nie zrobił.

- Bardzo niewiele brakowało, kuzynko Kate. Bardzo niewiele. - Zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

- A to nie byłoby właściwe. A teraz nie mam ochoty zapłacić temu łobuzowi - powiedział, gładząc wąsy palcami.

- Och, nie, musisz to zrobić. Oni są tacy biedni. -Po czym dodała: - A może nie zapłaciliśmy mu wystarczająco w tamtą stronę?

W oczach majora pojawił się ostry, przenikliwy wyraz.

- Lub też ktoś zapłacił mu za dużo.

Nie chciał wyjaśnić, co ma na myśli, po prostu wzruszył ramionami i rzucił:

- Och, nic szczególnego nie miałem na myśli. -Jednakże nie przestał marszczyć brwi, kiedy na złamanie karku od razu pojechał do Rangawelli, tuż po tym, jak rozpoczął się poranny ruch.

Kate miała nadzieję, że nikt ich nie zobaczy, a jeśli zobaczy, to nie zda sobie sprawy, że nie wrócili na noc. Appu będzie z pewnością wiedział, a służba na pewno będzie plotkować. Co się stanie, jeśli dotrze to do uszu Edith Purvis? A co gorsza, jeśli ich zobaczy?

Jednakże nie spotkawszy nikogo zjechali z głównej drogi w stronę Braemar. Kiedy skręcali mijając kutą, żelazną bramę, Kate ogarnęło przeczucie, że coś się wydarzyło w czasie jej nieobecności. To przeczucie przerodziło się w pewność, kiedy zobaczyła, jak dwóch mężczyzn o poważnych twarzach wchodzi po trzech schodkach prowadzących do domu. Byli to ubrani na biało Syngalezi.

Widocznie William umarł. Kiedy jej nie było, kiedy flirtowała z jego kuzynem, William umarł. Nie zaczekała, aż major zeskoczy i pomoże jej wysiąść. Sama wysiadła z powozu, uniosła spódnicę i wbiegła po schodkach prowadzących do domu. Z salonu dobiegały-męskie głosy. Otworzyła drzwi.

A tam, siedząc naprzeciwko wejścia, podnosząc się, kiedy wpadła, był jej mąż, doktor Warrender.

## Rozdział XIV

Kiedy zobaczyła ich trzech, Kate zatrzymała się w pół kroku i powiedziała:

- Och, przepraszam. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - W tej sytuacji były to tak naiwne przeprosiny, że William Warrender uśmiechał się. Był to jednak ponury uśmiech. Nadal wyglądał na chorego, starego i był bardzo wychudzony. Miał niezdrową cerę i matowe włosy, jednakże jego oczy były bardzo, bardzo żywe, jasne i wszechwiedzące.

- Wprost przeciwnie, Kate, byłaś tematem naszej rozmowy. Ty, i to, co się z tobą działo.

Dwaj mężczyźni w białym odzieniu skinęli głowami i pochylili je, jakby nie wiedzieli, co mają powiedzieć czy zrobić.

- Przepraszam - powtórzyła Kate. - Bardzo mi przykro.

- Oboje przepraszamy - powiedział głośno major, pojawiając się w drzwiach i ogarniając całą scenę przeciągłym, zdumionym spojrzeniem. - Kate jednak nie miała z tym nic wspólnego. Ja ponoszę całkowitą winę.

- Takie mam wrażenie - zgodził się chłodno Warrender, ujął jednak wyciągniętą dłoń kuzyna i uściskał ją.

- Cieszę się, że cię znowu widzę - powiedział Richard. - Cholernie się cieszę. Obawialiśmy się...

Warrender przerwał mu ostro:

- i ja się cieszę, że wróciłem. - Położył dłoń na ramieniu każdego z dwóch Syngalezów. - Kate, Richardzie, pozwólcie, że przedstawię wam moich przyjaciół i pomocników, pana Seneratne i pana Fonsekę. Nie ma dwóch lepszych felczerów na całym Cejlonie.

Dwaj mężczyźni uśmiechnęli się od ucha do ucha, machając skromnie rękami na znak, że się nie zgadzają z opinią doktora.

- Seneratne, dobry człowiek, towarzyszył mi w nocnym pociągu z Colombo, a Fonseca szedł pieszo całą drogę ze swojej przychodni w Talawakelly, żeby się z nami spotkać.

- Doktor chciał zaprząć się do roboty, najszybciej jak to możliwe - wyjaśnił pan Seneratne. - Skoro tylko przyjechaliśmy na stację kolejową w Rangawelli i spotkaliśmy się z Fonseką, zaczął upierać się, byśmy wszyscy pojechali do szpitala i porozmawiali z siostrą MacGregor.

- Oprócz pracy w szpitalu mam tu w okolicy jeszcze dwie przychodnie - wtrącił zwięźle Warrender widząc zdziwioną minę Kate. - Każdą zawiaduje felczer, równie dobry jak każdy lekarz.

Pan Seneratne zagestykułował wymownie.

- Tacy jesteście szczęśliwi, że doktor wyzdrowiał. Mówię pani, pani Warrender, że wyrwał się ze szponów śmierci.

- Ja także jestem szczęśliwa - powiedziała Kate, ale poczucie winy i zdziwienie spowodowało, że jej głos zabrzmiał ochryple i nie okazał nic z tego, co czuła.

Warrender uśmiechnął się do dwóch mężczyzn, jakby chciał ich odprawić. Rozumiejąc tę niemą wskazówkę, pożegnali się szybko. Ukłonili się majorowi i uśmiechnęli wychodząc z pokoju, jednakże ich oczy w jakiś sposób były dziwnie wrogie.

Kiedy odeszli, Warrender zwrócił się do Kate.

- Usiądź, moja droga. Wyglądasz na zaszokowaną.  
- Jestem zaszokowana - powiedziała, robiąc to, co jej polecił i siadając na skraju niewygodnego tekowego krzesła. - Bardzo. - Przyłożyła dłoń do czoła. Było spocone. - Oczywiście, w przyjemny sposób zaszokowana.

- Oczywiście. - Powtórzył to takim samym tonem, jednak z lekką nutą sarkazmu, tak mu obcą.

- Jestem zachwycona, Williamie, że żyjesz i dobrze się czujesz, albo prawie dobrze. Jestem szczęśliwa i...

- 1, Williamie - przerwał jej Richard, nadal stojąc prawie sztywno wyprostowany na baczność - zanim powiemy coś więcej, jako sprawę honoru winienem ci wyjaśnienie.

Warrender usiadł naprzeciwko Kate i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Tak - zgodził się zwięźle - winienem ci wyjaśnienie. Zanim mi je przedstawiś, pozwól, Richardzie, iż jestem pewien, że będzie zadowolające.

- Dziękuję. - Richard stał na baczność niczym na paradzie.

- I chociaż zaniepokoiła mnie nieobecność Kate, czerpałem pociechę z faktu, że jest z tobą.

William jest mądrzejszy i twardszy, niż mi się wydawało, pomyślała Kate, widząc, jak zdrowe policzki majora pokrywa lekki rumieniec winy, i jak przesuwając po wąsach palcem wskazującym.

- Skąd się dowiedziałeś...? - zaczął major.

- Appu - odparł spokojnie William. - Powiedział mi. Mo i oczywiście Samuel doglądał twojego konia.

Major skinął głową.

- Oczywiście.

- Mie uspokoił mnie jednak fakt, gdy dowiedziałem się, że panna Simpson również bierze udział w wyprawie. Usłyszałem w szpitalu od siostry MacGregor o jej tanecznym wyczynie poprzedniego wieczoru.



William rzucił Kate spojrzenie z ukosa. Poczowała, jak się jeszcze bardziej czerwieni. Następnie jej mąż skierował wzrok na twarz Richarda.

- Nie wątpię, że czwartą osobą był Hardwicke. Bałem się tego. Dobrze! Teraz możesz zaczynać.

Doktor Warrender słuchał w całkowitym milczeniu, kiedy Richard przekazywał mu swoją relację o wydarzeniach wczorajszego dnia. Major mówił szybkimi, urywanymi zdaniami, jakby nadawał wojskową depeszę. Kiedy skończył, Warrender przez kilka sekund nie odzywał się ani słowem. Przenikliwie wpatrywał się w swojego kuzyna. Następnie wstał.

- Dobrze, Richardzie - powiedział, klepiąc go w ramię, jak to przedtem uczynił w odniesieniu do dwóch felczerów. - Nie masz się czym winić, no może pewnym brakiem taktu. Ja także o nic cię nie obwiniam. W rzeczy samej mam wszelkie powody, żeby być ci wdzięcznym za tak dobrą opiekę nad Kate.

Mówiąc te słowa zwrócił się do niej. Z uczuciem rozpaczly dostrzegła dziwnie trwałą, zimną cień w jego spojrzeniu. Jego umysł wierzy w to wyjaśnienie, pomyślała, ale jego serce je odrzuca. Wierzy, że tak dokładnie było, ale wierzy także, że my chcieliśmy, żeby tak się stało. Zwłaszcza jak ja chciałam, żeby się stało.

Nigdy nie słyszała, żeby Richard odmówił zjedzenia śniadania pod pretekstem inspekcji, jaką musi odbyć w obozie. Pomyślała, że jej mąż ma przerażający zwyczaj przenikania ludzkich motywów, i że tym razem może ma rację.

Nie trzeba było zbyt wiele przenikliwości, oczywiście, żeby dojrzeć motyw Sophie. Tuż przed śniadaniem przyjechała powozem Hardwicke'a, powożonym nie przez George'a, ale przez jego służącego.

William właśnie skończył opowiadać Kate o swoim pobycie w szpitalu i kuracji, jaką sam wymyślił.

- Albo śmierć, albo wyleczenie - powiedział, uśmiechając się kwaśno - ja jednak miałem szczęście, że wyszedłem z tego wyleczony.

- Czy rzeczywiście myślałeś, że umrzesz? - zapytała go Kate.

- Tak.

- A więc - rzuciła cicho, pamiętając ów zimny, zatwardziały cień w jego oczach - myliłeś się.

Jej mąż uśmiechnął się z autentycznym rozbawieniem.

- Och, wcale nie uważam się za nieomylnego. Często się mylę, Kate. Często. - Poklepał ją po ręce, jakby ta myśl była dla niego równie pocieszająca jak dla niej.

Wówczas nadjechał powóz Hardwicke'a i uśmiech doktora Warrendera zbladł. Zmrużonymi oczami przyglądał się, jak Sophie wysiada. Nie przygotowana na jego widok Sophie z zaskoczenia otworzyła usta. Podczas gdy twarz Kate wyrażała poczucie winy i zaskoczenie, jej wyrażała poczucie winy i przerażenie, a także bezczelną determinację, by się z tą sytuacją uporać.

- Cóż, doktorze Warrender - uśmiechnęła się, głęboko zaczerpnąwszy powietrza, by przyjść do siebie. - To rzeczywiście pan? Rzeczywiście ma się pan już lepiej? To wspaniała niespodzianka. Wspaniała! Kate, musiałaś być niezwykle zaskoczona.

- W rzeczy samej była - odparł sucho doktor Warrender. - Niezwykle zaskoczona.

Zanim Kate miała czas odpowiedzieć, Sophie ciągnęła znacząco. - Czy opowiedziałaś już doktorowi Warrenderowi o tym strasznym przewoźniku? O tym, co zrobił? To całkowicie jego wina. Całkowicie. Nie chciałabym powtarzać tego, co o nim mówił pan Hardwicke...

Doktor Warrender przerwał je pytaniem:

- Gdzie pojechaliście pani i Hardwicke po opuszczeniu łodzi?
  - Oczywiście że z powrotem do bungalowu. - Sophie zacisnęła usta.
  - Dlaczego oczywiście? Czy cały czas zamierzaliście tam wrócić?
  - Cóż, tak. Na krótki odpoczynek. Żeby poczekać na pozostałych. Chcieliśmy, żeby zostali na obiad.
  - Dlaczego nie czekaliście na nich przy łodzi? Mielibyście wówczas pewność, że ten łotr po nich wrócił.
  - Nie pomyśleliśmy o tym.
  - Doprawdy?
  - Tak, doprawdy.
  - Czy nie mogliście się przynajmniej upewnić, że przewoźnik po nich wypłynął?
- Sophie wzruszyła ramionami.
- Pański kuzyn, jeśli wybaczy mi pan, że to mówię, zdenerwował George'a.
  - Odnośnie czego?
  - W rzeczy samej, niczego.
  - Wobec tego musi się łatwo denerwować. Sophie skrzywiła się. Zaraz, pomyślała Kate, nerwowo zaciskając i rozprostowując dłonie, wybuchnie.
  - A kiedy Kate i Richard nie pojawili się, nic pani nie zrobiła - poza postanowieniem spędzenia nocy w bungalowie Hardwicke'a?
  - Cóż, tak to się jakoś stało. Czekaliśmy i czekaliśmy i mieliśmy nadzieję, że zaraz się zjawią. Wie pan, jak to jest.
  - Nie, prawdę mówiąc, nie wiem, jak to jest Pani, jednak z całym spokojem poszła spać tej nocy, wiedząc, że Kate i major zostali na wyspie?
  - Nie byłam tego pewna. Pomyślałam, że może pojechali prosto do domu. Naprawdę tak pomyślałam. Biedny George nie bardzo przypadł Richardowi do serca.

A ponadto pomyślałam sobie, że może chcieli... - Widząc, jak doktor Warrender zacisnął szczęki, przerwała i rzuciła gniewnym tonem: - Dlaczego przepytuje mnie pan w ten sposób? Jakbym była jakąś zbrodniarką?

- Ponieważ tutaj, w Rangawelli, obowiązują pewne sensowne zasady, do których musi się pani stosować, dla bezpieczeństwa zarówno brytyjskiej społeczności, jak i własnego. - Warrender przerwał, zanim dodał z jeszcze większym naciskiem: - A także dlatego, że przypadkowo przebywa pani pod moim dachem i wplątała pani moją żonę w bardzo niezręczną sytuację.

Powiedziałby z pewnością znacznie więcej, ale Appu uderzył w mosiężny gong znajdujący się w hallu, po czym przydreptał do salonu, żeby obwieścić, iż podano śniadanie.

W jadalni nakryto dla trzech osób. Doktor Warrender dał ręką znak Sophie, by zajęła krzesło, które podsunął jej Appu. Kate zajęła miejsce u szczytu stołu. Doktor Warrender odmówił modlitwę, a Samuel, który pomagał podawać, rzucił głośnie amen.

Kiedy Appu i Samuel podali już curry, Sophie powiedziała niechętnie:

- Przykro mi, że wplątałam w to Kate. Przepraszam, że tak to wyszło. Nie wiedziałam, że tak się stanie. Słyszałam, jak George rozmawia z przewoźnikiem po tamilsku i sądziłam, że wszystko mu wyjaśnił. Widać facet miał już dość, albo też niewystarczająco mu zapłaciliśmy, a może miał jakiś inny kurs, a może po prostu nie chciało mu się popłynąć. Rzeczywiście powinnam była zostać i dogłębnie tego, żeby Kate dopłynęła. Jest mi przykro. Nic jednak się jej nie stało. Był przy niej major.

- A przy pani pan Hardwicke.

- Tak, w rzeczy samej. Ale to nie przestępstwo. I nie podoba mi się, że usiłuje mi pan wmówić, że jest to przestępstwo.

- To głupota, i w tę głupotę wplątała pani Kate. Odezwała się Kate.  
- Nie musiała mnie w to wplątywać. To także moja wina.  
- Nie wtrącaj się w to, Kate! - Po czym doktor ponownie zwrócił się do Sophie. - Nie po raz pierwszy wpakowała pani Kate w kłopoty. Ale po raz ostatni.

- Do diabła - krzyknęła Sophie z wściekłością rzucając widelec i odsuwając krzesło. - Jestem dorosłą kobietą. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić, a czego nie.

- Jak długo będzie pani przebywać w moim domu, tak będzie.

Posiniała ze złości, Sophie rzuciła;

- Wobec tego opuszczam pański dom! - krzyknęła. - Pański nędzny, dziadowski dom. - Po czym wypadła z jadalni.

W pokoju zapanowała cisza, którą zakłóciło jedynie trzaskanie drzwiami sypialni Sophie. Kate siedziała nieruchomo, wpatrzona w serwetkę, w której liczyła wszystkie włókna, świadoma że Warrender się w nią wpatruje.

Miała ochotę wstać i pójść za Sophie. Nie bała się tego zrobić. Podziwiała swojego męża, jednak się go nie bała. Martwiła ją jednak dwoistość jej lojalności. W połowie chciała pocieszyć Sophie, w połowie potwierdzić swoją do niego przynależność. Lojalność w stosunku do Sophie bez wątpienia by zwyciężyła, gdyby nie jej pogardliwa opinia o bungalowie.

Minęło następne pięć minut, w czasie których Appu i Samuel zabrali talerze i położyli na stole misę z owocami, po czym Warrender powiedział cicho:

- Idź do niej, Kate.

Kate stwierdziła, że gniew Sophie ulotnił się równie szybko, jak się pojawił. Uśmiechnęła się do Kate.

Pomimo tego jednak Kate dostrzegła stos sukien na łóżku, wysunięte i opróżnione szuflady komody i Sophie zajęta wpakowywaniem ubrań do walizki i dwóch toreb.

- Nie miej takiej przerażonej miny, Kate. Opuszczam cię. Naprawdę. Tak czy owak miałam zamiar to zrobić. Mówię ci to szczerze. - Złapała Kate za nadgarstek. - Wyjechałabym stąd, gdyby on wrócił. - Wzniosła wzrok do nieba. - Co za szok! Omal nie umarłam, kiedy go zobaczyłam. - Zachichotała. - Ty pewnie umarłaś, mogę się założyć.

- Bardzo się ucieszyłam - powiedziała Kate, z trudem wypowiadając te słowa zeszywniałymi wargami.

- No, cóż, nie sprawiałaś takiego wrażenia, muszę to przyznać. Wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha.

- Byłam zaskoczona i szczęśliwa.

- Cóż, wierzę ci. Dziesiątki innych by ci nie wierzyło. Doktor także nie uwierzył.

Kate z bezsilnością wzruszyła ramionami.

- Jestem pewna, że wcale nie chce, byś stąd wyjeżdżała. Ja także nie chcę. Sophie, proszę, zostań.

- Nie mogę, kochanie. Naprawdę nie mogę. Nie chcę. Nie mogę. Widzisz, mam pewną naprawdę dobrą wiadomość, z którą muszę się z tobą podzielić. Dlatego właśnie tak się zezłościłam, kiedy zaczęto mnie zasypywać pytaniami.

- Rozumiem.

- Pan doktor po prostu wyprowadził mnie z równowagi. Kate roześmiała się niepewnie.

- Mnie także. - Spojrzała na Sophie. - A co to za dobra wiadomość? Możesz mi teraz powiedzieć?

- Oczywiście że mogę. Najlepsza z możliwych. George chce się ze mną ożenić. Powiedział mi to zeszłej nocy. I nadal tego pragnął dzisiaj rano. Nic nie można do tego dodać. Dzisiaj rano zaczęliśmy nawet mówić o wyznaczeniu daty.

- To cudowne!

- Prawda? Przepraszam cię, że tak się wyraziłam o tym domu. Nie jest nędzny. Jest miły i przytulny. Lepszy niż większość, w jakich mieszkałam. Straciłam jednak opanowanie. Wiesz, jak to jest?

- Zostaniesz więc? - zapytała Kate.

- Nie. Sophie potrząsnęła głową. - Co zabawne, rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem. George chce się ze mną znacznie częściej widywać. Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli zamieszkam w hotelu w Rangawelli. Będzie to dla niego miłe i wygodne!

Z werandy Edith Purvis obserwowała, jak Samuel podprowadza powóz Warrendera, ładuje na niego rzeczy tej Simpson, a następnie ją samą, po czym opuszcza Braemar i zjeżdża w dół, w stronę Rangawelli. Dzień wcześniej widziała, jak ten sam powóz wyrusza z majorem Carltonem i dwoma paniami na jakąś nieznaną wyprawę, z której wrócili oddzielnie dziś rano - Kate Warrender z majorem, a ta Simpson w powozie Hard-wicke'a - tak więc nie trzeba było wielkiego rozumu, żeby wiedzieć, co o tym myśleć. A ponieważ widziała wcześniej niespodziewane przybycie na stację doktora Warrendera, w towarzystwie oddanego Seneratnego, wszystko sprowadziło się do Grzechu, odkrytego i udaremnionego.

Te wydarzenia przerwały Edith Purvis pisanie comiesięcznego listu do kaplicy w Anglii, która ich sponsorowała, co Anglia zawsze czyniła w stosunku do rodaków zagranicą. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła powóz i przyłożyła do oczu lornetkę, właśnie co napisała: „Często myślę, że Pan sprawił, iż wybudowaliśmy tę kaplicę na wzgórzu, po to, byśmy kochającym okiem spoglądali na tak wiele owieczek z naszej trzody”. Nikt tak naprawdę nie mógł twierdzić, że Sophie należy do ich trzody i nikt nie mógł powiedzieć, że oko Edith

- jej Wszystkowidzące Oko, jak nazywa! je wielebny Purvis - jest kochające. Prawdą jednak było, jeśli zapożyczyć inne jeszcze ulubione sformułowanie jej męża, że czasami jeśli się kogoś kocha, pragnie się, żeby został ukarany za swoje grzechy, i w świetle tej definicji Edith Purvis bardzo kochała Sophie Simpson.

Teraz odłożyła lornetkę i zawołał do męża, który pracował w gabinecie:

- Arnoldzie, doktor Warrender wyrzucił z domu tę Simpson.

- Po występie na balu, zasłużyła sobie na to z nawiązką, Edith.

Oboje byli zdania, że ten występ był hańbą. Pohańbieniem flagi, pohańbieniem królowej, pohańbieniem zwycięstwa pod Ladysmith i pohańbieniem brytyjskiej społeczności w Rangawelli.

- Widzieli to krajowcy, Edith. To jest takie denerwujące. Jesteśmy mocarstwem okupacyjnym, a mocarstwo okupacyjne musi być bardziej nieskazitelne niż żona Cezara. Kiedy nasi własni rodacy zachowują się w ten sposób, bardzo utrudnia to sprawy naszym kolonialnym rządóm. Gubernatorowi okręgu bardzo się to nie podobało. Powiedział mi to.

- Nikomu się nie podobało.

- Z wyjątkiem plantatorów, a w ich przypadku musimy oczywiście pójść na pewne ustępstwa.

- Wydaje mi się, że nawet plantatoróm się to nie podobało, Arnoldzie.

Tym stwierdzeniem pani Purvis ponownie wykazała, iż rzeczywiście posiada Wszystkowidzące Oko, gdyż w jakiś dziwny, intuicyjny sposób miała rację. Sophie Simpson, unosząca wysoko w górę halki i ukazująca podwiązki i kształtne nogi była - wszyscy by to przysięgli

- wspaniałym widokiem dla ich pijanych oczu. Jednak prawie co do jednego wykształceni w angielskich



Szkotach prywatnych, uznali również ten widok za obraźliwy. Nie potrafili zaklasyfikować Sophie. Czy należała do klasy pracującej, średniej, czy też była ladacznicą? Może i bardzo się im to podobało, kiedy byli pijani, jednak gdy obudzili się trzeźwi w chłodnym świetle poranka, pomyśleli sobie, że posunęła się za daleko.

Zaklasyfikowano ją już do niższej klasy, kiedy przygoda z wyprawą na wyspę Maskeliya stała się wiadomością publiczną, co nastąpiło niebawem. To po prostu naznaczyło ją jako kobietę publiczną - i część z tej opinii przyłgnęła do Kate.

- Może masz rację, Edith. - Teraz widać było, jak obłoczek pyłu wzbijany przez powóz mija stację kolejową. Edith podniosła lornetkę i jeszcze raz dokładnie przyjrzała się powozowi i pasażerom.

- Zatrzymał się, Arnoldzie. Chłopiec wyładowuje bagaże. Ta Simpson wchodzi do hotelu. Tak, doktor Warrender rozprawi! się z nią raz, a dobrze. Teraz jego obowiązkiem będzie rozprawić się z tą swoją młodą żoną...

## Rozdział XV

Jeśli William Warrender wiedział, że taki na nim spoczywa obowiązek, nie dawał tego po sobie poznać. Wyraził żal z nagłego wyjazdu Sophie, wyraził nadzieję, że Kate nie za bardzo odczuje brak jej towarzystwa, dał jej jednak jasno do zrozumienia, że uważa tę sprawę za zakończoną. Skoro tylko Kate skończyła ten nieprzyjemny posiłek, przeprosił ją, mówiąc, że w gabinecie czeka na niego praca. Seneratne i Fonseca mieli wrócić niebawem, no i ma się także spotkać jeszcze z innymi osobami. Kiedy przechodził obok krzesła, na którym siedziała Kate, pochylił się i lekko pocałował ją w czubek głowy.

- Będziemy musieli pomyśleć, moja droga, nad znalezieniem ci jakiegoś zajęcia - powiedział bardzo łagodnie.

- Żeby nie robiła głupstw? - zapytała.

- Być może.

Te kilka słów przygnębiły ją bardziej niż jakakolwiek wymówka. A co gorzej, sprawiły, że poczuła się w tym domu bardziej jak młody gość niż jak jego gospodyni, jakby w ciągu tych ostatnich tygodni była dzieckiem bawiącym w dorosłych, i teraz, kiedy dorośli wrócili, zabawa się skończyła.

Cały dzień przychodzili dorośli. Pan Fonseca i pan Seneratne wrócili, niosąc ze sobą poważnie wyglądające kartoteki i raporty. Tuż za nimi przyszedł okrągłutki,

niski mężczyzna z wydziału zdrowia i wojskowy lekarz, którego Kate poznała na balu. Bez Richarda i bez Sophie, kiedy jej mąż przebywał za zamkniętymi drzwiami gabinetu, Kate czuła się samotna i wykluczona. Zamknięte drzwi zaczęły reprezentować to wykluczenie.

Wkrótce po zachodzie słońca wyszedł ostatni gość, a William pojawił się na werandzie, by wypić z nią mrożony sok cytrynowy. Był blady i wymizerowany. Kate czuła w stosunku do niego mieszaninę litości, niepokoju i, co dziwne, gniewu, jakby ta jego bladość była częściowo jej winą, co z pewnością nie było prawdą.

- Zbyt ciężko pracujesz - powiedziała niemal ze złością. - To nie może być dla ciebie dobre, tak zaraz po wyjściu ze szpitala.

Odwrócił się i przyjrzał się jej bacznie.

- Obawiam się, że musisz pozwolić mnie samemu to osądzać - powiedział bardzo łagodnie, jednak z tą szczególną łatwością osadzania jej na miejscu. - Dziękuję ci jednak, Kate, za troskę. - A kiedy nie znalazła na to odpowiedzi, zapytał: - Czy dzisiaj czas bardzo ci się dłużył?

- Trochę. Napisałam do Megan i zasuszyłam kilka kwiatów, żeby jej posłać. 1... - przerwała. Nagle ogarnęło ją uczucie niewymownej straty, jakby doktor Warrender zmarł, a nie został jej w cudowny sposób zwrócony. - Napisałam jej, że pójde na grób rodziców.

- Oczywiście - ze znużeniem przetarł oczy - ale i tak musimy ci znaleźć jakieś sensowne zajęcie.

W czasie obiadu wysunął kilka propozycji. Zasugerował jej, by pomagała Edith Purvis przy nauczaniu Biblii, rysowała florę i faunę wyspy, po czym, patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- A może chciałabyś nadal jeździć konno z Richardem? Mówiono mi, że zaczął cię uczyć.

Nie powiedział, kto go o tym poinformował. Zaskoczona, zachowała się niezręcznie.

- Och, nie miałbyś nic przeciwko temu? - zapytała.

- Przeciwko? Dlaczego miałbym coś mieć przeciwko? Pod jego badawczym spojrzeniem spuściła wzrok.

- Nie wiem.

- Wobec tego ja z pewnością nie wiem tego tym bardziej. Bawiła się curry na talerzu.

- Czy nie mogłabym robić czegoś pożytecznego? Na przykład pomagać tobie?

- Ale przecież nie masz pojęcia o medycynie - uśmiechnął się. - Wątpię, żeby był to dobry pomysł. - Jego uśmiech znikł. Ponownie spojrzał na nią z zastanowieniem.

Jestem po prostu jeszcze jednym jego problemem, obowiązkiem, który musi wypełnić, niczym zarządzanie odległą przychodnią.

- Wiele czasu będę spędzał poza domem - ciągnął, potwierdzając jej myśli. - Chciałbym wiedzieć, że masz jakieś zainteresowania.

- Mam prowadzenie domu.

- Oczywiście. I prowadziłaś go dobrze.

- Richard powiedział mi, jak to robić - rzuciła bez zastanowienia.

William pokiwał głową.

- Byłaś tutaj szczęśliwa?

- Tak. Bardzo szczęśliwa. Milczał przez chwilę.

- A mówiąc o domu - pogrzebał widelcem w miseczce, nie podnosząc do ust ani kęsa - czy wygodnie ci w sypialni, którą sobie wybrałaś?

Bez słowa skinęła głową, wpatrzona w jego twarz. Ta jednak pozostała bez wyrazu.

- W takim razie - powiedziała spokojnie. - Proponuję więc, byśmy na razie przy tym pozostali. Jeśli kiedykolwiek...

Nie dokończył zdania i odsunął miskę. To wszystko wydawało się jej takie rzeczowe, że bardziej niż kiedykolwiek poczuła się gościem, i na dodatek nieproszonym gościem. Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć, jedynie rzuciła dziecinnie:

- Nie będę piła kawy - i minąwszy go, jak to rano zrobiła Sophie, uciekła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko.

Przynajmniej przez godzinę myślała, że mąż do niej przyjdzie. Przypudrowała twarz i wyszczotkowała włosy i czekała na jego pukanie do drzwi. Nie usłyszała jednak żadnego pukania, a kiedy zegar w hallu wybił jedenastą, odsunęła moskitierę i wsunęła się do łóżka.

Nie zasnęła jednak. Na zewnątrz ćwierkały świerszcze, rechotały żaby i bzyczały moskity. Od czasu do czasu z doliny dobiegał gwizd zmierzającego na północ pociągu i odgłosy nocnego ptactwa. Słyszała, jak zegar w hallu wybija godziny, a w głowie jej wirowało.

Wybiła trzecia, zanim szaleńcze wirowanie w głowie ustało i była w stanie uporządkować wydarzenia burzliwego dnia. Minęło jeszcze trochę czasu, zanim zastanowiła się nad tym, co prawdopodobnie wydarzy się w następnych dniach.

Jedno z ulubionych, pobożnych powiedzeń Megan, których miała wiele, brzmiało: „Więcej łez wylewa się z powodu wysłuchanych modlitw niż nie wysłuchanych.”

Niewielką różnicę powodował fakt, iż te łzy wywołały szok i poczucie winy. Kate chciała, żeby doktor Warrender żył, teraz jednak nie wiedziała, co robić. Było oczywiste, że ożenił się z nią, dokładnie z tych powodów, które jej wyjaśniono, to znaczy, bo był pewny, iż umrze. Fakt, że przeżył, zmienił wszystko całkowicie i katastrofalnie wywrócił ich świat do góry nogami. W końcu nigdy nie udawał, że ją kocha albo że chce z nią mieszkać, czy dzielić jakąkolwiek część swojego

życia. Kiedy był zdrowy, nie miał najmniejszego zamiaru z nią się zenić. Dokonał tego humanitarnego czynu w skrajnej sytuacji. Było stosunkowo łatwo umrzeć i zostawić obcej osobie swe ziemskie dobra. Było rzeczą znacznie bardziej skomplikowaną, faktycznie nie do pomyślenia, mieszkać i dzielić resztę życia z tą obcą osobą.

Oprócz tego ten wielkoduszny gest spowodował dwie komplikacje. Jedną była ujma, jaką sprowadziła na Williama swoim życiem towarzyskim. Drugą był bez wątpienia Richard.

Pojawił się w drugi rano po powrocie Williama, prowadząc małą szarą klacz. Kate była sama w domu. William wyjechał wizytować przychodnie i miało go nie być cały dzień. Przywitała Richarda ze skrywaną rozkoszą, poczuciem winy, i co dziwne, rozczarowaniem.

- Wszystko w porządku, kuzynko Kate. William powiedział mi, że mogę cię odwiedzać, że możemy jeździć konno, jeśli będziesz miała na to ochotę, i że uważa, iż jazda konna wyjdzie ci na zdrowie.

Pytając przechylił głowę na bok.

- Czy mam powiedzieć Appu, by zapakował prowiant, kiedy ty będziesz się przebierała? Moglibyśmy pojechać na północ. Pani Arbuthnot powiedziała mi, że w pobliżu wodospadów jest ładne miejsce na piknik.

Richard nic się nie zmienił - nadał był pogodny i swobodny. To ona się zmieniła, pomyślała Kate, kiedy później Richard pomagał jej wsiąść na konia. Ostatnie kilka dni wpłynęły na nią, postarzały ją, stała się smutniejsza, mądrzejsza. Nie zmieniły jednak Richarda.

- Naprawdę nie masz powodu się martwić, Kate, William pozwolił, bym przyjeżdżał tak często, jak będę miał ochotę. Co oznacza, Kate - uśmiechnął się do niej słodko - bardzo często.

- Kiedy się z nim widziałeś?

- Z Williamem? Wczoraj. Nie powiedział ci?

- Niewiele mi mówi. W rzeczy samej nawet niewiele go widuję.  
- Przyjechał, żeby zbadać jednego z moich więźniów. Nasz medyk nie był pewien, co mu dolega.

Kate skinęła głową.

- Czy ci powiedział, żebyś przyjeżdżał mnie odwiedzać?  
- Powiedział mi, że mam jego pozwolenie, co oznacza coś zupełnie innego, Kate.

Roześmiał się widząc jej ponurą minę.

- Sądzę, że powrót Williama przyprawił cię o szok  
- rzucił niespodzianie, kiedy już od kilku minut jechali w milczeniu.  
- Nawet dobra wiadomość może przyprawić o szok, jak mówi William. Ja też byłem zaszokowany. Zachwycony, ale zaszokowany. - Pochylił się i poklepał jej dłoń trzymającą wodze. - I prawdopodobnie okoliczności zaszokowały cię jeszcze bardziej.

- Podniósł jej dłoń do ust. - Przepraszam.

- Przepraszasz, Richardzie? Za co?

- Za postawienie cię w niezręcznej sytuacji.

- Nie zrobiłeś przecież tego.

- I za to, że omal nie zapomniałem, iż jestem dżentelmenem.

- Och - wzruszyła ramionami.

- Nie możesz temu zaprzeczyć.

Kate machnęła ręką, dając mu do zrozumienia, że to nieważne.

- Czy William cię przepytował?

- Nie. - Kate uśmiechnęła się blado. - Wcale nie. Nie zadał mi ani jednego pytania. Sądzę, że przyjął twoje słowo.

Richard zastanawiał się nad tym przez następne pół mili, gładząc wąs. Żadne z nich nie przerwało milczenia, aż dojechali do wodospadów. Kiedy na trawie obok Kate rozpakowywała kosz z prowiantem, odezwał się nagle:

- Nie rozumiem Williama! Gdyby to moja żona spędziła noc z młodym oficerem, nawet przypadkowo, kazałbym jej zdać relację z każdej minuty tej nocy. - Wyglądał na wściekłego, rozgniewanego i dziwnie młodego. Po czym z autentyczną, wzruszającą troską, opadł obok niej na jedno kolano. Sprawiał wrażenie żarliwego i rycerskiego.

- Powiedziałaś kiedyś, że mu na tobie nie zależy...?

Kate potrząsnęła głową, uśmiechając się, jakby to był żart.

- Czy był może zły na ciebie? Zazdrosny?

- William obwiniał Sophie - odparła szybko. - Był na nią bardzo zły.

- Całkiem słusznie. Powinien być bardzo zły! I na Hardwicke'a. To wszystko ich sprawka. - Wbił zęby w kanapkę, na którą skierował się jego gniew. Nie było żadnej wątpliwości, że nie potrafił sobie wytłumaczyć braku zainteresowania Kate, jaki wykazywał William.

Wytłumaczenie spoczywało za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Życie Williama było pełne bez niej. W ciągu następnych dwóch dni wróciło do dawnej rutyny. William przyjmował gości, leczył pacjentów, wizytowi szpital i przychodnie. W istocie tak często odwiedzał szpital, że Kate zaczęła wierzyć w to, co jej powiedziała na statku Edith Purvis, a mianowicie, że William i siostra MacGregor zamierzali się pobrać. Ta myśl sprawiła, że poczuła się jeszcze bardziej opuszczona. Wpadła nawet na pomysł, że być może William zbliża ją i Richarda, by się jej pozbyć. Jednak ten pomysł był tak niegodny, że poczuła wyrzuty sumienia, że nawet na niego wpadła.

Ziarno jednak zostało zasiane. Dwa dni później, kiedy Richard przywiódł do Braemar szarą klacz, wykręciła się od jazdy, mówiąc mu, że nadwerężyła kręgosłup.



Fakt, że jej mąż aprobująco zapatruje się na jej konną jazdę z Richardem, został potwierdzony dwa dni później, kiedy to William poprosił z pozorną troską, by pozwoliła mu zbadać sobie kręgosłup.

- Już mi znacznie lepiej, dziękuję, Williamie - odparła, odmawiając.  
- A ty masz i tak dosyć pacjentów, byś się jeszcze mną zajmował.

Nie nalegał. Ponownie wycofał się za zamknięte drzwi gabinetu. Pod koniec tygodnia zaczęły one symbolizować wszystko to, co było niewłaściwe między nimi. Kate na swój naiwny sposób bardzo się starała. Martwiła się, że teraz wygląda na bardziej zmęczonego i zdenerwowanego, niż wówczas, kiedy wyszedł ze szpitala. W połowie tego tygodnia zapytała go, czy ma kazać Appu, żeby przygotował dla niego specjalne jedzenie, on jednak odparł z irytacją:

- Appu lepiej niż ktokolwiek inny zna moje wymagania. Nawet te drzwi zostały zamknięte. Już nie była panią

tego domu. Niewiele osób odwiedzało ich w celach towarzyskich, tak więc i w tej materii nie była mu pożyteczna. Ich jedynym wspólnym wyjściem było, na jej prośbę, pójście na grób jej rodziców. Pojechali dwanaście mil na północ w góry, w ciszę zakłócaną jedynie przez ostre, gardłowe skrzeczenie kruków i stukot końskich kopyt.

Cmentarz znajdował się blisko przychodni jej ojca, teraz prowadzonej przez pana Seneratne, w oczekiwaniu na mającego wkrótce przybyć z Anglii lekarza. W samym domu zamknięto wszystkie okiennice. Władaty nim kruki. Jednakże mały ogródek był zadbany, nie dano do niego dostępu dzungli. Kate położyła wiązanekę-z ogrodowych lili pod drewnianymi krzyżami, po czym rzuciła się w ramiona Warrendera.

Pozwolił jej na to tylko przez krótką chwilę.

- Po pewnym czasie będziesz... - zaczął w drodze powrotnej, ona jednak zasłoniła uszy pięściami i odmówiła

wysłuchania jego słów pocieszenia. Jeszcze bardziej oddalili się od siebie.

Tydzień po powrocie Williama, z rozpaczy i samotności Kate poszła do Browna pod pretekstem, że potrzebuje jedwabiu do swoich haftów. Dom towarowy właśnie co miał zostać zamknięty na popołudniową przerwę. Kiedy weszła do środka, syngalescy sprzedawcy ze złością podnieśli wzrok znad lad. Patrząc prosto przed siebie Kate minęła ich, minęła stoisko z maszynami rolniczymi, linami, towarami żelaznymi, workami z mąką i ryżem, farbami i siodłami, i poszła na pierwsze piętro z damską odzieżą.

Sophie prawie całkowicie zawładnęła tym działem. Woskowe manekiny w białych tenisowych strojach ubrane były w szerokoskrzydłe słomkowe kapelusze. Kolekcja popołudniowych i wieczorowych sukien została żywo wyeksponowana. Ogromny wentylator ożywiał szeregi spódnic i bluzek. Wszędzie słodko pachniało mydłem i perfumami i tym trudnym do zdefiniowania zapachem nowej bawełny i jedwabiu.

Sophie właśnie co obsłużyła jakąś klientkę, żonę oficera, i odkładała pieniądze do małego drewnianego pojemnika.

- Cześć, moja droga - powiedział widząc Kate. - Co mogę dla pani zrobić?

Uśmiechnęła się, mówiąc to, jednak Kate wyczuła w tym uśmiechu odrobinę przygany.

- Trochę jedwabiu do moich haftów.

- Jakie kolory ma pani na myśli?

Wokół nich odgłos zamykania stał się głośniejszy.

- Jak ci jest w hotelu, Sophie?

- Bardzo wygodnie.

Ton jej głosu był dość przyjazny, widać jednak było, że nie całkiem zapomniała okoliczności swego wyjazdu z Braemar. Kiedy drobna transakcja zakupu jedwabnych nici do haftu została dokonana, Kate podniosła torebkę.

- Widujesz się z George'em?
- Och, bardzo często. Wpada mnie odwiedzić raz za razem. I taki jest szczodry. - Przerwała na chwilę. - A jak cię traktuje ten twój zasadniczy mąż?
- William traktuje mnie bardzo dobrze.
- Nie wyglądasz na taką - parsknęła Sophie.
- To dlatego, że czuję się samotna. Przyjedź mnie odwiedzić.
- Oczywiście że przyjadę cię odwiedzić, kochanie, ale kiedy go nie będzie, jeśli można. Żaden mężczyzna dwa razy nie będzie mi pokazywał drzwi!

Jakiś klient zwrócił na siebie uwagę Sophie, tak więc Kate musiała na tym poprzestać i z powrotem pójść pieszo do bungalowu. Kiedy znalazła się w środku, po ulicznym zgiełku wszystko wydało się spokojne i wyciszone. Drzwi gabinetu pozostały zamknięte, a Samuel podał jej obiad przesadnie cicho stąpając na palcach. Pan doktor, powiedział jej ochryłym szeptem, pracuje i nie wolno mu przeszkadzać. Nawet Samuel już jej nie potrzebował. Zaczął być wierny Williamowi, podążając za nim jak pies. Może, przyszło na myśl Kate, uważał, że jego pogański taniec mimo wszystko uratował Williamowi życie.

Zjadła obiad, po czym poszła do swojej sypialni, żeby się położyć. Nie mogła jednak zasnąć. Przez dwie godziny leżała z otwartymi oczami. Nagle poczuła, że tego za wiele. Nie mogła znieść perspektywy następnego wieczoru, kiedy siedzi samotnie i obserwuje świetliki. Wstała, przeszła przez hall i po bardzo pobieżnym zastukaniu do drzwi gabinetu, otworzyła je gwałtownie.

William siedział za biurkiem coś pisząc. Powoli odł<sup>1</sup>żył pióro, jakby chciał podkreślić fakt, że mu przerwano.

- Kate! Czy coś się stało? Jesteś chora? - Stopniowo, gdy obserwował wyraz jej twarzy, z jego własnej zniknął wyraz rozdrażnienia. Wstał, wyszedł zza biurka i objął ją. - O co chodzi, Kate?

Słyszając ton jego głosu, Kate rozplakała się, wtulając twarz w jego pierś i płakała tak, jak nie płakała od czasu, kiedy powiedział jej na pokładzie „Księżniczki Orientu”, że jej ojciec nie żyje. I tak jak wówczas, tak i teraz objęła go ramionami. Pragnęła, by on przytulił ją tak mocno, jak pamiętała, że ojciec ją tulił, kiedy była dzieckiem. Teraz aż do bólu tęskniła, fizycznie i żarliwie, za dotykiem ramion swojego męża. Zamiast tego William wyswobodził się delikatnie z jej uścisku i poprowadził do wyściełanej kanapy pod oknem. Pociągnął ją za rękę, by usiadła obok niego i wręczył jej chusteczkę dla otarcia łez.

- No, teraz powiedz mi, Kate, z jakiego powodu były te wszystkie łzy? Dlaczego byłaś taka zrozpaczona?

Ponieważ chcę, żebyś mnie kochał. Prawda, wstydliva i zawstydzająca, zadrzała jej na ustach. Chcę być dla ciebie prawdziwą żoną. Wypowiedziała już słowo „chcę”, kiedy udało się jej opanować.

- Ponieważ chcę, żebyś był miły dla Sophie - powiedziała zamiast tego.

- Dla Sophie? - zapytał, odsuwając ją trochę od siebie, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Tak, Sophie. Chcę, żebyśmy byli dla niej przyjaciółmi. Ona myśli, że nadal jesteś na nią zły. Jestem pewna, że nie przyjdzie, jeśli nie uczynisz w stosunku do niej jakiegoś gestu. A ja za nią tęsknię. Jest moją jedyną przyjaciółką.

Znowu zaczęła płakać, tym razem nad własnymi kłamstwami.

- No, już, już - powiedział doktor Warrender, wstając z pewną niecierpliwością. - Robisz burzę w szklance wody. Ty i Sophie! - Wsunął ręce do kieszeni i ze zmarszczonymi brwiami patrzył przez okno. Kate przyglądała się jego twarzy, kiedy spoglądał na górę. Chociaż był przynajmniej o dwanaście lat starszy od

Richarda, na jego twarzy malował się teraz taki sam wyraz chłopięcego rozdrażnienia.

Czując na sobie jej wzrok, spojrzał na nią.

- Ten widok mnie uspokaja, Kate.

- Kiedy ludzie cię drażnią, Williamie?

- Tak.

Podniosła się i stanęła obok niego, podążając za jego wzrokiem w stronę szczytu. Wielki cień góry zaczynał już ciemnieć, gdy słońce zachodziło. Ci jej stóp dolinę wypełniała złocista mgiełka, która sprawiała wrażenie, że góra unosi się nad powierzchnią ziemi. Przywodziło to na myśl nieziemską i przytłaczającą siłę.

- Ponieważ pomniejsza ludzi, Williamie? - zapytała. - Czy dlatego cię uspokaja?

- Nie. Nie o to chodzi. Nie sędzę, by pomniejszała ludzi. Sędzę, że ich podnosi. Uszlachetnia. Coś w sobie ma, chociaż nie wiem, co. Wejście na szczyt ma symbolizować braterstwo ludzi. Jest to miejsce pojednania. - Uśmiechnął się, jakby sam trochę kpił z własnej powagi.

- A teraz ty chcesz, żebym pogodził się z Sophie.

Kiedy w najbliższą sobotę zaprosili Sophie na wycieczkę na Górę Adama, wydawało się to całkiem naturalnym pomysłem.

## Rozdział XVI

Sophie przyjęła zaproszenie z zaskakującym entuzjazmem. Sobota bardzo jej odpowiadała. Tak się składało, że w ten wieczór George Hardwic-ke miał spotkanie komitetu w Klubie Plantatorów, tak więc Sophie była wolna. Jak mówiono, Góra Adama jest miejscem, które każdy musi odwiedzić. Od klientów i personelu u Browna słyszała przeróżne ekscytujące opowieści. W połowę, oczywiście, nie wierzyła, ale niektóre naprawdę dawały do myślenia. A Smokey Joe powiedział jej kilka razy, że góra, jeśli poprosi się ją we właściwy sposób, wyrzuci na człowieku swoją moc.

Sophie paplała wesoło w czasie całej pięciomilowej drogi do doliny u stóp góry, aż, wyczuwając niemą dezaprobatę Williama, mrugnęła okiem i zmieniła temat, pytając go pojednawczym tonem, czy zobaczą chmary motyli, które co roku przylatują, żeby umrzeć na górze.

- Nie o tej porze roku - potrząsnął głową. - Motyle umierają, tuż przed początkiem pory monsunowej. A w tym roku monsuny się opóźniają.

Sophie cmoknęła i uczyniła jakąś kwaśną uwagę na temat tego, że taka właśnie jest historia jej życia, nigdy nie znajdowała się we właściwym miejscu o właściwym czasie, przynajmniej do tej pory. Rozpogodziła

się jednak na myśl, jak jej życie zaczęło się zmieniać, i zanim dojechali na miejsce zbiórki pielgrzymów, była już w doskonałym nastroju.

Zapadła ciemność, zapalono już jednak ogniska, które niczym latarnie oświetlały im drogę. Zebrały się setki pielgrzymów. Zapalono pochodnie. Powietrze wypełniał zapach płonących szczap drewna, kamfory z lampek, ofiarnych kwiatów, a także gnoju wołów i ludzkiego potu. Nad wszystkim jednak, potężniejszy niż cokolwiek innego, unosił się zapach podniecenia, oczekiwania i prawie niemożliwej do zniesienia nadziei.

- Do licha, to rzeczywiście przyprawia mnie o dreszcze, kochanie - szepnęła Sophie do Kate, kiedy przyglądały się pielgrzymom, którzy trzymali lampki niczym świece, po czym przystawiali jedną do drugiej, a następnie podążali za setkami innych, którzy wyruszyli wcześniej, aż połączone światło ich ogni wypaliło dziurę w ciemności i spowiło chmurą dymu kamienistą ścieżkę prowadzącą na szczyt Góry Adama.

Teraz, prowadzeni przez mnichów w szafranowych szatach, zaczęli śpiewać buddyści. „Saadhu... saadhu... Saman dewindu...” Ich głosem wtórowali hinduiści, wykrzykujący: „Haro...hara”, kiedy za Syngalezami podążała grupa Tamilów.

William pokazał im guru, który wyśpiewywał z księgi święte teksty. Szedł na czele innej jeszcze grupy buddystów, którzy nieśli na noszach starych pielgrzymów. Światło ich lampek odbijało się w złotym krzyżu, trzymanym wysoko przez mnichów w brązowych habitach, którzy szli za nimi. Kiedy nosze zachybotwały się nie: pewnie na niebezpiecznej ścieżce, mnisi pochylili się do przodu, by je podtrzymać. Ten drobny gest w jakiś sposób oddawał nastrój nadziei, pojednania i wzajemnej życzliwości. Przypominało to dzień Bożego Narodzenia w kaplicy w Leeds. Kate ujęła Sophie pod ramię.

Rozejrzała się za Williamem, on jednak poszedł po ich pochodnie.

- Nie spodziewasz się chyba, Williamie, że wejdziemy na sam szczyt, prawda? - zapytała go Sophie, kiedy wrócił. - Pamiętaj, że od rana jestem na nogach.

- Pójdziemy tylko tak daleko, jak będziecie chciały. - Wręczył jej jedną pochodnię, a drugą podał Kate. - Pamiętajcie, żeby trzymać się środka ścieżki. W wysokiej trawie są kleszcze - i węże.

- Czy to prawda, że codziennie kilka osób umiera na górze? - zapytała Sophie przejętym grozą głosem.

- Tak sądzę. Jednak wiele z nich jest już umierających, kiedy wyruszają.

- Biedacy, mają pewnie nadzieję na cudowne uleczenie w ostatniej chwili, co?

William potrząsnął głową.

- Większość z nich ma nadzieję umrzeć na górze, i na to, że ich ostatnia myśl będzie tak czysta, że odrodzą się w lepszym wcieleniu.

- To chyba niezły pomysł, jeśli wierzy się w takie bzdury.

- Uważajcie - ostrzegł je William. - Całkiem sporo osób spada ze skał. Tak więc bądźcie ostrożne i trzymajcie się ścieżki.

Wzdragając się delikatnie, Sophie ruszyła zakurzonym traktem, idąc tuż za szeregiem ubranych na biało i obutych w sandały postaci. Prawie natychmiast pojawił się tamilski przewodnik i kiedy poznał, że są Brytyjczykami, przyłączył się do nich, mówiąc bez przerwy w prawie niezrozumiałej angielszczyźnie.

Ścieżkę ograniczała ściana gęsto splecionych skórzastych liści. Ogromne różowe i białe kwiaty wyłaniały się niespodziewanymi kaskadami w tańczącym świetle pochodni. Od czasu do czasu w gęstwinie można było dostrzec dwoje płonących czerwonych oczu, na których



widok Sophie wrzeszczała z przerażenia, ale wówczas William uspokajał ją, że są to jedynie kozodoje, które jeszcze bardziej się boją niż ona.

Pomimo swych obaw i zmęczonych nóg Sophie dzielnie szła do przodu, aż doszli do małej wioski z chatami pokrytymi palmowymi liśćmi.

- Ta wioska nazywa się Ouda Pawanells - powiedział im tamilski przewodnik. - A teraz popatrzcie tam. - Wskazał na gładką kamienną ścianę, która wznosiła się nad wioską sprawiając, że sama wioska, ścieżka i pielgrzymi wyglądali jak karły. Kiedy pielgrzymi przesuwali się pod czarną skałą, ich pochodnie, lampki i latarnie tworzyły na jej powierzchni dziwny wzór ze światła i cienia. Ich głosy zmieniały się, kiedy ją mijali.

- To święta skała - powiedział przewodnik - nazywa się Nikihala. Na cześć pewnej damy.

- Och, wiem o tym wszystko - odparła Sophie ocierając czoło. - Powiedział mi o tym Smokey Joe. Z jakiegoś powodu Nikihala rzuciła się ze skały. Powiedział, żebym wykrzyknęła swoje imię. To właśnie teraz wszyscy robią. Wykrzykujesz swoje imię, a jeśli ona ci odpowie, co nie zawsze robi, wówczas czeka cię rok życia i szczęścia. Pewnie dopóki nie przyjdiesz następny raz. - Roześmiała się. - Sprytne diabły, pewnie w ten sposób zmuszają człowieka do powrotu.

Przez chwilę stali nadśłuchując okrzyków i echa, po czym ponownie ruszyli do przodu. W połowie ścieżki pod skałą Sophie zatrzymała się ponownie.

- Najpierw krzyknę własne imię - powiedziała, a następnie George'a. - Nie rób takiej miny, Williamie, to tylko żarty. - Wzięła głęboki oddech, przez chwilę go wstrzymywała, po czym wykrzyknęła z całej siły własne imię. Skała pozostała niewzruszenie niema. Następnie bardziej ochryple krzyknęła: - George! - Jednak i to

imię nie miało szczęścia. Echo, jeśli się rozległo, utonęło w chórze głosów, gdy od tyłu natarli na nich inni pielgrzymi. Skalna ściana wibrowała mnogością innych imion i głosów.

- No, dobrze, Nikki, czy jak się tam nazywasz! Tak czy owak to stek bzdur!

- Nie ma w tym nic mistycznego. To właściwy timbr głosu wywołuje echo - powiedział William. - W angielskim jest za dużo syczących i miękkich dźwięków.

Sophie dała się trochę ugłaskać, chociaż nadal była zła. Kiedy zobaczyła, że będą się musieli wspiać na szczyt po stalowych szczelblach wbitych w skalę, oświadczyła stanowczo, że ma dosyć. Tak czy owak bolały ją nogi.

Odzyskała jednak dobry humor, zanim wrócili do powozu, tak więc dokonał się akt pogodzenia.

Stosunek Williama do Kate również wyraźnie złagodniał. Była to jednak łagodność miłego, bardzo zmęczonego człowieka w stosunku do ciężaru, który przyzwyczajał się dźwigać. Zachowanie Kate wahało się pomiędzy nieudolnymi, usilnymi próbami zadowolenia go, a ponurością, zrodzoną z usiłowania zebrania odwagi, żeby zapytać go, czy chce się jej pozbyć. W końcu otrzymała odpowiedź na to pytanie, chociaż wcale nie musiała go wypowiedzieć na głos.

Doszła do wniosku, że droga do serca Williama wiedzie przez jego pracę. Tak więc niedługo po ich wyprawie na Górę Adama, próbując się doksztalić, Kate zaczęła czytać medyczne książki swojego męża. Chociaż zazwyczaj szybko przyswajała sobie wiedzę, nie miała pojęcia o podstawach biologii i niewiele rozumiała z tego, co czytała. Zapytała Williama, czy może mu pomagać w przychodni, a on dość niechętnie przystał na jej obecność, kiedy badał niektóre swoje pacjentki.

Czasami pozwalał jej przytrzymywać im rękę, kiedy robił zastrzyk. Zaczął pokazywać jej, jak się bandażuje i pozwalał jej odliczać pigułki.

W swoim zapale uczenia się zadawała niezliczone pytania. Początkowo zbywał je, traktując jako irytujące rozpraszenie jego uwagi, stopniowo jednak zaczął traktować je poważnie. Powiedział jej, co się znajduje w niektórych butelkach w apteczce, gdzie wiele lekarstw bazowało na dawnych tubylczych medykamentach. Wyjaśnił jej, jak miejscowi lekarze leczą ukąszenia węży, nasączając ciało ofiary limonami. Pacjentowi nie wolno było jeść nic oprócz limonów, w całości, ze skórką, podczas gdy wlewano mu sok do oczu, uszu i nosa, aż stawał się jasnożółty.

Na początku trzeciego tygodnia pobytu w domu William pokazał Kate, jak mierzyć pacjentowi puls i jak używać stetoskopu. A w środę pozwolił jej, nadzorując to oczywiście, posłuchać bicia serca płodu w brzuchu dziewczyny przyprowadzonej z jednej z wiosek w dżungli.

Wycierając ręce po skończonym badaniu, powiedział kwaśno do Kate:

- Czasami w niewielkim stopniu korzystają ze zdobyczy nauki, lecz kiedy dziecko się urodzi, tę młodą matkę wyrzucają poza obręb wioski. Jej mąż nie będzie jej przynosił nic oprócz owoców guawy i mięsa iguany. - Uśmiechnął się. - Nieźle im to służy. - Jego uśmiech pogłębił się. - Pewnego dnia nauka odkryje, że w mięsie iguany i owocach guawy jest coś leczącego macicę, i być może będą one podawane w pigułkach kobietom Zachodu.

Przez moment jego uśmiech był prawie czuły. Była to jednak czułość dorosłego w stosunku do dziecka. Taki też był ton jego głosu. Taki też był jego stosunek do Kate. Nie był to stosunek męża do żony, która sama może nosić dziecko, jego dziecko. Chwilę wcześniej Kate

była w absurdalny sposób wdzięczna, że wprowadza ją w niektóre pomniejsze tajemnice swojej pracy. Miała uczucie, jakby się do niego trochę zbliżyła. Teraz jej nastrój zmienił się gwałtownie w nieuzasadniony niczym gniew. Szorstkim głosem powiedziała głośno:

- Ja też chciałabym mieć kiedyś dzieci.

Przez chwilę spoglądał na nią z zamyśleniem, po czym powiedział dosyć przyjemnym tonem:

- Bez wątpienia. I bez wątpienia będziesz je mieć. Kiedyś.

- Kiedyś! - krzyknęła. - Chciałabym mieć dziecko niedługo! - Ton jej głosu stał się rozdrażniony.

Zmarszczył brwi.

- Ale przecież sama jesteś niemal dzieckiem.

- Jestem starsza niż dziewczyna, którą dopiero co badałeś.

Znowu popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Pod pewnymi względami tak - powiedział spokojnie - a pod pewnymi nie.

Zacisnęła pięści i gorączkowo szukała w myślach jakieś kąśliwej uwagi. Zanim jednak zdołała coś wymyślić, rzucił jej zdawkowe dobranoc, przeszedł przez hall do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Nie poruszano więcej sprawy rodzenia dzieci. Jednak cztery dni później zabrał ją w trwającą cały dzień podróż do najbardziej odległej ze swych przychodni. Mieściła się w maleńkiej glinianej chatce, znajdującej się w samym środku wioski z krytymi palmowymi liśćmi chatami, bez wątpienia podobnymi do tej, w jakiej mieszkała ciężarna dziewczyna. W bielonym frontowym pomieszczeniu pan Fonseca wydawał lekarstwa. Fakt, że tego dnia można było zasięgnąć porady u samego brytyjskiego doktora sprawił, iż uformowała się kolejka ciągnąca się wzdłuż drogi ze spieczonej gliny aż do przejazdu kolejowego. Przychodzili pacjenci z odleglejszych wiosek,

niektórzy niosąc ze sobą materace i naczynia do gotowania, niektórzy jedynie z palmowymi matami do spania, a większość z nich żuta liście betelu, cierpliwie czekając w niemiłosiernie palącym słońcu.

- Byłaś mi bardzo pomocna, Kate - powiedział jej w drodze do domu. - Przyznał to nawet Fonseca. A on na swój sposób jest perfekcjonistą.

- Ty także - odparła, zadowolona z siebie, gdyż ani nie zemdląła, ani nie odwróciła wzroku podczas długiej i trudnej operacji. Teraz trochę go kokietowała.

Zmarszczył brwi.

- Być może. - Po czym dodał z uśmiechem: - Powiedział, że masz zręczne palce. - Puścił jedną rękę trzymającą lejce i podniósł jej dłoń. Spojrzał na nią, jakby przedstawiała dla niego naukowy eksponat, nic więcej. Nie uniósł jej do ust, jakby uczynił to Richard. - Twój ojciec bytyby z ciebie bardzo dumny, Kate - ciągnął, puszczejąc jej dłoń i ponownie ujmując lejce, stanowczo ustawijając ich wzajemne stosunki na poziomie ojciec i córka. Kate potarła dłoń, jakby chciała ją rozgrzać, podczas gdy całą jej istotę mroziło poczucie niezadowolenia i odrzucenia. Wbiła wzrok w kołyszące się korony palm, odbijające się czarno na tle teraz już rozjaśnionego gwiazdami nieba, kiedy powóz toczył się z powrotem w stronę Rangawelli. Nad ich głowami nisko przeleciało stado nietoperzy. Znowu pomyślała o Richardzie, o wspólnie spędzonej na wyspie nocy. Pominąwszy Sophie był jedyną osobą, która okazała jej prawdziwe uczucie, która sprawiła, że poczuła się kobietą - i to upragnioną. Westchnęła. »

Jakby czytał jej w myślach, William odwrócił się do niej i powiedział:

- Lubisz Richarda, prawda, Kate?

- Tak - skinęła głową - bardzo - i popatrzyła na niego, by dojrzeć jego minę.

W cieniastym mroku jego twarz była nieodgadniona, miała jednak odczucie, że jej odpowiedź nie była mu nieprzyjemna.

Po wieczornym posiłku, kiedy razem pili kawę na werandzie, William znowu zaczął mówić o Richardzie.

- Powinnaś częściej z nim jeździć konno, Kate. Ma Cejlonie każdy powinien dobrze umieć jeździć konno. - Wypił łyk kawy. - Do niektórych miejsc, w których ordynuję, można dojechać tylko konno.

- Czy zabierzesz mnie ze sobą, kiedy będę już bardzo dobrze jeździła konno?

- Być może. - Westchnął, jakby poznał, że zachowuje się perwersyjnie, jakby chciała odkryć w nim coś, co nie chciał, by zostało odkryte, czegoś co czuł do niej, a może czegoś, czego do niej nie czuł i nie chciał, by to zostało odkryte. Albo, co bardziej prawdopodobne, czegoś, co czuł do innej osoby, a co do czego nie była dostatecznie dojrzała i dorosła, by o tym wiedzieć.

- Zabierzesz mnie jutro do szpitala? - zapytała Kate. Wiedziała oczywiście, że tu kryje się tajemnica. Było to jedyne miejsce, do którego nie chciał jej zabrać.

Zmarszczył czoło, a jego czarne brwi utworzyły nad nosem linię prostą.

- Jutro będziemy bardzo zajęci. Siostra MacGregor powiedziała mi, że mamy całkowicie wypełniony dzień.

Nalegała z dziecinnym uporem.

- Chciałabym pojechać, Williamie. Mie mam nic innego do roboty. Ciekawi mnie to.

Westchnął.

- Dobrze.

- Mie daj się zniechęcić siostrze MacGregor - powiedział Kate w drodze do powozu następnego ranka. - Ma złote serce, ale źle znosi głupców.

- Mie jestem głupcem - powiedziała z godnością.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie to miałem na myśli. Nie masz jednak doświadczenia. A w oczach Mary to wychodzi na jedno.

Stalowszarsze oczy Mary zabłyśły metalicznie, kiedy William wprowadził Kate do szpitalnego biura.

- Szpital nie jest właściwie miejscem pokazów, pani Warrender - powiedziała - proszę jednak obejrzeć go sobie w całości - trzy kryte falistą blachą budynki i dwie drewniane chaty. W odległym blaszanym baraku znajduje się sala operacyjna. Pani mąż skłonił Klub Plantatorów, by ją zafundował. To niezłe osiągnięcie. No coż, doktorze, przed nami pracowity poranek. Poczekalnia już jest pełna. Sześć operowalnych przypadków. Poproszę siostrę Aloyse, by pokazała pańskiej żonie wszystko, co chce zobaczyć.

Zadzwoiła dzwonkiem. Pojawiła się szczupła dziewczyna na wpół Europejka, na wpół Azjatka, w uniformie pielęgniarki.

- Siostro, to jest pani Warrender. Chciałabym, żeby pani przerwała cokolwiek pani teraz robi i ją oprowadziła. Zanim zaczniemy operację, na doktora czeka kilkoro pacjentów. - Rzucając szybki uśmiech pozbyła się zarówno Kate jak i siostry, wołając do nich: - Proszę przyprowadzić tutaj z powrotem panią Warrender, siostro, i proszę przypilnować, by dostała kawę, kiedy będzie na nas czekać. Potem może pani wrócić do swoich obowiązków.

Kate natychmiast odczuła, że nie powinna była tu przyjeżdżać. Nie będąc niegrzeczna siostra MacGregor nie mogła bardziej dać jej odczuć, że nie jest mile widziana. Kate przeszła za odzianą w biały mundurek dziewczyną krótkim korytarzem łączącym blaszane chaty, minęła małą poczekalnię na wpół wypełnioną ludźmi - młodymi matkami z niemowlętami, dziećmi o chorych oczach i zdeformowanych członkach, starymi ludźmi

zującymi liście betelu - zagładnęła do sali, do ambulatorium, apteki, do sali operacyjnej z wyflizowaną podłogą, po czym błyskawicznie, niemal bez słowa zaprowadzono ją do biura siostry MacGregor.

Nikogo w nim nie było. William i siostra MacGregor wyruszyli na obchód. Pielęgniarka nabożnie nacisnęła brzęczek i pojawił się tamilski kulis w ścieżnobiałym dhoti. Pielęgniarka zamówiła kawę dla pani Warrender, uśmiechnęła się i zniknęła. Podano jej kawę. Kate piła ją powoli. Wzrokiem szukała czegoś interesującego na biurku siostry MacGregor. Znajdowało się na nim zdjęcie jej i doktora Warrendera - z prawdopodobnie personelem - przed szpitalem. Siostra trzymała na nim pod rękę Williama. On patrzył na nią z czułym uśmiechem.

Minęła godzina, potem następna. Od czasu do czasu dobiegały ją odległe głosy - siostry MacGregor, Williama, płaczącego dziecka, jakieś jęki. W korytarzach rozlegał się odgłos kółek toczących się wózków.

Siedząc w ciszy biura Kate poczuła się tak, jakby dawano jej nauczkę. Nie udzielał jej ktoś świadomie, a jedynie okoliczności. Może bogowie. Wstąpiła na obce terytorium. Siłą wtargnęła tam, gdzie jej nie chciano. Gsiłowała zbliżyć się do Williama, on jej jednak nie chciał, a może i ona tak naprawdę go nie chciała, dlatego też została odrzucona.

Kiedy to myślała, otworzyły się drzwi. Weszła uśmiechnięta siostra MacGregor.

- Biedne dziecko - powiedziała z autentycznym współczuciem. - Nie powinniśmy kazać pani tak długo czekać. To bardzo bezmyślne z naszej strony. Dziś rano mamy jednak kilka skomplikowanych przypadków, zbyt trudnych, żeby to wyjaśniać. Pani mąż jak zwykle czyni cuda. Mówi, żeby pani zabrała powóz i pojechała, dziewczyno. Jeśli pani zostanie, będzie pani tylko przeszkadzać. Ja dopilnuję, żeby dotarł do domu.



Była to jasna odpowiedź na jej nie zadane pytanie. Tak, rzeczywiście chciał się jej pozbyć.

W górę wzgórza po przeciwnej stronie doliny samotna postać jechała powozem. Usilnie próbując ją rozpoznać w gęstniejącym mroku Edith Purvis przykręciła pokrętła regulujące w lornetce odległość. Jaśniejszy teraz i wyraźniejszy powóz skręcił z drogi w stronę Braemar i zatrzymał się.

Kate Warrender - sama. Gdzie, zastanawiała się Edith, jest jej mąż?

Ze swojej werandy Edith pilnie śledziła rozwój wydarzeń ostatnich kilku tygodni. Ani raz nie widziała, żeby ta Simpson zbliżyła się do Braemar. Widocznie doktor robił co mógł, by ta przyjaźń ochłodziła. Major Carlton składał częste wizyty, ale w końcu był krewnym Warrenderów. Ani raz nie pojawił się George Hardwicke.

Siedziała tak delectując się wieczornym chłodem, pisząc następny list do kaplicy w Anglii, która zorganizowała wentę dobroczynną i posłała sto funtów na rzecz misji.

„Nie potrafię wyrazić naszej wdzięczności, napisała. Jesteśmy tutaj szczęśliwi pracując dla Pana. I jak wam napisałam w ostatnim liście, nasze zwycięstwo pod Ladysmith miało niezwykle stabilizujący skutek. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie chrzciliśmy małą Wiktorię, kiedy przyniósł nam tę wiadomość major z 5. Pułku Dragonów. Wielebny Purvis zrobił zdjęcia z chrztu, które właśnie teraz odbiera z domu towarowego Browna, gdzie dał je do wywołania.”

Skierowała teraz swoją uwagę na tłum przemierzający się po oświetlonej głównej ulicy za stacją kolejową, w którym udało się jej dojrzeć męża, gdy wchodził do sklepu. Następnie odłożyła lornetkę i ponownie przy świetle lampy zaczęła pisać list.

Piętnaście minut później właśnie go skończyła i przekazywała im swoje uściski, podpisując się pod nimi, kiedy nagle usłyszała na ścieżce odgłos kroków.

- Kto to? - krzyknęła ostro.

Nigdy nie można było mieć całkowitej pewności. Moskity, białe mrówki, chrabąszcze, pająki, jaszczurki i karaluchy zostały wypędzone dzięki szaleńczemu sprzątanu chłopców. Nie pojawiały się już kobry. Mogli się jednak włamać złodzieje, mogli nagle napaść ich mordercy. Liczba morderstw wśród łatwo wybuchających gniewem mieszkańców Cejlonu była najwyższa na świecie.

Podniosła się ze swego miejsca i zajrzała do sypialni, by sprawdzić, czy Wiktoria nadal śpi, po czym wbiła wzrok w ciemność.

- To tylko ja, Edith. Znasz już chyba odgłos moich kroków?

Wyłaniając się z ciemności wielebny Purvis zdjął kapelusz i wcisnął jej w rękę pakiet fotografii.

- Ceny za wywołanie poszły w górę. Policzyli mi dziesięć rupii! A Wijaya, ten syngaleski pracownik w dziale fotograficznym, był niezwykle nieuprzejmy. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Wiem, że jest buddystą, ale nie musiał przecież patrzeć na mnie z wściekłością i podsunąć mi fotografie kijem, jakbym był pariasem.

- Jak wyszły zdjęcia?

- Jeszcze ich nie oglądałem. Edith z ciekawością wzięła pakiet.

- Mam nadzieję, że udało się to zdjęcie Wiktorii w czasie chrztu. Ono jest najważniejsze. - W świetle lampy zaczęła przerzucać fotografie. - Obiecałam... - Nagle wydała z siebie krzyk. - Arnoldzie... spójrz! Spójrz, co się znajdowało obok fotografii Wiktorii! Zdjęcie tej Simpson. Skąd się ono tu wzięło? I spójrz na nią. Spójrz na nią, Arnoldzie... Ta ladacznica, cała w uśmiechach, siedzi na kolanach Buddy!

## Rozdział XVII

Nigdy nie zgadniesz, kto mnie dzisiaj odwiedził! -powiedziała Sophie, kiedy siedziały pod markizą w ogrodzie Braemaru następnego dnia. Były to jej pierwsze odwiedziny od czasu pogodzenia się i Kate była zachwycona, że ją widzi. Dostrzegła jednak, jak tylko Sophie się pojawiła, że coś ją dręczy i że czeka, by jej o tym powiedzieć tylko na to, aż Appu i Samuel skończą podawać ciasteczka i herbatę.

- Nie mam pojęcia. Powiedz mi - uśmiechnęła się Kate. Kiedy skinęła ręką, Appu i Samuel podreptali z powrotem do domu. - Kto cię odwiedził?

Sophie pociągnęła łyk z filiżanki, po czym wybuchnęła gromkim śmiechem:

- Wielebny Purvis.

- Naprawdę? - Kate bardzo się zdziwiła.

- Wiedziałam, że cię to zaskoczy. Mnie też zaskoczyło. - Sophie roześmiała się ponownie, jednak jej oczy błyszczały gniewnie. - I mogę się założyć, że nie zgadniesz, dlaczego przyszedł.

- Czy to była towarzyska wizyta? - zapytała Kate.

- Z pewnością nie. Przyszedł do mojego działu u Browna, z trudem wdrapał się po schodach, ocierał pot z czoła, i widać było, że jest mu gorąco i że wszystko to sprawia mu kłopot.

- Wiem - rzuciła Kate. - Pewnie dowiedział się, że wychodzisz za mąż i przyszedł zaproponować ci swoje usługi.

Sophie przecząco potrząsnęła głową.

- Chce, żebyś pomagała w kaplicy?

- Znowu pudło! - Sophie przestała się śmiać, zacisnęła usta i sięgnęła do torebki. Wyciągając plik zdjęć podała go Kate, mówiąc: - Przyszedł w tej sprawie.

- W tej sprawie? - Nie rozumiejąc, o co chodzi, Kate wzięła do ręki fotografię. Z powodu tego wszystkiego, co wydarzyło się po ich wyprawie na wyspę, prawie zapomniała o zdjęciu, jakie George zrobił Sophie na kolanach Buddy. Przesłoniły to ważniejsze sprawy. Teraz zobaczyła wywołaną fotografię. I przypomniała sobie wszystko z zaskakującą jasnością. Gdyby posąg nie był święty, można by powiedzieć, że jest to czarujące zdjęcie Sophie, chociaż trochę wyzywające.

- Wyglądasz bardzo ładnie, Sophie. Ale skąd się o tym dowiedział wielebny Purvis?

- G Browna doszło do głupiej pomyłki. Nie jest to nic niezwykłego. Syngalezi są bardzo niedbali, a także mają lepkie palce. Moja fotografia, którą zrobił George, zaplątała się do zdjęć z chrztu. Pan Purvis zwrócił mi dzisiaj fotografię.

- To bardzo uprzejmie z jego strony.

- Kochanie, nie powodowała nim uprzejmość. Przyszedł, żeby pozbyć się tej fotografii najszybciej, jak mógł. Zanim splami jego zdjęcia i jego dom.

Kate uniosła wzrok znad fotografii.

- Och, mój Boże!

- Dokładnie tak! Wielebny Purvis był w bardzo wzniosłym nastroju. Pewno podbechtała go Edith. Rozpoznałam objawy. Zwymyślał mnie - w obecności klientów i personelu - mówiąc, że to nieprzyzwoite zdjęcie. Z te-

go co mówił, można by sądzić, że pozowałam nago. Powiedział, że to zdenerwuje tubylców. Powiedział, że to świętokradztwo.

Kate zamrużyła oczami, w połowie ze współczucia, w połowie z obawy.

- Wówczas wściekłam się. Powiedziałam: Wydawało mi się, że to pan, wielbny Purvisie, przyjechał tutaj, by nawracać pogan. Po to, by powiedzieć im, że wszystkie te posągi są świętokradztwem. Jak więc ktoś może popełnić świętokradztwo w stosunku do ich świętokradczych posągów?

- Co na to powiedział?

- Nic. Zagięłam go. Po prostu wcisnął kapelusz na głowę i wypadł ze sklepu.

- I na tym koniec?

- Nie całkiem. Posłał po mnie kierownik. Powiedział, że pana Wijayę w dziale fotograficznym zdenerwowała moja fotografia. Jego jednak szybko uspokoiliam. Powiedziałam mu, że ludzie robią sobie zdjęcia przy posągu królowej Wiktorii i nikomu to nie przeszkadza. Nie, to wielbny Purvis wyprowadził mnie z równowagi.

Sophie przełknęła filiżankę herbaty i ze złością schrupała jeszcze jedno migdałowe ciasteczko.

- Wiem, co powiesz - powiedziała po kilku minutach milczenia. - Twój Richard mnie ostrzegł.

- Kuzyn Richard - poprawiła ją łagodnie Kate. - Tak, tak mi się wydaje. Ale na twoim miejscu starałabym się teraz o wszystkim zapomnieć. - Sophie pociągnęła nosem. - Myślę nawet - kontynuowała Kate - że może trzeba by je podrzeć.

- Podrzeć? Moje zdjęcie? Nigdy w życiu. Jest dobre. George'owi się podoba. - Oparła zdjęcie o dzbanuszek ze śmietanką i popatrzyła na nie z podziwem. - Mówi, że wyglądam na nim pięknie.

Zmieniając temat Kate zapytała ją, czy uzgodnili już z George'em datę ślubu. Twarz Sophie natychmiast się rozpogodziła. Często na ten temat rozmawiali, powiedziała. W chwili obecnej najprawdopodobniejszą datą jest lipiec, kiedy odbędą się już aukcje herbaty. Złożyła jeszcze jedną wizytę w posiadłości Blue Mountain i poznała głównego nadzorcę kulisów, którzy będą jej podlegali, kiedy już zostanie panią Hardwicke.

Kate zaproponowała Sophie, że oprowadzi ją po bungalowie i pokaże jej drobne udoskonalenia, które zaprowadziła. Zadzwoiła srebrnym dzwoneczkiem, by posprzątano po podwieczorku. Natychmiast pojawili się Appu i Samuel. Kiedy Samuel zaczął ustawiać wszystkie naczynia na tacach, fotografia oparta o dzbanuszek spadła na trawę u stóp Kate. Krzyknąwszy z przyganą na Samuela za jego niezdarność, Appu pochylił się, by ją podnieść.

Wyprostowując się spojrzał na zdjęcie. Zamarł. Rysy jego twarzy przebiegł grymas przerażenia. Rozwarł palce. Upuścił fotografię, jakby go parzyła. Przez kilka sekund wpatrywał się w niecny przedmiot na ziemi, jakby była to kobra. Po czym schwycił Samuela za ramię, popchnął go do przodu, wskazał na fotografię i widocznie kazał mu ją podnieść.

Samuel zawahał się, popatrzył na Appu, następnie na Kate, po czym na fotografię, a następnie znowu na Appu. W końcu niczym żołnierz szarżujący na muszkiety wroga pochylił się, podniósł fotografię i drżącą dłonią podał ją Kate.

- Dziękuję ci, Samuelu. - Kate uczyniła wielki wysiłek, by jej głos zabrzmiał naturalnie.

Appu i Samuel pobiegli z powrotem do domu, ale wcześniej Appu rzucił Sophie spojrzenie nieskrywanej nienawiści.

Kiedy jednak następnego ranka Kate zapytała Samuela o jego reakcję na zdjęcie, udawał zdziwionego i niewinnego.

- Bać się, memsahib? Samuel? Bać się? Zdjęć?

- Nie, nie zdjęć. Zdjęcia z Buddą?

- Nie, nie, memsahib, żadnego zdjęcia, Buddy też nie. Budda dla pogańskich chłopców. Samuel dobry chrześcijański chłopiec. Jezus Chrystus naznaczył mnie swoim świętym znakiem. - Samuel wykonał przypominający chrzest znak krzyża na swoim czole. - Samuel się nie bać.

W istocie był tak dobrym chrześcijańskim chłopcem i tak dobrze nauczył się biblijnych opowieści na lekcje z Edith, że w następną niedzielę pozwolono mu ciągnąć za sznur dzwonu w kaplicy.

Ani doktor Warrender, ani Kate nie uczestniczyli w nabożeństwie i nie słyszeli, jak Samuel bije w dzwon. Doktor musiał przygotować lekarstwa, gdyż wybuchła dezynteria, a Kate mu w tym pomagała.

Nadal pracowali, kiedy Samuel wrócił. Przyniósł liścik do doktora pisany ręką Edith Purvis. Przepraszając, że zakłóca mu dzień święty, prosiła go o jak najrychlejsze przybycie. Całkiem niespodzianie Wiktoria zachorowała.

Wiele godzin później William wrócił z bungalowu Purvisow i od razu poszedł do gabinetu. Nie wyszedł z niego na podwieczorek ani na wieczorny spacer po ogrodzie. Pojawił się jednak na obiedzie i w odpowiedzi na pytanie Kate powiedział jej, że dziecko Purvisow jest bardzo chore.

- Co jej jest?

- Nie wiem. - Mieszał łyżką zupę. - Pobrałem jej wymaz z gardła. Zrobiłem analizy. Resztę badań będę musiał przeprowadzić w szpitalu.

- Czy uważasz, że to coś poważnego? - zapytała Kate patrząc na wyraz jego twarzy.

- Może się tak okazać. - Rozkruszył kawałek chleba, nie wkładając go do ust.

- Nie umrze, prawda?

- Mam nadzieję, że nie. Ale nie wiem tego.

- Kiedy możesz wiedzieć? Wzruszył ramionami.

- Kiedy będę wiedział, co tę chorobę wywołało. Uważam, że mogę wykluczyć kilka chorób - ospę, cholerę, malarię. Objawy jednak są bardzo dziwne.

- W jakim sensie?

Jej mąż wybuchnął wcale niewesołym śmiechem.

- W takim, że nie ma żadnych albo prawie żadnych. Żadnych zwyczajnych. Nieznaczna gorączka, ale żadnej wysypki, wymiotów, żadnych oznak bóleści, żadnej wyczuwalnej opuchlizny. Tylko...

- Tylko co? - zapytała cicho Kate pochylając się nad stołem i wyciągając rękę, żeby dotknąć jego ręki.

- Tylko to, że się poddaje, marnieje. Jak mówi Edith, niczym pozostawiona na słońcu fotografia. Jej skóra zbladła. Nie chce jeść, nie pije, nie porusza się. Oddycha płytko i raptownie. I leży z szeroko otwartymi oczami, których źrenice są niczym główki szpilek.

- Och, Williamie, to straszne! Edith jest tak oddana temu dziecku. Kiedy się to wszystko stało?

- Jak mówi Edith w ciągu ostatnich dwóch dni. Musi to więc być jakaś infekcja. - Przełknął kilka łyżek zupy, po czym z niecierpliwością odsunął talerz. - Jeśli mi wybaczysz, pojedę teraz do szpitala.

- Pozwól, że z tobą pojedę. Pozwól mi pomóc. Proszę!

- Nie, Kate. Dziękuję ci, jednak. - Położył jej ręce na ramionach. - Już pomogłaś.



- Jak?

- Przez to, że pozwoliłaś mi myśleć na głos. I byłaś współczującą słuchaczką. To dla mnie rzadki luksus. - Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, ona jednak odwróciła głowę i pocałowała go prosto w usta. Wyglądał na zdziwionego i w jakiś odległy sposób rozbawionego. Przez chwilę poczuła się niewymownie szczęśliwa, po czym William uczynił gest, jakby ją w myślach odepchnął od siebie.

- Nie czekaj na mnie. To mi może zająć kilka godzin.

- Wcześniej położę się spać - powiedziała, próbując odzyskać tę ulotną chwilę - ale czy mogę jutro pojechać z tobą zobaczyć Edith i dziecko?

- Oczywiście. Jeśli nie odkryję, że jest to coś bardzo zakaźnego.

Jednakże ani ona nie poszła wcześniej spać, ani on nie odkrył niczego co do pochodzenia choroby dziecka. Pół godziny po tym jak zamarł odgłos kopyt konia Williama, na ścieżce rozległ się odgłos kopyt innego konia. Zabrzmiał głos Richarda wołającego Samuela, by wziął wodze, po czym Appu wprowadził jego samego do salonu.

- Ostatni raz kiedy widziałem się z Williamem, prosił mnie, bym wpadał w każdy niedzielny wieczór, jeśli będę przejeżdżał w pobliżu. Byłem w Nuwara Eliya, żeby pożyczyć jakiś sprzęt dla moich więźniów. Tak więc oto jestem.

Pocałował ją w rękę. Wyglądał bardzo przystojnie w mundurze, ze spleśniałymi od słońca włosami i ogorzałą, twarzą.

- A gdzie jest William? - zapytał siadając w fotelu, który mu Kate wskazała. - Nadal w gabinecie? Czy mam tam pójść i go wywabić?

Kate przecząco potrząsnęła głową.

- Pojechał do szpitala.

- Ach! - Richard wyglądał, jakby miał się uśmiechnąć, po czym zastanowił się nad tym. - Twój mąż zbyt ciężko pracuje, kuzynko.

Powiedziała mu o dziecku Purvisów i zapytała, czy napije się kawy lub czegoś mocniejszego. Podczas gdy czekali, aż Appu wróci z kawą i koniakiem, Richard powiedział z uśmiechem:

- Mam wrażenie, że William mi wybaczył. Kate sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Nie ma czego wybaczać.

- Z twojej strony nie. Z mojej - trochę. Kate zarumieniła się.

- Trochę więcej, niż William zdawał sobie sprawę i znacznie mniej, niż by sobie życzył.

Kate wstała.

- Nie wolno ci tak mówić. Wiesz, że to nieprawda. Richard ze śmiechem zerwał się na nogi i przyciągnął

ją do siebie, szybko całując w usta, z poczuciem winy wypuszczając ją z objęć, kiedy pojawił się Appu. Ten położył tacę, nie patrząc wprost na żadne z nich. Zanim jednak wyszedł, rzucił Richardowi tak wrogie spojrzenie, że nawet on przez chwilę sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Teraz, kiedy zdenerwowałem zarówno ciebie jak i Appu, muszę wypić kawę i odjechać. W przeciwnym bowiem razie stary diabeł rzuci na mnie urok.

Richard odrzucił w tył głowę i roześmiał się, widząc jednak wyraźny gniew Kate, opróżnił filiżankę.

- Przepraszam, że cię zdenerwowałem, Kate. Naprawdę przepraszam. - Żartobliwie ujął ją pod brodę. -Jednakże wszystko, co powiedziałem, to prawda. Naprawdę tak bardzo cię lubię, jak kuzyn William kiedykolwiek będzie.

Kate była zdziwiona, w jak wielkie przygnębienie wprawiły ją te słowa.

Nie była jednak jedyną kobietą, która czuła się przygnębiona tego wieczoru. Po drugiej stronie doliny Edith Purvis poznawała głębie rozpacz. Przez cały ten tragiczny tydzień patrzyła, jak jej dziecko powoli umiera. Cicho, bez skargi, z niebieskimi oczami wbitymi w sufit, bez ruchu, oddychając coraz płycej, niknęła. Nie przyjmowała jedzenia. Odmawiała przyjęcia sutka Edith, co dodawszy do psychicznego niepokoju, sprawiało, że Edith odczuwała fizyczny ból napiętych i obolałych piersi.

Doktor Warrender był niewiele pomocny, jej mąż jeszcze mniej. Doktor zrobił wymazy i pobrał próbki krwi, zalecił obmywanie letnią wodą i doustne podawanie przegotowanej wody. Zadawał niezliczone pytania, nie udzielał jednak żadnych odpowiedzi.

Nie wiem, mówił. Po prostu nie wiedział.

Jak można było przewidzieć, wielebny Purvis modlił się. Codziennie rano klękali razem przed ołtarzem w kaplicy. W głębi duszy Edith ofiarowała Panu wszystko, wszystko, czego pragnął, w zamian za życie jej dziecka. Mógł zabrać jej własne życie jak i życie jej męża, byle tylko pozwolił przeżyć jej dziecku. Czekwała na znak, że jej dziecko wyzdrowieje.

Bóg jednak nie dał jej żadnego znaku. Wielebny Purvis poprosił chłopców ze szkoły misyjnej, żeby się modlili. Odprawił specjalne nabożeństwo. Modlił się o Wiktorię przy każdym nędznym posiłku, jaki spożywał. Modlił się tak bez ustanku, a dziecko tak bardzo marniało, że Edith zaczęła nienawidzić imienia Jezusa.

Po czym w czwartek tego tygodnia wielebny Purvis powrócił z wiadomością, że ich obowiązkiem jest dodanie

do codziennych modlitw jeszcze jednego imienia. Chłopiec o imieniu Samadasan ze szkoły misyjnej zachorował na cholere. W tej chwili jest z nim doktor Warrender.

Edith stwierdziła, że miotają nią sprzeczne emocje, o jakie nigdy się nie podejrzewała.

- Cholera! - wykrzyknęła wbrew wszelkiemu rozsądkowi. - Wobec tego to on zaraził nasze dziecko! To Samadasan.

Nie chciała słuchać wyjaśnień ani doktora, ani własnego męża, że chłopiec nie mógł zarazić Wiktorii, gdyż biedak nie miał z nią żadnego kontaktu. Wobec tego, pomyślała Edith, musiał to zrobić albo sam doktor Warrender, albo jej mąż. Na darmo doktor Warrender cierpliwie starał się ją przekonać, że dziecko nie cierpi na tę chorobę. Z braku innej diagnozy, Edith uwierzyła, że Wiktorii ma cholere.

Zacząło dziać się jeszcze gorzej. W piątek po południu doktor Warrender miał już pewność, że chłopiec nie przeżyje nocy. Wielebny Purvis, jak zawsze wierny swojej trzodzie, został u boku chłopca.

- Samadasan miał piękny koniec - powiedział tej nocy, kiedy Edith siedziała przy łóżeczku dziecka i próbowała wlać przez zaciśnięte szczęki Wiktorii odrobinę przegotowanej wody. - Nikt nie mógłby sobie życzyć lepszego. Godzinę przed śmiercią szepnąłem do niego: „Samadasan, Jezus po ciebie przychodzi”, a on spojrzał na mnie i uśmiechnął się z taką radością i powiedział: „Och, dziękuję, dziękuję. Proszę Mu powiedzieć, żeby przyszedł szybko”.

Edith odwróciła wzrok od spoconej, czerwonej twarzy męża i spojrzała na twarzyczkę swojego umierającego dziecka. Potrafiła sobie wyobrazić, jak szepcze on te same przerażające słowa do delikatnych, białych uszu

Wiktorii... "Jezus po ciebie przychodzi, Wiktorio", po czym po prostu pozwała Mu przyjść, niczym jakiemuś potworowi z bajki, i ją pożyć.

Edith zacisnęła palce na łyżeczce, aż kłykcie jej pobieleły. Przez chwilę omal nie uderzyła nią wielebnego Purvisa. Nagle poczuła przemożną chęć wepchnięcia mu jej do oczu, które przepelniały sentymentalne łzy. Po czym wybiegła z pokoju.

- Przez chwilę myślałem, że zrobi coś całkiem dziwnego

- powiedział wielebny Purvis do doktora Warrendera.

- Spojrzała na mnie prawie z nienawiścią, jakbym był jej wrogiem.

Warrender wymamrotał coś uspokajającego o nerwach, niepokoju, napięciach macierzyństwa, i zrobił dziecku zastrzyk. Powiedział Kate, że prawie tak bardzo martwi się o Edith jak o dziecko. W sobotnie popołudnie przywiózł ze sobą Kate. Powiedział jej, że jest niezmiernie rady z jej towarzystwa.

Pomogła Edith obmyć gąbką chude ciało i razem liczyły łyżeczki płynu, które znikają pomiędzy niechętnie przyjmującymi je wargami.

Warrenderowie przyjechali znowu, pozornie na niedzielne nabożeństwo, w towarzystwie Samuela, który znowu miał bić w dzwony. Po nabożeństwie wielebny Purvis przymusił ich, żeby w bungalowie napili się z nimi nalewki cytrynowej. Powiedział, że to wprawi Edith w lepszy nastrój.

Edith jednak była ponura i niechętna towarzystwu. Na sugestię Williama, że jeśli się małej nie polepszy, jutro zabierze ją do szpitala, Edith wpadła we wściekłość.

- Nikt mi nie zabierze mojego dziecka!

- Nikt jej nie zabiera, Edith. Ty także możesz pojechać. Ona jednak nie chciała tego nawet słuchać.

- W końcu, co to da? Nie wiesz, co jej jest. Nikt nie chce mi powiedzieć, co jej jest.

- Zaczynam podejrzewać.

Ona jednak wypadła z pokoju, zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze. Pozostała w kuchni, aż się pożegnali. Wyjechali w takim pośpiechu, że Kate zostawiła białe bawełniane rękawiczki.

Edith nie miała zamiaru zawołać ich, by wrócili po rękawiczki, Kate jednak musiała zauważyć ich brak i posłała po nie Samuela. Z kuchennych drzwi Edith widziała, jak Samuel wchodzi do salonu i podchodzi do krzesła, na którym siedziała Kate.

Żeby to zrobić, musiał przejść koło łóżeczka. Spojrzał do niego od niechcenia. I wówczas stanął osłupiały. Jego oczy rozszerzyły się tak, że Edith przyszły na myśl okropne brązowe sadzone jajka. Jego szczupłym ciałem wstrząsnął dreszcz.

Dziecko umarło! Dlatego Samuel tak się przeraził! Tamilowie boją się śmierci. Jezus przyszedł i porwał Wiktorię, kiedy jej nie było. Z krzykiem rozpaczony Edith niemal przeskoczyła kilka kroków, jakie dzieliły ją od łóżeczka. Złapała Samuela za rękę i tak jak on, popatrzyła na dziecko.

Nic się jednak nie zmieniło. Wiktoria nadal leżała blada i prawie bez życia, ale nie martwa.

W gniewie i rozpaczony Edith zaczęła potrząsać Samuelem.

- Dlaczego tak się gapisz, chłopcze? Co się stało?

- Dziecko, memsahib! To się stało. Dziecko. Och, co robić, memsahib? Co zrobić z dzieckiem? Ktoś rzucił na nią Złe Oko.

- Złe Oko, Samuelu? I mówisz to ty, dobry chrześcijanin!

- Jestem dobrym chrześcijaninem, memsahib. Bardzo dobrym chłopcem. Ale, memsahib, widziałem. Wiele razy w mojej wiosce w Dehiwala tak się działo.

Doktor nie może wiedzieć o Złym Oku. Wielebny nie zrozumie. Nie pomoże ani doktor, ani wielebny Purvis. Ale wszyscy mogą to zobaczyć. Niech memsahib popatrzy! - Wskazał na przypominającą winorośl roślinę o spiczastych liściach, która opadała na ścianę bungalowu. - To pewny znak Złego Oka. Kiedy bulath zwiędnie i umrze, tak stanie się z dzieckiem...

Przez kilka minut Samuel nie wiedział, co mu się stało. Czy ktoś wyszarpał go za uszy, czy złapał za ręce, ponieważ powiedział coś, co chrześcijanie uważają za świętokradztwo, a może chciał uciec, ale memsahib nie chciała go puścić, dopóki nie powie jej czegoś więcej na temat świętokradczego Złego Oka.

W końcu, dzięki kuksańcowi i targaniu za uszy Edith Purvis dowiedziała się tego, co chciała wiedzieć. Jakiś wróg umiał i jak widać zrobił to, a mianowicie rzucił na dziecko Złe Oko, zabierając mu pukiel włosów, paznokiec albo podobiznę. Wówczas wszystko złożyło się w całość. Fotografia. Fotografia jej drogiej Wiktorii, która znalazła się obok fotografii tej Simpson. To było przyczyną. To splamiło jej dziecko. Zło zostało spowodowane przez poczynania tej ladaczniczki i jej zdjęcie. Edith już miała swoją diagnozę. W tej chwili bardziej wierzyła Samuelowi niż swojemu mężowi.

Teraz zażądała, by jej powiedział, jakie jest na to lekarstwo.

Zanim go wypuściła, Edith wymusiła na Samuelu obietnicę, że wróci do niej, jak tylko skończy swe obowiązki w bungalowie Warrenderów. Nie wolno mu nikomu o tym mówić, ani doktorowi Warrenderowi, ani memsahib, ani wielebnemu Purvisowi. Gdyby bowiem wielebny Purvis dowiedział się, że Samuel mówił święto

kradczę rzeczy, nigdy więcej nie pozwoli mu uderzyć w dzwony.

Dotrzymując obietnicy Samuel pojawił się ponownie o zachodzie słońca. Wielebny Purvis był w kościele. Mogli pomówić na osobności. Musi jej od razu powiedzieć, co ma zrobić, żeby zabrać Złe Oko.

Okazało się to znacznie trudniejsze, niż myślała i serce w niej zamarło. Potrzebują, powiedział Samuel, człowieka z kasty Beravayow, bardzo mądrego człowieka, jedyne w całej Rangawelli, który może zabrać Złe Oko. Samuel już się z nim widział. Niechętnie się zgodził przyjść pojutrze.

- Dlaczego nie jutro?

- Dużo trzeba wcześniej zrobić. Zabierze Złe Oko przy pomocy Wodnych Czarów.

- Co to jest? - zapytała Edith. - Czy to coś jak nasz chrzest? - I na tym samym oddechu: - Jesteś pewny, że to poskutkuje?

- To trochę przypomina chrzest. A trochę nie. Tak, memsahib, to poskutkuje. Najpierw musi pani jednak mieć chatti, nowy garnek. Bedahalaya na targu naprzeciwko stacji musi go pani odlać. Jutro wcześniej rano. Potem jutro wieczorem, kiedy będzie ciemno, niech pani idzie do strumienia go napełnić.

- Ale strumień wysechł. Jest pora suszy. Wszystko wyschło! - Edith zaczęła szlochać z frustracji, strachu i poczucia winy.

- Obok strumienia - ciągnął Samuel, jakby nic nie powiedziała - musi pani wykopać dziurę. Napełni się dobrą, czystą wodą. Rano weźmie pani nowy garnek i napełni go nową wodą. Potem ubierze pani dziecko na biało i będzie czekać na Beravayę.

Kiedy skończył mówić, Edith zaczęła załamywać ręce. Miała wrażenie, że jeszcze bardziej zagłębiła się w koszmar. Jak będzie mogła wyjść samotnie i wykopać dziurę?



Jak dziura wypełni się wodą w czasie ostrej suszy? Jak zdoła się pozbyć męża na czas przybycia czarownika z kasty Beravayów? A co jeszcze pilniejsze, jak zdoła do tego czasu utrzymać swoje dziecko przy życiu? Próbowwała się modlić, miała jednak wrażenie, że Pan Jezus był świadomy tego, że przeszła na drugą stronę.

Nie była jednak całkiem opuszczona.

Zdobycie nowego garnka okazało się niezmiernie łatwe. Edith udała się na targ, żeby go zamówić, po czym zboczyła do Browna, żeby kupić nową białą sukienkę dla Wiktorii.

Nadal jednak martwiła się suszą i wyschłym łożyskiem strumienia. Po czym nagle, kiedy szła pod górę, coś uderzyło ją w policzek prawie tak boleśnie jak kamień wystrzelony z procy niegrzecznego dziecka. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu winnego i przyłożyła dłoń do twarzy. Poczowała wilgoć pod palcami. Zanim zdała sobie sprawę, co to jest, jeszcze jeden okrągły przedmiot spadł z szarego nieba, a następnie jeszcze jeden potoczył się zbierając kurz, a następnie pękł.

Deszcz!

Wykrzyknęła to słowo na głos. Zapiszczała i popędziła szukając schronienia, kiedy niebiosa się rozwarły. Lało strumieniami. Na niebie, niczym srebrne korzenie drzewa, pojawiały się błyskawice. Między wzgórzami odbijało się echo grzmotów. Wiatr szaleńczo kołysał palmami, nie zdołał jednak poruszyć stalowych biczy deszczu.

- Każdego roku zapominam, z jaką gwałtownością i furią nadchodzą deszcze - z zaskakującą wesołością powiedziała do męża przy śniadaniu.

Była, jak zauważył, znacznie spokojniejsza, prawie tak jakby doktor Warrender miał rację i ciśnienie nie spadłego deszczu wzmoгло jej niepokój i podziałało jej na nerwy. Arnold był aż nadto szczęśliwy, kiedy zgodził

się na jej prośbę, by odprawił jutro w kościele specjalne godzinne nabożeństwo w intencji wyzdrowienia Wiktorii i nie pozwolił sobie na niepokój, gdy tuż po zapadnięciu ciemności nagle wyszła z bungalowu pod pretekstem, że chce pójść na spacer. Zakrywany od czasu do czasu chmurami księżyc dał Edith dosyć światła, by mogła bezpiecznie zejść ścieżką prowadzącą do strumienia. Po kamieniach przepływał cał brudnej, pieniącej się wody. Edith pochyliła się i raz za razem spoglądając przez ramię, czy nikt za nią nie idzie, wykopała dziurę i wróciła do domu.

Tej nocy spała niespokojnie. Skoro tylko wstał świt, wymknęła się z łóżka i ubrała. Nakrywszy nowy garnek muślinem, ukryła go pod szalem i jeszcze raz pobiegła do strumienia. Poczowała nagle przyplływ zabobonnego podniecenia, kiedy zobaczyła, że dziura wypełniona jest dobrą, czystą wodą. Zanurzyła w niej garnek, napełniła go po brzegi, ponownie nakryła go muślinem i wróciła do bungalowu, zanim zauważono jej nieobecność.

Obmyła wychudłe członki maleńkiej Wiktorii i odziała ją w śnieżną biel. Wmusiła w nią kilka łyków wody, po czym czekała, z nienawiścią przyglądając się, jak wielebny Purvis spożywa swe zwyczajowe obfite śniadanie.

O siódmej czterdzieści pięć otarł usta, pocałował Edith w czoło, zerknął do łóżeczka, westchnął: - Jak widzę, nic nie lepiej - i poszedł do kościoła.

O ósmej rozległo się bicie kościelnych dzwonów i niczym dżin z butli na werandzie pojawił się Samuel z ciemnoskórym mężczyzną w turbanie. Ten złożył ręce, pokłonił się i wszedł do pokoju. Niósł, jak spostrzegła to Edith, gałązkę mango, w sposób, w jaki mógłby ją nieść różdżkarz, miarowymi, cichymi krokami zmierzając w stronę łóżeczka.

- Woda, memsahib. Musi mieć wodę - szepnął Samuel, a ona w milczeniu, gdyż mówienie mogłoby się okazać pechowe, wręczyła mu zakryty garnek.

Beravaya odkrył garnek i zanurzył w wodzie gałązkę. Następnie stanął przed łóżeczkiem i pochlapał Wiktorię, jakby kropił ją święconą wodą lub okadzał. Przez cały czas intonował jakąś dziwną pieśń, a jego wielkie czarne oczy wpatrywały się w twarz dziecka. Coraz szybciej wypowiadał niezrozumiałe słowa, zanurzał gałązkę, kropił, aż jego jednostajny głos osiągnął częstotliwość, która z pewnością przeniknęła przez betonowe mury sąsiedniej kaplicy. Gwałtownie, niczym magik, po raz ostatni zamachał gałązką, po czym się uklonił.

Skończyło się. Z powrotem wręczył Edith garnek z wodą, szepnął Samuelowi do ucha jakieś niezrozumiałe słowa, które ten przetłumaczył jako: „Kąp w tym dziecko, aż nic nie zostanie. Potem dziecko wyzdrowieje.”

Niepewna, jak się ma zachować w podobnych sytuacjach, Edith podała Samuelowi swoją portmonetkę. Ten sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo lubił pieniądze, wepchnął ją jednak za pazuchę i zaprowadził Beravayę do kuchni na poczęstunek.

Jak tylko odeszli, Edith rozebrała dziecko i od stóp do głów obmyła je w mętnej wodzie.

Wiktorcia wydała niewyraźny jęk. Zachęcona, Edith ponownie obmyła jej ciało. Miała wrażenie, że pod jej palcami ciało dziecka staje się prężniejsze i żywsze. Przytuliła dziecko do siebie, po czym ostrożnie odłożyła je do łóżeczka. Powoli dziecko podniosło kciuk do ust i zaczęło go ssać. Edith natychmiast wyjęła je z łóżeczka, rozpięła stanik i wsunęła sutek między maleńkie wargi.

Początkowo powoli, a następnie z wzrastającym łakomstwem dziecko zaczęło ssać. Fizyczna i emocjonalna ulga była prawie nie do zniesienia. Z radością Edith wzniosła wzrok do nieba. Jednak był tam Ktoś, komu należała się wdzięczność. Nie wiedziała jednak komu, a przynajmniej, jak Go nazwać, Jezus, Budda, czy też imieniem jednego ze strasznego plemienia hinduskich bóstw.

Jednakże wielebny Purvis, który przybiegł po godzinnym nabożeństwie, wiedział. Opadł na kolana i złożył dzięki Chrystusowi za cud wyleczenia.

W takim stanie zastał Samuel rodzinę po powrocie z kuchni.

- Niech pani popatrzy, memsahib - szepnął Edith na ucho, wskazując na zieloną jaskrawą iskrę odbijającą się na ścianie bungalowu. - Budda jest miłosierny. Niech pani teraz spojrzy na liście bulathu!

## Rozdział XVIII

Cud trwał nadal i dziecku zaczęło się polepszać.

Pomimo monsunowych deszczy i parującego upału Edith Purvis z jeszcze większym zapałem wykonywała swe obowiązki. Początkowo czuła się jak spartański chłopiec, któremu lis wyżarł brzuch, bo był na tyle nieposłuszny, że schował go pod opończę. Edith zżerały wyrzuty sumienia. Nie potrafiła wstąpić do kościoła, nie oczekując, że jakiś głos ze Starego Testamentu wygna ją stamtąd za bałwochwalstwo, kiedy jednak nic się nie stało, jej strach zmalął. Pracowała bardziej niż kiedykolwiek, by tylko Jezus pomniejszył jej winę. I kiedy skończył się marzec, a zaczął kwiecień, zaczęła dostrzegać fakt, że wina jest nie tyle jej, co Sophie Simpson, od której to wszystko się zaczęło.

Po południu ósmego maja chmury monsunowe przetoczyły się na północ, niebo się roz pogodziło, a słońce zaczęło piec wściekle, wyciągając wilgoć z nasączonej ziemi i soki z liści i kwiatów. Powietrze wypełniała pachnąca mgiełka, lekka niczym obłok perfum, która unosiła się nad doliną i docierała do werandy Purvisów, gdzie siedziała Edith pisząc list do domu i kołysząc łóżeczko dziecka czubkiem stopy.

Poprzez mgiełkę Edith zobaczyła, jak Sophie Simpson wyszła od Browna niosąc dużą paczkę, wsiadła do wynajętego powozu i na chwilę zniknęła z pola widzenia.

Kilka minut później wyłoniła się zza miejskich zabudowań jadąc drogą w stronę bungalowu Warrenderów. Edith zobaczyła, jak mija żelazną bramę i zatrzymuje się.

Tak jak Sophie oczekiwała, doktor pojechał z wizytami do pacjentów, a Kate ubrana w obszerny fartuch i bawełniane rękawiczki, była w ogrodzie, gdzie sadziła hibiscus pod oknami gabinetu doktora.

- Kate - zawołała - jest na to za gorąco. Nie mogłybyśmy usiąść i napić się herbaty? Chcę, żebyś zobaczyła materiał, jaki przywiozłam. Myślałam, że będzie się nadawał na moją wyprawę ślubną, ale nie jestem pewna, czy całkiem o to mi chodzi. - Sophie usadowiła się na drewnianej ławeczce pod drzewem i zaczęła się wachlować.

Kate wyprostowała się, zdjęła fartuch i zsunęła z rąk rękawiczki. Pomimo wszystkich tych uśmiechów i pozornie swobodnego i wesołego zachowania, Kate zauważyła, że Sophie ma podkrążone oczy, a kiedy nic nie mówi, jej usta wykrzywia grymas smutku.

- Zadzwońię po herbatę. Nie miałabyś ochoty czegoś zjeść? Appu upiekł migdałowe ciasteczka.

- Wspaniale, nie odmówię. - Poklepała miejsce obok siebie. - Chodź, usiądź tu. Powiedz mi, co u ciebie słychać?

- Dziękuję, wszystko w porządku.

- Doktor dobrze się czuje, prawda?

- Chyba tak. Niewiele go widuję. Za ciężko pracuje.

- Słyszałam, że Edith Purvis zmusiła go do skakania przy małej dzień i noc.

- No, niezupełnie. Dzięki Bogu jednak, dziecko wyzdrowiało. Jestem pewna, że to zastrzyki, które zrobił małej William.

- Bardzo prawdopodobne. - Sophie przytaknęła bez większego zainteresowania. - Mam rozpakować materiał? - Kiedy Kate skinęła głową, rozwiązała sznurek

i rozwinęła kilka jardów kawowej satyny. - Widzisz, postanowiłam, że począwszy od tego tygodnia, z każdej pensji będę kupowała coś do ślubu. - Kiedy to mówiła, rzuciła Kate prawie wyzywające spojrzenie.

Kate nic nie powiedziała, dopóki Appu nie skończył rozkładać przenośnego stolika do herbaty i nie położył na nim tacy.

- Czy uzgodniliście już, kiedy ma się odbyć ślub?

- Za dwa miesiące. Po pierwszych aukcjach herbaty. Koniec czerwca albo początek lipca.

- Nie ustaliliście jednak konkretnej daty?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Tylko się zastanawiałam.

- Nie! Nie tylko się zastanawiałaś! - Policzki Sophie pokrył rumieniec gniewu.

- Co jeszcze miałabym robić?

- Och, widzę to na twojej twarzy. Masz minę, jakbyś się zastanawiała, a także nie wierzyła w to, co mówię.

Sophie podniosła do ust filiżankę, a jej ręka drżała. Kate wciągnęła głęboki oddech. Miała dopiero osiemnaście lat, ale nagle poczuła się tak, jakby miała tyle lat, że mogłaby być matką Sophie.

- Wobec tego przepraszam - powiedziała, starając się opanować. - Tylko się zastanawiałam. - Jeszcze raz odetchnęła głęboko. - Ale zastanawiam się, czy George rzeczywiście ma zamiar ożenić się z tobą.

Usłyszała, jak Sophie ze szcękaniem odkłada filiżankę na spodek, po czym zapadła cisza. Z oddali dobiegał głos Appu karcącego Samuela. W gałęziach drzewa śpiewał ptak.

Kiedy była w stanie wydobyć z siebie głos, Sophie powiedziała równocześnie gniewnie i płaczliwie:

- A ja myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

- Jestem. Dlatego się martwię.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- Ależ, rozumiesz. Ty mi to powiedziałaś. Och, wiem, że to ty masz być tą osobą, która wie wszystko. Wszystko o życiu. I mężczyznach. Ale jeśli George nie ożeni się z tobą, to będziesz w takiej sytuacji jak przedtem. Nawet gorszej. Jak wtedy w Londynie, pamiętasz opowiadałaś mi o tym, kiedy miałaś tego przyjaciela dżentelmena. I on płacił za twoje mieszkanie. I przez pewien czas byłaś szczęśliwa. Ale on potem odszedł i ożenił się z kimś innym.

- Nie mów o tym! - rzuciła Sophie, ocierając oczy. - Nie mów o tym!

- Muszę.

- Nie, nie musisz. A ja nie chcę tego słuchać. Nie będę tego słuchać! A ty przecież jesteś tą niby niewinną.

- Gezę się, jak nią nie być.

- To dobrze. Ty też masz swoje problemy, moją miłą przyjaciółko. Nie zapominaj, że widuję wszystkie żony w moim dziale u Browna. Wiem o wszystkim, co się dzieje. Twój mąż nie jest mnichem. Nie dzieli z tobą łóżka, ale dostaje, co mu potrzeba. Och, nie rób takiej zaszokowanej miny. Musiałaś przecież o tym pomyśleć. I widziałaś tę szkocką siostrę w szpitalu. Myślą, że ona jest dla niego.

Z gorzką satysfakcją Sophie zgryzła migdałowe ciasteczko i naląła sobie następną filiżankę herbaty, ignorując lodowate spojrzenie Kate.

- Nie, martw się o siebie, Kate. Nie jesteś w zbyt miłym położeniu i martwisz mnie. George powiedział, że chce się ze mną ożenić, że ożeni się ze mną, jak tylko skończą się aukcje herbaty. Tak więc pilnuj swoich spraw i zostaw mnie w spokoju!

Problem polegał jednak na tym, że Kate nie mogła zostawić Sophie w spokoju. Sprawy Sophie w Rangawelli stawały się sprawami wszystkich, a ona sama była



celem plotek większości mieszkających w mieście Europejczyków. Wszystkie żony pracowników rządowych, wojskowych, policjantów i plantatorów odwiedzały jej stoisko u Browna - a Sophie była niedyskretna.

Sześć dni później, rano, Sophie pojawiła się ponownie w Braemar, zaróżowiona i triumfująca, każąc poczekać woźnicy wynajętego powozu.

- Nie mogę długo zostać. Chciałam się tylko podzielić z tobą ważną wiadomością. I poprosić o przysługę. - Zniżyła głos do szeptu. - George i ja zaręczyliśmy się nieoficjalnie. - Roześmiała się z radością. - Tak, naprawdę. Ale nie mów o tym nikomu. To tajemnica.

Zamilkła, kiedy Kate pocałowała ją w policzek.

- Jak tylko George będzie miał czas, pojedziemy do Kandy wybrać kamienie na pierścionek zaręczynowy. Będzie robiony na zamówienie, nie żaden tam gotowy. George uważa, że powinny to być diamenty i szafiry.

- A co miało być przysługą? - zapytała Kate, kiedy Sophie przerwała dla zaczerpnięcia tchu.

- Zastanawiałam się, czy ślub nie mógłby się odbyć tutaj.

- Oczywiście - zgodziła się natychmiast Kate, nie zastanawiając się nawet, co na to powie William. Sięgnęła po dzwonek. - Wypijmy teraz dla uczczenia twoich zaręczyn.

Sophie jednak potrząsnęła przecząco głową.

- Przykro mi, kochanie, ale muszę wracać. To niesłychanie pracowity dla mnie tydzień. Wszystkie panie zamawiają kapelusze na Dzień Imperium, a niecierpliwa pani Arbuthnot przychodzi dziś wieczorem po swój.

Rzucając Kate całusa na pożegnanie, a także jeszcze raz przypominając jej, by nikomu nie powiedziała o tym ani słowa, Sophie odjechała wynajętym powozem. Kate patrzyła za nim, aż zniknął w obłoku czerwonego pyłu.

Tego popołudnia przyjechali w odwiedziny i zjedli podwieczorek pastor Kościoła Anglikańskiego z żoną.

Wypytywali o Williama. Podziwiali ogród i odjechali tuż przed zbliżającą się burzą.

Upał, wilgoć i cisza przed nieuchronną burzą wywołały u Kate dziwne przeczucia. Góra Adama zniknęła w gęstej mgle. Teraz niebo zasłaniały jednolite, szare chmury. Kwiaty zwiędły. Gbranie przylepiło się Kate do ciała.

Żałowała, że Williama nie ma w domu. Powiedział jej jednak wyraźnie, żeby nie czekała na niego z obiadem. Spóźni się, ponieważ musi wpaść do szpitala. I jej umysł zataczał pełny krąg. Było całkowicie prawdziwe to, co mówiła Sophie, a w mniejszym stopniu wspomniał o tym Richard, że William spędza wyjątkowo dużo czasu w szpitalu.

Kate czuła się bardzo samotna. O siódmej wszedł Appu z lampami. Wydał się zaskoczony, niemal obrażony, kiedy zastał ją siedzącą po ciemku. Nie, nie będzie jeszcze jadła, powiedziała. Napije się tylko soku cytrynowego i poczeka, aż pan wróci.

- Pan powiedziec, że może wcale dzisiaj nie wróci. - Appu zamachał rękami. - Jak będzie burza, on zostaje w szpitalu.

Nagle na blaszanym dachu bungalowu rozległ się lekki stukot. Krople deszczu ropysły się na oknie. W kilka sekund później rozpętała się burza. Takiego deszczu Kate jeszcze nie widziała. Światła Rangawelli zniknęły za jednolitą kryształową kurtyną. Właśnie odwracała się od okna, kiedy dostrzegła niewyraźną sylwetkę jeźdźca z trudem przedzierającego się w takiej pogodzie, i popędziła do frontowych drzwi.

Był to Richard. Zeskoczył z siodła i przekrzykując odgłosy burzy zawołał na Samuela. Kiedy chłopiec pojawił się i zabrał konia do stajni, wbiegł po schodkach do środka. Na mundurze narzucony miał wojskowy płaszcz przeciwdeszczowy.

- Kate...

Nie uśmiechnął się ani jej nie pocałował. Miał tak ponurą minę, że pomyślała, iż musiał się zdarzyć jakiś wypadek, że William jest ranny lub chory, lub spotkało go coś jeszcze gorszego.

- O co chodzi?

Zamiast jej odpowiedzieć, Richard zdjął płaszcz i powiesił go na kołku w hallu.

- Czy coś się stało? - Zapytała znowu Kate, kiedy Richard szedł za nią do salonu. - William?

- Nie. To nie ma nic wspólnego z Williamem. Chciałem się z nim zobaczyć. Potrzebuję jego rady. Na mą duszę, twojej także. Sama będziesz mogła osądzić, czy coś się stało.

Opadł na krzesło, wziął szklankę soku, którą mu podała i opróżnił ją jednym haustem.

- William, niestety, jest w szpitalu.

- Och. - Uniósł brwi, ale nie skomentował tego.

- Tak więc ja ci będę musiała wystarczyć. Jeśli chodzi o radę.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś najlepiej się do tego nadawała. Znasz obie zaangażowane w to strony, jeśli wiesz o czym mówię.

- Nie wiem.

- Cóż, znasz George'a Hardwicke'a i Sophie Simpson.

- Och, Boże, mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Przestań mnie o to pytać, Kate. W pewien sposób stało się. Nikt nie jest ranny, jeśli o to ci chodzi. Ale coś się stało. Albo może się stać.

- Powiedz mi!

- Próbuję. W zasadzie chodzi o Hardwicke'a. Wiesz, że kiedyś służył w armii?

Skinęła głową.

- Cóż, teraz powołują rezerwę. Przyszły jego papiery. Arbuthnot właśnie co mi je pokazał.

- To chyba nie znaczy, że pojedzie na wojnę z Burami?  
- Och, nie. Z pewnością nie. Będzie musiał tylko zastąpić kogoś tutaj.

- Mam nadzieję, że nie ciebie?

- Raczej nie. Nie mam takiego szczęścia. Zastąpi Arbuthnota.

Kate wydała niekontrolowane westchnienie ulgi. Wiadomość nie była tak złowieszcza, jak można by sądzić po minie majora. Obawiała się tylko, że może to spowodować przesunięcie daty ślubu Sophie. Na głos zapytała:

- Ale nie w związku z tym potrzebujesz rady? Major uśmiechnął się.

- Nie. - Jego uśmiech znikł. - Potrzebuję rady odnośnie papierów.

- Nie rozumiem.

Dopił sok i pozornie zmieniając temat, powiedział:

- Jesteś przyjaciółką Sophie.

- Wiesz, że jestem.

- Bliską przyjaciółką? Możesz z nią szczerze porozmawiać?

- Bliską przyjaciółką - odparła Kate uśmiechając się lekko. - I jeśli to konieczne, mogę z nią szczerze porozmawiać. Ale dlaczego? Czy to ma coś wspólnego z, jak to nazywasz, papierami?

- Tak. - Bawił się pustą szklanką, po czym podniósł ją do światła i nie patrząc Kate w oczy, powiedział bezbarwnym głosem:

- Widzisz, władze wojskowe są bardzo dociekliwe i chcą wszystko wiedzieć o twoich sprawach osobistych, po czym zapisują je w twoich papierach. Papiery George'a mówią wyraźnie, że ma już żonę w Anglii.

Minęło kilka sekund, zanim jego słowa dotarły do świadomości Kate. Następnie powiedziała powoli:

- Czy mógłbyś to powtórzyć, Richardzie?
  - Oczywiście. - Spełnił jej prośbę tym samym bezbarwnym głosem.
  - Ależ to niemożliwe! Jesteś pewny?
  - Całkowicie pewny. Armia nie interesuje się tym, czym człowiek jest, czy też co robi poza służbą. Lecz z tego, co widziałem, i z plotek, jakie do mnie dotarły... wydaje mi się, że George Harwicke i Sophie Simpson są ze sobą bardzo blisko. - Zapadła długa chwila ciszy
  - Teraz więc, słodka kuzynko, rozumiesz, dlaczego potrzebuję twojej rady, i dlaczego będzie ona lepsza niż rada Williama.
  - Rozumiem.
  - Cóż, kuzynko, może się okazać, że Sophie Simpson ma takie same poglądy na życie jak George Hardwicke i po prostu chce się dobrze zabawić i nie wiązać się z nikim trwale. - Przerwał. - A z drugiej strony, może wcale tak nie być... jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. - Przerwał znowu.
  - A ty jesteś osobą, która musi mi poradzić, co zrobić. Kate wirowało w głowie od sprzecznych myśli i emocji, jednak przede wszystkim pomyślała o dwóch rzeczach. To porucznik Arbuthnot przyniósł majorowi tę wiadomość, a ta plotkara, jego żona, miała przyjść dzisiaj do Sophie po kapelusze.
- Wstała.
- Trzeba natychmiast powiedzieć o tym Sophie. Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, by usłyszała to ode mnie. - Spojrzała na zegar. - Dopiero co zamknęli sklep, więc Sophie będzie w hotelu. Richardzie... przepraszam... ale muszę się spieszyć!
- Nie czekając na jego odpowiedź, pobiegła do przedpokoju po płaszcz i krzyknęła na Samuela, by podprowadził powóz i konia majora.
- Pojadę z tobą aż do hotelu. Jestem pewny, że William nie będzie miał nic przeciwko temu. Uważam,

że musisz jej powiedzieć - rzucił Richard. - W przeciwnym bowiem razie zrobią to mniej przyjazne języki.

- Panna Simpson? Wydaje mi się, że jeszcze nie przyszła, pani Warrender.

- Czy mogę pójść do jej pokoju i poczekać?

- Oczywiście, pani Warrender. Najpierw jednak proszę dać mi swój płaszcz. Jest przemoczony!

Kate zdjęła płaszcz i podała go panu Jayasinji, kierownikowi hotelu. Przez szklane drzwi wejściowe widać było padający strumieniami deszcz, od czasu do czasu rozświetlony przez błyskawice.

- Dzięki Bogu za deszcz - powiedział pan Jayasinji. - Wreszcie zrobiło się chłodno. Pokój panny Simpson znajduje się na pierwszym piętrze. Numer pięć. Drzwi nie będą zamknięte na klucz.

Kate minęła recepcję, palmy w hallu i weszła na górę po schodach z tekowego drewna. Numer pięć znajdował się na końcu korytarza. Przekręciła gałkę i weszła do środka.

Zasłony były zaciągnięte, odgradzając pokój od szalejącej na zewnątrz burzy. Moskitiera, ozdobiona różami, oświetlona ciepłym światłem oliwnej lamki stojącej na gzymsie kominka, zwisała z wbitego w sufit haka nad ogromnym małżeńskim łóżem.

Na czarnej toaletce z chińskiej laki leżały poukładane szylkretowe szczotki, prezent od jej pierwszego kochanka, i kamea z Neapolu. Na komodzie spoczywał ozdobiony wiśniami kapelusz. Na biurku pod oknem leżała mała kopia toledańskiej szpady, którą Sophie kupiła w Gibraltarze.

Kate usiadła na różowym pufie obok komody. Nieobecność Sophie dała jej przynajmniej okazję do zebrania myśli. Z zewnątrz dobiegi gwizd lokomotywy i stukot ciągnionych przez woły wozów.

Wówczas usłyszała, najpierw na schodach, a następnie w korytarzu, odgłos powolnych kroków. Serce zaczęło jej mocniej bić. Za kilka sekund będzie musiała powiedzieć Sophie wszystko i sprawić, by ta opowieść była do zniesienia. Gałka się przekręciła, Kate wstała z krzesła, a pierwsze słowa, które musi wypowiedzieć, już uformowały się jej na końcu języka.

Drzwi się otworzyły. Staął w nich George Hardwicke, chwiejąc się na nogach.

- Co, na Boga, tu robisz?

Stała jak sparaliżowana, niezdolna wydobyć z siebie słowa, patrząc w jego nabiegłe krwią oczy.

- Zaniemówiłaś?

Wszedł do pokoju. Przysunął twarz do jej twarzy i powtórzył:

- Co, na Boga, tu robisz? Cuchnął brandy.

- Mogłabym zapytać ciebie o to samo - powiedziała zimno.

- Och, rzeczywiście. Ale otrzymałabyś wtedy bardzo nieprzyjemną odpowiedź!

Schwycił ją za ramiona. W jego oczach zatańczyły czerwone iskierki.

- Pytam więc - powiedziała spokojnie - co robisz w pokoju Sophie?

- Pokoju Sophie? - Roześmiał się. - W moim pokoju! Ja go opłacam. Rozumiesz? To mój pokój. Co więc tutaj robisz?

- Przyszłam zobaczyć się z Sophie.

- Po co? »

- Muszę jej coś powiedzieć.

Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, w jego przekrwionych oczach pojawił się wyraz przebiegłej ostrożności.

- Co jej musisz powiedzieć?

- Powiedziałam, że jej... że muszę coś powiedzieć **jej**.  
- Mała suka! - Zacisnął ręce na jej ramionach. - Masz powiedzieć  
mnie. - Trzymał ją mocno i przypierał do ściany. - Co? Co jej musisz  
powiedzieć?

- Nie powiem ci.

- A właśnie że powiesz. Już ja cię do tego zmuszę. Coraz mocniej  
zaczął wykręcać jej ręce do tyłu, aż

skuliła się z bólu. - Powiedz mi, bo ci kości połamię!

- Dlaczego nie powiedziałaś Sophie, że jesteś żonaty? Na jego  
twarzy pojawiła się wściekłość. Z przekleństwem rzucił ją o ścianę.

- Próbujesz pouczać mnie, co mam robić, co? Ty suko, już ja cię  
nauczę! Na Boga, najwyższa pora, żeby ktoś to zrobił!

Przycisnął mocno usta do jej ust, zmuszając ją do rozwarcia warg.  
Dłońmi zaczął szarpać jej bluzkę. Poczula, jak jego ciało przyciska się  
do niej potwornie. Kopiąc go z całej siły Kate wrzasnęła najgłośniejsz  
jak mogła.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Zobaczyła błyszczące w  
spopielalej twarzy oczy Sophie. Teraz Sophie wrzeszczała:

- Puść ją! Puść ją!

Potem zaczęła bić George'a pięściami i podbiegła do biurka pod  
oknem.

Nad ramieniem George'a Kate zobaczyła jej uniesione białe ramię.  
W świetle lampy zabłysło coś srebrnego.

Uścisk George'a nagle zelżał. Stęknął, ale nie z gniewu, ani nie z  
pożądania. Potem zaczął ciężko osuwać się w przód i upadłby na  
ziemię, gdyby nie wyciągnęła ręk, by go podtrzymać.

W kącikach jego ust pojawiły się małe czerwone pęcherzyki i  
zaczęły spływać mu po wargach. Popatrzył na nią z wściekłością  
przekrwionymi oczami. Następnie głowa opadła mu na pierś. Jego  
ciężar stał się niemożliwy



do udźwignięcia. Musiała pozwolić mu upaść na podłogę. Opadł na nią niezdarnie, z otwartymi oczami, a krew nadal spływała mu na brodę cienką strużką. A kiedy spojrzała na własne dłonie, zobaczyła, że i one są zakrwawione.

## Rozdział XIX

Spróbuj opowiedzieć mi, co się stało, Kate. Własnymi słowami. Nie spiesz się.

To był głos jej męża, jednak musiała zmrużyć oczy, żeby być tego całkiem pewna. Miała wrażenie, że wszystko dzieje się daleko od niej, jakby przyglądała się tej scenie z niewłaściwej strony teleskopu. Znajdowała się w salonie w Baremar, jednak nie mogła sobie przypomnieć, jak się w nim znalazła, a ta odziana na biało postać w drzwiach, która prawie siłą powstrzymywała syngaleskiego policjanta, to Appu. Był jednak maleńki i znajdował się daleko, tak jak i głos jej męża dobiegał z bardzo daleka.

Jakby zdawał sobie sprawę, jak przerażająco odosobniona się czuje, William pochylił się do przodu i ujął jej ręce, ona jednak mu je wyrwała. Przypomniała sobie krew. Całe były zakrwawione.

- Muszę je umyć. - Próbowała wstać, jednak nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

William położył jej dłoń na ramieniu.

- Umyłaś je już, Kate. Wiele godzin temu.

- Tak, oczywiście. Teraz sobie przypominam. - Spuściła wzrok, żeby William nie dostrzegł histerycznych łez gromadzących się jej pod rzęsami. - Nie powinnam była jechać. Nie wydarzyłoby się to, gdybym nie

pojechała. - I na tym samym oddechu: - Czy on nie żyje?  
- Tak. Nie żył już, kiedy przyszedłem, Kate. Umarł natychmiast.  
- Tak myślałam. - Wzięła chusteczkę, którą podał jej William i otarła nią policzki. - Wyglądał, jakby... był... ale myślałyśmy, że może... miałyśmy nadzieję. - Przerwała nagle i z determinacją potarła twarz. - To nie było zamierzone, Williamie. Sophie nie chciała, żeby George umarł. Naprawdę, nie chciała tego.  
- Jestem tego pewny. - William położył na jej ręce swoją dużą, kojącą dłoń. - Całkiem pewny. To był nieszczęśliwy cios.  
- Och, tak. Och, bardzo nieszczęśliwy!  
- Wobec tego opowiedz mi o tym, żeby policjant to zrozumiał.  
Niechętnie, z bólem, powróciła w myślach do tych strasznych wydarzeń i z jej ust zaczęły wydobywać się urywane zdania.  
Wciągnęła powietrze i zamknęła oczy.  
- Czekałam w pokoju Sophie, kiedy George... przyszedł tam. Był pijany. Złapał mnie i próbował pocałować, a ja... próbowałam się od niego uwolnić... Wrywałam się. I kiedy się z nim szamotałam, weszła Sophie. Wydaje mi się, że na niego krzyknęła. On jednak mnie nie puścił. Potem wzięła nóż, żeby go powstrzymać. On zatoczył się i upadł. I wszędzie była krew... Sophie zaczęła krzyczeć... potem nadbiegli jacyś ludzie... Było mnóstwo bieżaniny i krzyków... Przyszedł kierownik... Był zły... Tak mi się wydaje, nie pamiętam. Wówczas już burza rozszalała się na dobre. Pamiętam tylko hałas i płacz Sophie... I to jak usiłowała ocucić George'a... Nie posiadała się z bólu... Nie chciała tego zrobić... Potem ty przyszedłeś i sierżant i... gdzie jest teraz Sophie? - Nagle powróciła do rzeczywistości.

- Williamie, czy Sophie przyjedzie tutaj? Nie może zostać w hotelu. Czy ktoś z nią jest?

Nawet kiedy ochrypłym głosem zarzucała go tymi pytaniami, jakaś część jej umysłu zaczęła odrzucać oszałamiające skutki szoku i odgadła, co się stało, zanim William odpowiedział spokojnie:

- Sophie została aresztowana.

- Ale to niesprawiedliwe! To śmieszne! - Rzuciła gniewne spojrzenie na stojącego w drzwiach policjanta.

- Dlaczego?

- Dlatego, Kate, że zabiła George'a Hardwicke'a.

- Nie miała takiego zamiaru.

- Nawet jeśli nie miała takiego zamiaru, śledztwo musi zostać przeprowadzone. Zrozumiesz to, kiedy się trochę prześpisz.

Ręka, która trzymała jej rękę, przesunęła się, by zbadać jej puls. Wyrwała się.

- Nic mi nie jest. - Zaciśnęła pięści. - Gdzie ją zabrali?

- Na miejscowy posterunek policji.

- Koło tarowiska? Ale to okropne miejsce. Jak długo będą ją tam trzymać?

- Tego nie wiem. Dowiem się.

Mała postać obok Appu urosła nagle do normalnych rozmiarów sierżanta policji i weszła do pokoju. Coś szepnęła Williamowi na ucho.

- Prawdopodobnie będą ją tam trzymać, dopóki nie zostanie oskarżona, Kate. Potem zabiorą ją do więzienia w Kandy - powiedział William zmęczonym głosem, jakby ciężar całej sprawy spadł na jego barki.

Tym razem Kate udało się wstać. Nogi jej drżały, jednak zdołała się jakoś na nich utrzymać.

- Chcę się z nią zobaczyć. Dlaczego zabierają ją do Kandy?

Odpowiedział jej sierżant, nie William.

- Ponieważ będzie oskarżona o bardzo poważną rzecz, memsahib. Bardzo poważną.

- Jaką, sierzancie?

- O morderstwo, memsahib. Och, tak, tak, oskarżą ją o morderstwo.

- Ale - zaprotestowała Kate ochryplym szeptem, szeroko rozwartymi oczami wpatrując się to w jednego, to w drugiego, jakby obaj postradali zmysły - ale przecież ludzi wieszają za morderstwo.

Policjant uśmiechnął się uspokajająco.

- Och, nie, nie, memsahib. Jest sprawiedliwość. Wspaniałe sądy, cudowni sędziowie. Tylko jeżeli zostanie uznana winną morderstwa, zostanie memsahib skazana na powieszenie.

Wiadomość o zamordowaniu George'a Hardwicke'a i prawdopodobnej karze śmierci dla morderczyni niczym błyskawica obiegła Rangawellę. Nie było ani jednej osoby, która nie byłaby nią poruszona. Administracja brytyjska, i tak już aż nadto boleśnie świadoma kłopotów Imperium w Afryce, była przerażona możliwymi konsekwencjami tego wydarzenia, plantatorzy byli oburzeni, misjonarze przygnębieni, wojskowi oszołomieni, podczas gdy miejscowa ludność przyglądała się i czekała, by zobaczyć, co osławiona brytyjska sprawiedliwość zrobi w sprawie powieszenia jednego z Brytyjczyków. Już szeptano na wiejskich targowiskach i przy strumieniach, gdzie prano, że chociaż Brytyjczycy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy powiesili trzech Syngalezów i dwóch Tamilów, znajdą jakąś furtkę dla morderczyni, ponieważ jest Brytyjką.

W ciągu dwudziestu czterech godzin, jakie Sophie była przetrzymywana w więzieniu w Rangawelli, w zakratowane okna rzucano kamieniami. Wraz z zapadnięciem ciemności słychać było jednostajny śpiew, jednak

sierżantowi policji udało się ją bez przeszkód przetransportować zamkniętym powozem najpierw na stację, a stamtąd do więzienia w Kandze. Złowróżbnym jednak znakiem było pojawienie się przybitych do drzew wysuszonych palmowych liści, takich jakie ostrzegały

O wybuchu powstania w 1858 roku. Anonimowa ręka wypisała na nich: "Śmierć dla wszystkich morderców albo śmierć dla nikogo!"

Wielebny Purvis, który wracał na rowerze z cmentarza po uroczystym pogrzebie Hardwicke'a, w którym uczestniczyli tylko mężczyźni, zobaczył jeden z nich na szlabanie kolejowym. Zerwał go i wziął ze sobą do domu, żeby pokazać Edith.

W ostatnich czasach często przynosił jej różne rzeczy. Przynosił dzikie kwiaty i piórka ptaków, sugerując, by je zaszuszyła i posłała do Anglii do kościoła, który ich wspierał. Dwa dni temu, co było niezwykle rozrzutne, gdyż krucho było z pieniędzmi, kupił jej na targu ładny koronkowy kołnierz. Wszystko jednak nadaremnie. Nigdy nie interesowała ją upiększanie się, powiedziała mu, odpychając na bok kołnierz. Nie chciała też wysyłać niczego do kościoła w Anglii. Ładne kwiaty i piórka wywołują mylne pojęcie o życiu tutaj. Cóż oni mogą wiedzieć o niebezpieczeństwach czyhających na ciało i duszę?

W listach do domu pisała właśnie o niebezpieczeństwach czyhających na ciało i duszę. To o nich wykrzykiwała przez sen. Pozornie spokojna i wdzięczna za wyzdrowienie Wiktorii, Edith Purvis przeżywała duchowe katusze z powodu wyrzutów sumienia i ze strachu, że sprzedała swą duszę Złemu. Bała się wejść do kaplicy w obawie, że sam Bóg każe jej wyjść niczym nieczystemu duchowi. Łatwo było zauważyć, że kiedy wielebny Purvis grzmiał w czasie swojego kazania, nikt nie drżał tak gwałtownie jak jego żona. Lekcje katechizmu

były dla niej udręką, gdyż w czasie każdego czytania Biblii Pan przypominał jej o złu, jakie Mu wyrządziła. Źle spała. Opuścił ją zdrowy niegdyś apetyt. Chudła coraz bardziej, w miarę jak dziecko robiło się coraz pulchniejsze i ładniejsze.

Zamordowanie George'a Hardwicke'a wywołało u niej dziwną reakcję.

- Musiało dojść do czegoś takiego - powiedziała.

- Przecież ona o mało nie zamordowała Wiktorii. -Wielebny Purvis przekonywał samego siebie, że jest to skutek napięcia nerwowego, upału i przepracowania, jednak jej wypowiedź bardzo go zdziwiła.

Teraz Edith wzięła liść, jaki podał jej mąż i powiedziała:

- Mają rację, Arnoldzie. Całkowitą rację. Gdyby to jakaś syngaleska kobieta zamordowała syngaleskiego mężczyznę, nikt by tego nie kwestionował. Nic się nie będzie dobrze układało, dopóki nie pozbędziemy się tej morderczyni.

- Nie powinnaś tak o niej mówić, Edith. Prawo naszego kraju mówi, że jest niewinna, dopóki nie udowodni się jej winy.

- Oczywiście że jest winna, bez względu na to, czy zostanie to udowodnione, czy nie. Prawo na pewno to potwierdzi. Winna! A wówczas, jeśli mają dość rozumu, powiesz ją.

- Edith! Edith! - Wielebny Purvis zakrył twarz dłońmi.

- Gdzie twoje chrześcijańskie miłosierdzie? Twoja miłość do Jezusa?

Edith nic nie odpowiedziała, jednak otworzyła usta i poruszyła pobladłymi wargami. Zdawały się układać w jedno nieme słowo: „Przeminęła”.

W tej właśnie chwili wielebny Purvis, chociaż głodny i zmęczony, wyszedł, ponownie wsiadł na rower, pojechał w dół do Rangawelli, a następnie w górę, długą, krętą drogą prowadzącą do bungalowu Warrenderów.

Doktor skończył już przyjmowanie pacjentów i był w trakcie posiłku, poszedł jednak z Arnoldem do gabinetu. Pozornie wielebny Purvis przyszedł, żeby mu pokazać liść, ale równocześnie po to, żeby błagać doktora, by dał mu coś, co sprawi, że jego żona znowu będzie sobą.

W ciągu nocy pojawiło się jeszcze więcej liści. Major Carlton znalazł jeden przypięty do wielkich drewnianych wrót obozu jenieckiego. Zerwał go i zdeptał butem. Podobnie jak Edith Purvis, chociaż z odmiennych powodów, zżerało go poczucie winy. Gdyby nie powiedział Kate, że George jest żonaty, nie doszłoby do morderstwa. Nie tylko złamał tajemnicę wojskową, ale także przyjął w stosunku do Kate opiekuńczą rolę, która teraz należała do Williama.

Od czasu morderstwa widział się z Williamem raz. Skoro tylko dowiedział się o nim, natychmiast pojechał do bungalowu Warrenderów. Kate spała, a policjant już sobie poszedł. Tylko William był na nogach. Wysłuchał beznamietnie relacji Richarda i jego przyznania się do winy, po czym powiedział spokojnie:

- Zrobiłeś, co uważałeś za słuszne, Richardzie. Sam bym tak postąpił. Teraz proponuję, żebyś o wszystkim zapomniał. Obwinianie siebie może być luksusem. Jeżeli będziesz obwiniał siebie, Kate także zacznie się obwiniać. Zostaw ją przez chwilę w spokoju. Daj jej czas, by przyszła do siebie, a wówczas wszyscy zobaczymy, jak się sprawy ułożą.

Sprawy nie układały się jednak pomyślnie. Krążyły różne pogłoski. Pewne jedynie było to, że skrzypiące koła sprawiedliwości zaczęły się obracać i jedynie Pan Bóg wiedział, kogo w końcu zmiażdżą. I bez względu na to, co mówił William, major czuł się częściowo odpowiedzialny, jeżeli nie za samo



morderstwo, to z pewnością za wmieszanie Kate, i w mniejszym stopniu Williama, w hańbiącą sytuację.

William Warrender także znajdował liście w różnych miejscach. Pojawiały się, jak kwaśno powiedział do siostry MacGregor, niczym jedna z siedmiu plag egipskich. Znacznie mniej ich jednak znajdowano w obrębie szpitala niż w mieście. Pacjentów bardziej interesowało przeżycie niż sprawiedliwość. I rzeczywiście dwa dni później Sophie została oskarżona o morderstwo, i większość liści zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

- Nie siedź w domu, Kate, i nie myśl o tym - powiedział William, kiedy przekazał jej tę wstrząsającą nowinę. Od czasu morderstwa nie opuszczała bungalowu, chodząc po domu jak we śnie.

Jeżeli William próbował przedrzeć się do niej przez ten sen, nie zdawała sobie z tego sprawy. Uważała, że oskarżenie Sophie o morderstwo jest ostateczną katastrofą. W istocie, Edith Purvis, jej jedyny gość w tych strasznych dniach, tak jej to przedstawiała.

- Musisz zdać sobie sprawę, Kate, że sprowadziłaś na biednego doktora Warrendera jedynie hańbę. I sprowadziłaś hańbę, jeśli mogę tak to ująć, na całą brytyjską społeczność. Sprawiedliwość zajmie się już panną Simpson. Ty jednak także musisz odejść. Po procesie, jeśli masz odrobinę przyzwoitości, wyjedziesz. Wówczas doktor Warrender będzie mógł zająć swe właściwe miejsce pośród nas.

Kate miała wrażenie, że taka panuje powszechna opinia.

- Czy chcesz, żebym wyjechała? - raz po raz pytała Williama, a on za każdym razem udzielał jej takiej samej odpowiedzi.

- Jesteś świadkiem na procesie, Kate, nigdzie nie możesz jechać.

- Ale potem? Odpowiadał tylko:

- Zobaczymy.

Co jednak mieli zobaczyć? Przez trzy dni jej skołatany umysł rozważał różne cząstkowe możliwości. Cząstkowe dlatego, że jej umysł nie był teraz w stanie wszystkiego przemyśleć w całości. Przepęłniały go jaskrawe, ostre, bolesne obrazy, przypominające rozbity witraż. Sophie zostanie uniewinniona i będzie potrzebowała kogoś, kto z nią zamieszka, chociaż nie wiedziała gdzie. Sophie dostanie lekki wyrok za zabójstwo w afekcie, który, jak jej to powiedział chyba William, będzie mogła odbyć w Anglii. Sama Kate wróci do Megan. Może przyjedzie odwiedzić ją Richard. Nagle wyobraziła sobie, jak pod numer 7 przy Vernon Close zajeżdża powóz i wysiada z niego Richard, nie William. Nic jednak nie pasowało, nic nie wydawało się właściwe.

- Czy słuchasz, co do ciebie mówię, Kate? Powinnaś wychodzić za dnia. Stawić czoło okolicznościom, takie jakie są. Jedź ze mną do szpitala czy do przychodni, tak jak to niegdyś robiłaś.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Zwiedziłam już cały szpital - odparła - a przychodnie są za daleko.

Postanowiła jednak, że wyjdzie. Bez Williama. Sama.

Sześć dni po morderstwie kazała Samuelowi podprowadzić powóz. Miała zamiar pojechać do Rangawelli na zakupy. Samuel skinął głową, skłonił się nisko i powiedział szeptem: - Tak, memshib. - Nadal miał szarą i ponurą twarz. Było to dziwne zjawisko, jakie zauważyła u Tamilów. Nieszczęście sprawia, że ich czekoladowa skóra przybiera potworny szary kolor. William wyjaśnił jej nieszczęście Samuela. Tamilowie niezwykle boją się śmierci. Śmierć jest dla nich

obsceniczna. Śmierć z ręki kobiety jest jeszcze bardziej obsceniczna.

- Ale on jest chrześcijaninem.

- Na powierzchni tak, jak większość nas. Pod spodem jednak nadal trwają dawne wierzenia.

Ale to tylko William próbował wyjaśnić jej rzecz niemożliwą do wyjaśnienia. Nie chodziło jedynie o Samuela, chodziło o Appu - o wszystkich. Nawet, może najbardziej ze wszystkich, o samego Williama. Wszyscy odsuwali się od niej, gdyż była wmieszana w taki nienaturalny czyn. O ironio, jedynymi ludźmi, którzy się od niej nie odsunęli, byli Purvisowie - pani Purvis, ponieważ ją nienawidziła i chciała mieć pewność, że pozbędzie się jej na dobre, i brzydki, sapiący wielebny Purvis, ponieważ postanowił okazywać miłość, a może zaliczyć ją do uratowanych duszyczek.

- Sama pojedę, dziękuję ci, Samuelu - powiedziała Kate, starając się nie dostrzec wyrazu ulgi, jaki odmalował się na twarzy chłopca. - Jeśli doktor Warrender wróci, powiedz mu, że będę przed podwieczorkiem.

Przez cały czas powolnej jazdy miała ściśnięty ze strachu żołądek. Wszyscy znali powóz Warrendera, wszyscy znali ją. Bała się, że poczuje, jak zarówno krajowcy jak i Brytyjczycy odsuwają się od niej, jakby była trędowata, bała się, że zobaczy na twarzach Brytyjczyków nie skrywaną pogardę, a iskrę nienawiści w oczach Tamilów i Syngalezów.

W nocy padało, kwiaty więc i krzewy pachniały niemal mdląco słodko. Pozostałości wczorajszych chmur zgromadziły się u podnóża Góry Adama tworząc szare, pierzaste kłęby niczym rozbijające się fale. Zamieniały szczyt w bezcielesną wyspę, odległą i mistyczną, która równocześnie przerażała ją i przywoływała. Zjechała niżej i odczuła ulgę, a zarazem dziwną stratę, kiedy budynki Rangawelli przesłoniły górę.

Pojechała prosto na targowisko, przywiązała konia pod drzewami i weszła do Browna. Sam sklep stanowił test, jaki sobie wyznaczyła. Wejdzie do środka i pójdzie schodami na górę do jednego ze stoisk, które nadzorowała Sophie. Kupi trochę wstążek, jedwabiu, jakieś szpilki, co jej wpadnie do ręki. Uzbroi się przed spojrznięmi sprzedawców, niechętnym wzrokiem kierownika. Jak powiedziała jej pani Purvis, zwłaszcza kierownik był bardzo zły. Jego sklep został za zawsze pohańbiony. Obroty gwałtownie spadły.

Dzisiaj rano nie można było odnieść takiego wrażenia, a wręcz przeciwne. Może klientami powodowała niezdrowa ciekawość, gdyż cała sprawa nabrała światowego rozgłosu, a może chodziło o to, że od parad z okazji Dnia Imperium dzieliły ich zaledwie dwa dni. Obojętnie co było tego powodem, sam sklep, a w szczególności dział kobiecy, był zapchany ludźmi.

Błada i drżąca, Kate dzielnie zniosła dziesiątki okrutnie wpatrzonych w nią oczu. Tłum rozstąpił się przed nią niczym Morze Czerwone, kiedy podchodziła do lady z pasmanterią, a panie przygarnęły do siebie suknie, odwróciły się do niej plecami i odsunęły. Kate wzięła paczkę szpilek jako przedmiot, który znajdował się najbliżej i wręczyła sprzedawcy jedną rupię. Ponieważ szpilki kosztowały osiemdziesiąt trzy centy, musiała czekać na wydanie reszty i dopiero wówczas zdołała uciec.

Stała na stopniach sklepu i z ulgą wdychała mocne zapachy targowiska. Po chwili zaczęła przechadzać się pomiędzy straganami. Podobnie jak u Browna, pełno tu było ludzi. Tutaj jednak, chociaż z oczu handlarzy wyzierała nienawiść, zmuszali się do niskich ukłonów i uśmiechów. Częściowo po to, by pokazać Williamowi, że dzielnie robiła zakupy,

kupiła nowe maty z rafii i trochę bawełny, kiedy nagle rozległy się armatnie wystrzały.

Natychmiast rozpętało się piekło. Odleciały wrony i gołębie gromadzące się wokół straganów. Zaprzężone do wozów konie zarżały. Przewrócono stragany, a ludzie zaczęli krzyczeć i gestykulować, wskazując palcami fort na wzgórzu.

Powyżej obwarowań, wyraźnie widoczny na niebieskim niebie, zawisł obłok po wystrzałach. Hałas narastał. Zniknęły teraz nawet pozory uśmiechów. Zaniepokojona, Kate rozejrzała się dookoła. Zorientowała się, że jest jedyną Europejką w tłumie krzyczących, podekscytowanych krajowców. Zaczęła przepychać się w stronę powozu, powtarzając coraz bardziej piskliwym głosem:

- Proszę mnie przepuścić!

Wówczas dostrzegła wysoką postać zmierzającą w jej stronę i równocześnie dobiegł ją odgłos kościelnych dzwonów.

- Richardzie! - krzyknęła.

Na widok brytyjskiego oficera tłum rozproszył się. Kate miała wrażenie, że nastawienie otaczających ją ludzi zmieniło się, jakby przedtem wszystko było igraszką jej wyobraźni.

- Droga, niemądra Kate! - powiedział Richard, chwytając ją za rękę i biorąc pod ramię. - Samuel powiedział mi, że pojechałaś na zakupy. Dlaczego nie wzięłaś go z sobą? Przyjechałem, żeby przekazać ci wiadomość. Dobrą wiadomość. Mafeking jest wolne. Armia będzie to świętować od dzisiaj aż do Dnia Imperium.

Zobaczył wyraz jej twarzy i jego uśmiech zamarł.

- Chodź - powiedział. - Zabiorę cię do domu. Wiem, że nie masz teraz czego świętować. Ale to jest zwycięstwo i musimy być za nie wdzięczni.

Uśmiechnęła się, kiedy pomagał jej wsiąść do powozu.

- Jestem wdzięczna - powiedziała. - Jestem wdzięczna, że teraz nie będziesz miał poczucia, iż musisz pójść na wojnę.

Przyłożył jej dłoń do ust.

- Są to najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek ktoś mi powiedział.

Zarumieniła się, ponieważ może odczytywał tę uwagę inaczej, niż zamierzała.

- I jestem wdzięczna, Richardzie - ciągnęła, kiedy wskoczył na konia - że pojawiłeś się, kiedy się pojawiłeś. Zaczęłam się bardzo denerwować. Wszyscy nagle wydawali mi się tacy wrodzy, jakby wystrzelono do nich... i jakby nienawidzili...

Nie potrafiła mu tego wytłumaczyć, a Richard się roześmiał.

- Mam wrażenie, że poniosła cię wyobraźnia.

Stało się jasne, że nie poniosła ją wyobraźnia, kiedy znaleźli się w połowie wzórza. Richard kazał jej się zatrzymać, żeby mogła podziwiać widok, gdy od stoków góry zaczęły odrywać się chmury, tworząc galaktykę maleńkich, poruszających się tęcz. On sam już zeskoczył z konia.

Wszystko było niezwykle spokojne. W obmytym deszczem powietrzu niosły się dźwięki, odgłosy z fabryki lemoniady, stukot lokomotywy, bicie kościelnych dzwonów, skrzeczenie kruków. Wówczas, kiedy wysiadała z powozu, zdała sobie sprawę z bardzo bliskiego dźwięku. Coś, co szeleściło, kiedy się poruszała. Coś, co było przyczepione do niej. Podciągnęła spódnicę, żeby zobaczyć, co to jest. Liść.

Krzyknęła z oburzeniem, po czym zaczęła szarpać za ohydny rzecz. Dalej jednak przywierała do materiału kawałkami gumy, która z kolei przywarła jej do palców. Nagle to wszystko było ponad jej siły. Zaczęła szlochać głośno i ze złością.

Richard objął ją ramionami, najpierw po to, żeby ją pocieszyć, a potem całował jej włosy, czoło, policzki. Po czym, jakby to wszystko było także ponad jego siły, uniósł do góry jej brodę i pocałował w usta z desperacją i bez zahamowań.

Po chwili Kate zdała sobie sprawę, że kościelne dzwony przestały bić. Chwila oczarowania, jeśli to było to, skończyła się gwałtownie. Oparła dłonie o pierś Richarda, a on ją natychmiast wypuścił. Zaczęła zdrapywać liść, a kiedy się od niego uwolniła, wziął go Richard.

- Powiedz mi, co jest na nim napisane, Richardzie - poprosiła.

Potrząsnął głową.

- To po syngalesku. Nie znam za dobrze tego języka.

- Ależ znasz. I jeśli mi nie powiesz, poproszę o to Williama. Wolałabym jednak, żebyś to ty mi powiedział.

- Jest tu napisane - zaczął powoli - "Śmierć Brytyjczykom". - Ze złością zmiął liść w palcach i go odrzucił. - Jeśli Sophie wyjdzie na wolność, wykorzystają to jako pretekst do krwawego powstania.

Plotka głosiła, że obchody Dnia Imperium w 1900 roku miały być odpowiedzią Brytyjczyków na liście. Nikt w Rangawelli nie pamiętał bardziej okazałych. W rzeczywistości, jak przepowiedział to Richard, były kulminacyjnym punktem nieprzerwanego świętowania, rozpoczętego wraz z wyswobodzeniem Mafeking. Fakt, że zarówno na prywatnych przyjęciach, jak i na publicznych wojskowych paradach rozlegał się szczeł szabel, wcale nie umniejszał nastroju ogólnej radości.

W Klubie Plantatorów nie zapomniano o tym, że George zginął z ręki swojej utrzymanki, a wręcz przeciwnie pamiętano o tym, że jego morderczyni nadal żyje, i że w jej przypadku, tak jak w przypadku Burów,

sprawiedliwości musi stać się zadość. Kiedy przy brandy wznoszono toasty za generałów Roberta i White'a, Kitchenera i Carringtona, tak i zaciskano pięści i pito na pohybel Burom i, z największą goryczą, Sophie Simpson.

Zarówno oficerowie jak i szeregowcy 8. Pułku Huzarów, wspaniali w granatowo-złoty mundurach, podążający za dwudziestoosobową orkiestrą, dzielali te uczucia, kiedy przechodzili przez rozpalone do czerwoności, zakurzone ulice Rangawelli w drodze na poranną ceremonię oddania honorów fladze na głównym placu.

Czyn tej Simpson utrudnił wszystkim pracę i poniżył Brytyjczyków w oczach miejscowej ludności. Nie było bowiem nic, o czym wiedział każdy żołnierz, co mogłoby bardziej pohańbić okupujące wojska czy też mężczyznę, niż niemożność kontrolowania własnych kobiet.

Za 8. Pułkiem z fortu szedł oddział z obozu jenieckiego, a za nimi Korpus Strzelecki Cejlońskich Plantatorów, z kobziarzami w spódniczkach i w niedźwiedzich czapach. Co do jednego, bez żadnego rozkazu, przyłożyli prawą dłoń na serce i pochyłili głowy, kiedy przechodzili obok hotelu, po czym, dziesięć kroków dalej, ponownie je podnieśli i oddali cześć brytyjskiej fladze. Ta kolejność wyniosła George'a Hardwicke'a na wyżyny szacunku, jakim nigdy nie cieszył się za życia i postawiła na równi z poległymi w bitwie bohaterami.

Parada minęła kilka szkół, w których we wszystkich bez wyjątku - anglikańskich, protestanckich, katolickich, dzieci powiewały małymi brytyjskimi flagami.

- Flaga, nad którą słońce nigdy nie zachodzi - powiedziała Edith Purvis swoim małym uczniom, każąc im powtarzać po sobie magiczne słowa, przyglądając się, jak niektórzy z nich patrzą przez okno na słońce,



jakby spodziewali się, że nigdy nie zajdzie. - Nigdy nie zachodzi, dzieci - powiedziała im, marszcząc czoło na ich pogańską głupotę - ponieważ Imperium Brytyjskie obejmuje cały świat.

Nie potrafili tego, oczywiście, zrozumieć. Podobały im się czerwone, białe i granatowe wstążki, które zawiesiła na żelaznych krokwiach. Robili wrażenie, jakby sprawiało im przyjemność maszerowanie w takt wybijanych przez nią na pianinie wzruszających dźwięków „Brytyjskiego grenadiera.” Przypominali wówczas żołnierzy, których widzieli na ulicy. Z chęcią, jeden po drugim, pokłonili się wiszącemu na ścianie portretowi królowej Wiktorii, nawykli bowiem do pokłonów.

- A kto to jest, dzieci?

- Nasza wielka Matka za morzem.

Ale nawet wówczas, kiedy niezdarnie wymawiali te słowa, bili pokłony i śpiewali „Boże, chroń Królową” do akompaniamentu Edith, ich myśli były już przy znacznie ważniejszym święcie, które miało się odbyć za cztery dni, przy urodzinach Buddy. Kiedy dźwięki wojskowej orkiestry i kobziarzy prowadziły żołnierzy z powrotem do fortu, przy stacji zaczęły się gromadzić tłumy. Strumień pielgrzymów, z których wiele podróżowało już od wielu dni, zbliżał się z każdego zakątka wyspy w stronę Góry Adama. Przybywali ciągniętymi przez woły wozami, pociągiem, powozami, małymi przybrzeżnymi łódkami, konno, na słońiach. Kiedy w trzy dni po zakończeniu obchodów Dnia Imperium zaszło słońce, rozpoczęła się pielgrzymka.

Stojąc obok Williama na werandzie ich domu, Kate i przyglądała się odległej poświacie ognisk u stóp góry, a następnie błyskowi, kiedy po raz pierwszy zapalono kamforowe flary. Jedna po jednej, tuzin za tuzinem, setka za setką, zapaliły się małe świetliki. Kate wyobraziła sobie idącego na przodzie ubranego

w pomarańczową szatę mnicha, przypomniawszy sobie śpiewy i okrzyki.

Nieuchronnie jej myśli skierowały się ku Sophie. Proces miał się rozpocząć za dziesięć dni. Zaciśnęła pięści i wlepiła wzrok w górę. Zastanawiała się, czy ma ona jakąś mistyczną moc, wysłuchuje wszelkich modlitw? Czy zmieni chociaż o jotę życie tych pielgrzymów z trudem wspinających się pod górę? A jeśli wejdą na szczyt, czy osiągną jakiś błogosławiony stan? Czy znajdą swego Boga?

William powiedział jej, że pielgrzymi zapalają świece i czekają na świt. Kiedy wstawał, najpierw były widoczne dwa cienkie promienie. Hindusi nazywali je Dasras, uzdrowiacze. Po nich potężny cień świętej góry przepływał przez wyspę. Po nim wschodziło słońce. Wygaszało światła wszystkich świec na szczycie góry, zbierając w jeden wielki blask. Następowła chwila, powiedział William, absolutnej ciszy i niewymownego spokoju. Po czym naraz zaczynały śpiewać ptaki, brzęczeć owady, ludzie modlić się i zaczynało się nowe, czystsze, jak mieli nadzieję, życie.

Teraz na tej odległej, czarnej górze setki światełek przerodziły się w tysiące. Niczym krople rtęci zlewały się tworząc srebrnego węża, który nieskończenie powoli wił się w stronę szczytu.

Gdzieś w tym wężu znajdował się Appu. Poprosił o pozwolenie odbycia tej pielgrzymki. Samuel poszedł do Purvisów na lekcje religii. Byli sami z Williamem.

Czekali na werandzie, aż pierwsza iskra światła dotrze na szczyt. Była to chwila, która bardzo wzruszyła Kate. Wzięła Williama za rękę, z nadzieją, że spojrzy na nią z czułością, która tak łatwo pojawiała się w oczach jego kuzyna. Chociaż jednak odwzajemnił lekki uścisk jej palców, sprawiał wrażenie oddalonego i zamkniętego

w sobie. Zbliżający się proces rzucał na nich równie potężny cień jak góra.

- Czy na procesie będzie gorzej, niż się spodziewałeś? - szepnęła. - Czy coś się stało? Coś, o czym mi nie powiedziałeś, Williamie?

Milczał przez chwilę, po czym powiedział spokojnie:

- Sophie chce przyznać się do winy. Jeśli będzie się przy tym upierała, nie będziemy mogli jej uratować.

## Rozdział XX

Proszę wezwać doktora Warrendera. - Woźny sądowy, ubrany w granatowy mundur, otworzył drzwi do poczekalni dla świadków i zwrócił się do całej szóstki wysokim, śpiewnym głosem: - Doktor William Warrender.

Kate usłyszała, jak westchnął z ulgą. Czekali przez ostatnie półtorej godziny, nie wiedząc, czy zostaną wezwani, czy nie. Jeżeli Sophie będzie upierała się przy wzięciu na siebie całej winy, nie będą potrzebni. Richard Carlton, w galowym mundurze, zachowywał milczenie. Pani Purvis powiedziała pani Arbuthnot, iż wątpi, by ich wezwano. Pan Jayasinji, kierownik hotelu, był tego samego zdania.

Zapadnie wyrok skazujący.

Podobnie jak Richard, William nic nie mówił. Siedział tylko i przysłuchiwał się im z ponurą twarzą. Od chwili morderstwa, kiedy Sophie została przewieziona do więzienia w Kandy, spędził wiele godzin dbając nie tylko o jej zdrowie fizyczne i starając się u władz więziennych o pewne dla niej udogodnienia i dodatkowe jedzenie, ale również próbując ją nakłonić, by zmieniła zdanie. Zabiła przecież George'a, powtarzała mu w kółko. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Jak może się nie przyznawać do winy?

Przysłany z Colombo obrońca robił co mógł, był jednak miody, dopiero co przybył z Anglii i nie bardzo zdawał sobie sprawę z faktu, jak bardzo okoliczności i środowisko mogły wpłynąć na tragedię.

Teraz William przez chwilę pochylił się nad nią.

- Mogą ciebie wezwać w następnej kolejności, Kate. Nie bój się. Nie daj im się prowadzić. Po prostu powiedz, co widziałaś. - Rzucił jej lekki, odległy uśmiech, kiedy drzwi się za nim zamykały. Uśmiech pełen współczucia, jednak pozbawiony bliskości czy czułości.

Richard pozostał po drugiej stronie poczekalni, bez wątplenia świadom plotek, jakie wokół nich krążyły. Gdyby teraz podszedł i usiadł obok niej, dolałby tylko oliwy do ognia. Siedział nieruchomo, pogrążony w całkowitym milczeniu, nie patrząc na nią, jakby zastanawiał się nad pytaniami, jakie mogą mu zadać, i jakich na nie powinien udzielić odpowiedzi. Przy przesłuchiwanie z pewnością zostanie poruszony fakt, że towarzyszył zarówno jej jak i Sophie - co wydarzyło się w Klubie Plantatorów i w czasie wycieczki na wyspę. Mogło również wyjść na jaw, że odkrył w papierach George'a Hardwicke'a, że jest żonaty, i że złamał tajemnicę wojskową mówiąc jej o tym.

- Major Carlton.

Kiedy wychodził, rzucił jej ciepły uśmiech, to wszystko. Kiedy tylko wyszedł, atmosfera w poczekalni zmieniła się w subtelny sposób. Pozostała trójka sprawiała wrażenie, jakby zwarła przeciw niej szeregi. Edith Purvis zaczęła robić na szydełku różowo-biały czepeczek dla Wiktorii. Pan Jayasinji pogratulował jej zręcznych palców.

- Jaka to przyjemność widzieć, że dama para się godnymi damy zajęciami.

Hindusi żywili przekonanie, że kobiety są czymś najniższym z najniższych, jednak kierownik nauczył się od

Brytyjczyków ukrywać swe przekonania. W duchu nadal uważał, że mężczyźni są wszechwładni. Pod koszulą nosił na szyi amulet. Kobiety były nieczyste, po porodzie i w czasie menstruacji przebywały w odosobnieniu. Wdowom nie wolno było ponownie wychodzić za mąż. A dla kobiety, która zabiła mężczyznę, nie było dość surowej kary. A ponieważ sama śmierć jest nieczysta, trzeba było okadzić i oczyścić apartament Sophie. A po całym tym rozgłosie, kto teraz zapłaci dobre pieniądze, żeby w nim spać?

Na zewnątrz Kate słyszała skrzypienie wozów, wieczny stukot i dreptanie stóp na dziedzińcu sądu, a także skrzeczenie kruków. Przez okno poczekalni widziała wieżę kościoła w Kandy, identyczną jak wieża parafialnego kościoła w Headigley. Tuż obok niej widać było ośmiokątny dach, białe filary i kolumny największej buddyjskiej świątyni, Dalada Malagawe.

Ponownie pojawił się woźny.

- Pani Purvis.

Edith podniosła się, skinęła głową pani Arbuthnot, zignorowała Kate i wyszła z poczekalni. William nie pojawił się.

O co będą pytali Edith?, zastanawiała się Kate. I co ważniejsze, co ona ma powiedzieć?

Z całą pewnością poproszą ją, by zidentyfikowała broń. Tak, powie, należała do panny Simpson. Kupiła ją w Gibraltarze wbrew jej radzie i dołączyła do reszty pamiątek, którymi się otaczała. Ich kajuta była tego pełna.

Pewnie spytają ją, kiedy poznała pannę Simpson. Co wiedziała na temat jej temperamentu? Czy wcześniej dochodziło do takich wybuchów? Jakie miała zwyczaje? Jaki był jej stosunek do mężczyzn? Czy widziała ją z panem Hardwicke'iem? Jakże, według niej, panowały między nimi stosunki? Czy miała jeszcze

jakichś mężczyzn-przyjaciół? Czy kiedykolwiek słyszała, by pan Hardwicke wspominał o małżeństwie? Z pewnością wyjdzie na jaw nieszczęsna przygoda w Neapolu. Prawie na pewno kankan na balu. Być może nawet piknik na wyspie.

- Pani Arbuthnot.

Woźny znowu powrócił, a po czole spływał mu pot. Pan Jayasinji łaskawie odezwał się do niej.

- I kto będzie ostatni, pani Warrender?

- Ja będę - powiedziała. - Ja będę ostatnia.

- Nie, nie, nie... - zprzeczył pan Jayasinji próbując okazać się rycerski. - Panie przodem! Ja będę na końcu.

Drzwi otworzyły się ponownie.

- Pan Jayasinji.

Kierownik hotelu wstał, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że takie postępowanie nie miało z nim nic wspólnego. Drzwi się za nim zamknęły i Kate została sama.

Zbliżało się południe i pomimo wielkiego wiatraka obracającego się pod sufitem, w poczekalni panował zaduch. Krzyki dobiegające z zewnątrz stawały się głośniejsze.

Kate czuła się bardzo samotna. Gdyby tylko William wrócił. Miała nadzieję, że skończy się napięcie oczekiwania, a zarazem miała nadzieję, że się nigdy nie skończy. Pragnęła zobaczyć Sophie, a zarazem bała się tego, co zobaczy. Chciała jej pomóc, jego okropną pomyłkę, że w ogóle morderstwo, chciała przekonać ich o a równocześnie czuła własną słabość i niemoc.

- Pani Warrender.

Zaschło jej w ustach. Kiedy podniosła się, poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Jak we śnie podążyła za granatowymi plecami woźnego wyłożonym

pokazać sądowi sędzi Sophie za jej niewinności -

kamiennymi płytami korytarzem, weszła po sześciu schodkach i podeszła do drzwi, które nagle się otworzyły.

Początkowo odniosła wrażenie, że znalazła się w świątyni zbudowanej z drewna tekowego. Drewniane filary, drewniana galeria, drewniana ława dla świadków, drewniana ława sędziów przysięgłych, drewniane podium, na którym siedział sędzia w szkarłatnych szatach i z białą peruką na głowie. Jednak na środku tej świątyni znajdowała się metalowa klatka, w której pomiędzy dwoma syngaleskimi policjantami stała postać z pochyloną głową.

Wówczas zdała sobie sprawę z otaczających ją zewsząd twarzy, na galerii, w ławie dla dziennikarzy, w głębi sali. Zobaczyła Williama siedzącego obok obrońcy. Z ławy przysięgłych z dziewięciu twarzy - siedmiu białych i dwóch ciemnych - wszyscy mężczyźni - spoglądało na nią dziewięć par oczu.

- Proszę się przybliżyć.

Ciemnoskóry Tamil, ubrany w czarną togę i białą perukę, zaprowadził ją do ławy dla świadków.

Zamknęły się za nią drzwi. W lewą rękę wsunięto jej Biblię, w prawą kartkę z przysięgą po angielsku, syngalesku, tamilsku.

- Przysięgam na Boga Wszechmocnego, że świadectwo, jakie dam, będzie prawdą, całą prawdą i tylko prawdą.

Rozległ się szelest, kiedy wszyscy siadali, by się jej przyjrzeć i przysłuchać.

Podszedł do niej mężczyzna o opalonej, dziecinnej twarzy i w tej śmiesznej białej peruce.

- Nazywa się pani Katherine Warrender?

- Tak.

- Mieszka pani w Braemar, Rangawella?

- Tak.



- Jest pani żoną naszego pierwszego świadka, doktora Warrendera?

- Tak.

- I przyjaciółką oskarżonej? Powiedziała trochę głośniej:

- Tak, jestem.

Na moment Sophie podniosła wzrok, jakby zdała sobie sprawę, kto teraz stoi w ławie dla świadków. Obdarzyła Kate uśmiechem, który był tak blady i bezosobowy, że Kate odpowiedziała na niego szerokim, zachęcającym uśmiechem i uniesieniem ręki w geście pocieszenia i solidarności.

To był jej pierwszy błąd. Zobaczyła, jak sędzia unosi brwi, a członek jury, zasłaniając sobie usta dłonią, mówi coś do sąsiada.

- Nie chcę iść dalej w tym kierunku, wysoki sędzie. Przynajmniej na tym etapie, chociaż może wrócę do tego tematu. - Przerwał. - Jeśli to będzie konieczne. Chciałbym teraz pominąć wydarzenia ostatnich czterech miesięcy i skoncentrować się na wieczorze czternastego maja. W ów wieczór znajdowała się pani w bungalowie sama, pani Warrender?

- Tak.

- Pani mąż przebywał w szpitalu?

- **Tak.**

- I wówczas po ciemku popędziła pani nagle do hotelu w Rangawelli. Dlaczego pani to zrobiła?

- Dowiedziałam się czegoś, co dotyczyło oskarżonej. Czegoś, co jak wiedziałam, bardzo ją zmartwi.

- Od kogo?

Kate zawahała się.

- Od majora Carltona. Niespodzianie przyjechał do bungalowu.

- Chociaż nie było pani męża?

- Tak.

- Jaki był cel wizyty majora?
- Chciał nam coś powiedzieć i poprosić o radę.
- I co pani powiedział?
- Że pan Hardwicke jest żonaty.
- Dlaczego to pani powiedział?
- Ponieważ przyjaźnimy się z panną Simpson.
- Z oskarżoną?
- Tak.
- A ona miała zamiar wyjść za mąż za pana Hardwicke'a?
- Tak.
- Dlaczego?
- Bo ją o to poprosił.
- Skąd pani o tym wie?
- Powiedziała mi. Byli zaręczeni.
- I pani jej uwierzyła?
- Oczywiście, że jej uwierzyłam.
- Nikt więcej o tym nie wiedział?
- Pragnęli utrzymać to w tajemnicy.
- Czy pokazała pani pierścionek zaręczynowy?
- Nie. Mieli pojechać do Kandy, żeby go kupić.
- Czy powiedziała to pani?
- Tak. Tego samego ranka, kiedy to się stało.
- Pan Hardwicke nie powiadomił jednak pani o tych zaręczynach?
- Nie.
- Czy istniały jakieś rzeczywiste dowody na to, że dojdzie do małżeństwa?
- Zgromadziła wyprawę. Suknie, bieliznę, kapelusze, mnóstwo rzeczy.
- Ona je kupowała?
- Tak.
- Śmiem twierdzić, że wymyśliła sobie te zaręczyny.
- Z pewnością nie. Prokurator uśmiechnął się.

- Dobrze, przejdźmy do tego, co stało się po tym, jak major Carlton przekazał pani wiadomość.

- Powiedziałałam mu, że pojadę do hotelu w Rangawelli.

- Chciała jej pani o tym powiedzieć, zanim sama się dowie?

- Tak.

- Ponieważ bała się pani tego, co może zrobić panu Hardwicke'owi?

- Nie! Ponieważ wiedziałam, że będzie potwornie rozczarowana, a lepiej usłyszeć rozczarowującą wiadomość z ust przyjaciółki.

- Tak więc poszła pani do jej pokoju.

- Tak.

- Jako jej przyjaciółka była pani w nim już wielokrotnie?

- Nie.

Prokurator wyglądał na zdziwionego.

- Z pewnością nie był to pierwszy raz?

- Obie byłyśmy zajęte. Panna Simpson pracowała w ciągu dnia.

- Czy zastała ją pani w pokoju?

- Nie.

- Czekala więc pani na jej przybycie?

- Tak.

- Jednak zamiast oskarżonej wszedł pan Hardwicke?

- Tak. I był pijany.

- Skąd pani wie, że był pijany?

- Poczulałam jego oddech. I złapał mnie. Próbował mnie pocałować i...

- Czy wcześniej próbował panią pocałować?

- W zabawie. Pan Hardwicke był tym rodzajem mężczyzny, który całuje wiele dziewcząt dla zabawy. Na przyjęciach. Na balu.

- Dlaczego tym razem nie miałyby to być zabawa?

- Ponieważ tak nie było. I on wiedział, że to nie zabawa. Przysunął mnie do ściany. Zaczął... zaczął być nachalny.

- Kiedy wiedział, że w każdej chwili może wejść jego przyjaciółka?

- Był pijany.

- I co się potem stało?

- Weszła oskarżona. Była bardzo blada. Oszołomiona. Jakby zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. A jednak nie widziała... jeśli wie pan, o co mi chodzi.

- Obawiam się, że nie, proszę pani. Albo się widzi... albo się nie widzi. Czy chce pani powiedzieć, że oskarżona zobaczyła, co się dzieje? Czy też nie zobaczyła?

- W pewien sposób zobaczyła, tak. I sędzę, że pomyślała sobie...

- Nie obchodzi nas to, co pani pomyślała sobie, że ona pomyślała! Co zrobiła?

- Nie widziałam dokładnie. Zastłaniało mi ciało pana Hardwicke'a.

- Czy od razu podeszła do pani i pana Hardwicke'a?

- Nie... ona...

- Podeszła do okna?

- Powiedziałam panu, że nie widziałam.

- Na stoliku pod oknem leżał nóż. Wiemy o tym od pana Jayasinji. Z całą pewnością tym nożem zabito pana Hardwicke'a. Zarówno pani mąż jak i lekarz policyjny potwierdzają to. A ponieważ nikt nie twierdzi, że to pani go użyła, musiała to więc zrobić oskarżona.

Kate nic nie powiedziała.

- Oskarżona dźgnęła go w plecy nożem, ponieważ chciał... co? Zabić panią? Nie, oczywiście, że nie. Groził pani? Nie miał przy sobie żadnej broni. Zranić panią? Nie odniosła pani najmniejszych obrażeń. Żadnego siniaka. Nawet zadrapania. Tak więc tylko dlatego, że próbował panią pocałować? Tylko dlatego, że wiedział

z doświadczenia, że jest pani przyjazną, lubiącą zabawę damą, z którą można przyjemnie spędzić chwilę oczekiwania?

- Nie.

- Czy miała wybuchowy charakter?

- Nigdy tego nie widziałam.

- Mam wrażenie, że pani bardzo niewiele widziała, prawda? Powiem pani, co wydarzyło się tamtego wieczoru. Oskarżona właśnie co dowiedziała się, że pan Hardwicke jest żonaty. Wiemy o tym z zeznań pani Arbuthnot. Powiedziała jej o tym, kiedy odbierała u Browna kapelusz na Dzień Imperium. Rozwścieczona, oskarżona pobiegła do hotelu, gdzie regularnie spotykała się po pracy z panem Hardwicke'iem. I tam zastała go całującego panią. Bez wątplenia więc poczuła się całkowicie zdradzona i sięgnęła po nóż. - Prokurator przerwał na chwilę. - Tak to właśnie wyglądało, prawda?

Sędzia powiedział całkiem łagodnie:

- Nie musi pani odpowiadać na to pytanie, pani Warrender.

Prokurator uśmiechnął się i skłonił przed nią.

- Wysoki sędzie, nie mam na razie więcej pytań do pani Warrender.

Sędzia spojrział na zegar.

- Wobec tego zarządzam teraz przerwę na lunch. Świadkom zostaną podane przekąski w gabinecie księcia Connaught. Świadkom przypomina się, że nadal obowiązuje ich przysięga i że nie wolno im omawiać sprawy.

Kiedy świadkowie udawali się do gabinetu księcia Connaught, po schodach prowadzących z ulicy wbiegł Richard. Był zaczerwieniony i podniecony.

- Po złożeniu zeznań zostałem wezwany do kwatery głównej - powiedział Williamowi. Nerwowo przyglądał węs. - Mam wrażenie, że wkrótce się mnie pozbędziecie.

Kate odwróciła się gwałtownie.

- Nie jedziesz chyba na wojnę? - zapytała z niepokojem.
- Nie, nie. W wojsku nigdy nie wysyłają cię tam, gdzie prosisz, kuzynko.
- Więc gdzie? - zapytał William.
- Do Colombo. Niezbyt daleko. Mam nadzieję, że się tam zobaczymy. Mam zostać adiutantem gubernatora.
- Wpadniesz w towarzyski wir - rzucił sucho William.
- No, raczej tak! Wyścigi, tenis, podwieczorki, przyjęcia, bale.
- Będiesz w tym bardzo dobry - zauważył zimno William. To było wszystko. A jednak wystarczyło. Richard nagle wyglądał nieswojo, jakby skarcony przez starszego. Po czym delikatnie pocałował Kate w policzek.
- Muszę iść. Moi władcy zdecydowali, że mam zdażyć na nocny pociąg, tak więc muszę zabrać swoje rzeczy z Rangawelli.

Przerwa na lunch była nieprzyjemnym interludium. Na tekowym stole w cienistym gabinecie, w którym na czołowym miejscu wisiał ogromny portret księcia, podano półmiski z przyprawioną ziołami szynką i kurczakami, a także przeróżne curry, misę ze świeżymi owocami i gęstą czarną kawę. Jednakże nikt prawie nic nie tknął. Edith dopadła Williama i zamęczała go opowieściami o ząbkowaniu Wiktorii. Pozostali nie zamienili ani słowa.

Tuż przed trzecią niemal z ulgą powrócili na salę sądową.

Kate ponownie zajęła miejsce w ławie dla świadków. Przypomniano jej, że nadal obowiązuje ją przysięga. Obrońca, wysoki, szczupły mężczyzna o jasnych włosach wystających mu spod peruki, przemówił kulturalnym, angielskim głosem. Wypytał ją o ów fatalny wieczór z punktu widzenia obrony. Kate była w stanie opowiedzieć o prawdziwym uczuciu, jakie Sophie żywiła

do George'a, o jej pewności, że go poślubi, o jej wyprawie. Podkreśliła fakt, że według niej Sophie nie chciała go zabić, a jedynie powstrzymać, że nie wiedziała, co robi.

Wówczas ton głosu obrońcy uległ zmianie.

- Pan Hardwicke lubił flirtować, prawda?

- Wydaje mi się, że tak.

- Lubił się zabawić?

- Chyba tak.

- Tak, czy nie?

- Tak.

William powiedział jej, że obrońca może poddać w wątpliwość charakter George'a, a jeśli to zrobi, pozwoli prokuratorowi zaatakować ich własny. Starła się odpowiadać tak zwięźle i zgodnie z prawdą jak to możliwe, jednakże obrońca przyciskał ją coraz bardziej: wypytywał o picie George'a, jego zachowanie na balu, o pozostawienie jej i majora Carltona na wyspie, aż w końcu zapytał ją, czy wiedziała o całym szeregu tamil-skich dziewcząt, jakie zamieszkiwały z nim na plantacji.

Powiedziała, że nie wiedziała.

- Wiedziała pani jednak, że umiał sobie radzić z kobietami?

- Tak.

- I dlatego przeraziła się pani w tamten wieczór? Pomyślała pani, że może panią zgwałcić. W rzeczy samej, zamiast wizerunku zazdrosnej kobiety, zabijającej w furii, postulowanego przez oskarżyciela, jawi się wizerunek przyjaciółki, próbującej chronić panią przed molestowaniem?

- Tak.

- Ile ma pani lat, pani Warrender?

- Osiemnaście.

- I ponieważ jest pani, z całym szacunkiem, taka młoda, oskarżona zawsze starała się przyjąć w stosunku do pani rolę opiekunki?

- Tak, jak najbardziej. obrońca zwrócił się do sędziego.  
- Nie mam więcej pytań.  
- Ale ja mam, wysoki sędzie - podniósł się prokurator. - Jeśli wolno.  
- Kiedy sędzia przyzwalając skinął głową, zbliżył się do ławy dla świadków powolnym krokiem. - Muszę teraz powrócić do pytań, których zaniechałem. Mój uczony kolega dał wysokiemu sądowi do zrozumienia, że zmarły był libertynem, niedoszłym gwałcicielem, czego świadkiem jest niewinna młoda dziewczyna, a oskarżona czułą, opiekuńczą przyjaciółką. - Muszę natychmiast wykazać, że świadek nie jest niewinną młodą panienką, jaką stara się udawać. Że w czasie podróży, w Neapolu, doszło do podobnego wydarzenia jak czternastego maja. Że zarówno jej jak i oskarżonej nie było obce to, co eufemistycznie nazywają molestowaniem.

Mówiąc o Neapolu uczynił zgryźliwą wzmiankę o „flocie połowowej” i o ich pełnym rozrywek życiu w Rangawelli.

- Proszę zwrócić uwagę, wysoki sędzie, że bawiły się tak, podczas gdy mąż świadka znajdował się na pograniczu życia i śmierci, że nie wspomnę o haniebnym kankanie na balu i o wyprawie na wyspę, gdzie świadek samotnie spędził tam całą noc z majorem Carltonem. Cóż - prokurator wsunął kciuki pod wycięcia pod pachami w swojej tozde i ze zjadliwym uśmiechem podkreślił swój punkt - w swej mądrości prawo naszego kraju dla celów rozwodowych stwierdza, że jeśli mężczyzna i kobieta spędzili ze sobą noc, musiało dojść między nimi do zbliżenia.

Kiedy prokurator to powiedział, Kate nie miała wątpliwości, że każda zwykła, uczciwa osoba pomyśli, iż jest jedną z tych kobiet, które widziały na freskach owego domu w Pompejach - niemoralnych kobiet, które polowały



na mężczyzn i które musiały się spodziewać zasłużonego, brutalnego traktowania i wszelkich kalumnii, jakimi je obrzucano.

Kiedy Kate w końcu zwolniono, w sali sądowej zawrzało. Z trudem dostrzegła Williama, który przebiegł koło niej, chociaż niewyraźnie zdała sobie sprawę z kłótni, jaka za nią wybuchła, i jak woźny sądowy wykrzykuje: - Spokój!

William ponownie stanął w miejscu dla świadków. Kate oparła się o ścianę. Usłyszała, jak William mówi rozwścieczonym głosem, którego prawie nie poznała:

- Pomówienia wysunięte w stosunku do mojej żony są potworne, tchórzliwe i podłe! Moja żona - zniżył głos i powiedział powoli - jest młodą dziewczyną i nadal dziewicą.

Przez długi czas nikt nie odezwał się ani słowem. Tak proste oświadczenie zdało się wprawić sąd w osłupienie. Kate po cichu wymknęła się na zewnątrz i próbowała ochłodzić czoło o ścianę korytarza. Jej umysł nie był w stanie strawić tego, co zrobił William. Po to, by obronić ją i Sophie, odkrył jałowość ich małżeństwa. W oczach innych mężczyzn poniżył się, a jednak bardziej był mężczyzną niż którykolwiek z nich. Równocześnie jednak niczym pionka odsunął ją jeszcze dalej od siebie.

Oskarżyciel i obrońca wygłosili swe końcowe mowy. Sędzia podsumował sprawę. Sędziowie przysięgli oddalili się. Oskarżoną odprowadzono do celi. Kate jednak nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Czuła jedynie pustkę w sobie, bolesną pustkę.

Nie wiedziała, jak długo obradowali przysięgli. Nagle z sali sądowej dobiegło ją szuranie. Sophie ponownie się pojawiła na ławie oskarżonych. Wszedł sędzia i wszyscy wstali.

Następnie gęsiego weszli przysięgli. Żaden z nich nie spojrzał na oskarżoną.

- Panowie przysięgli - zapytał tamilski woźny - czy uzgodniliście werdykt?

- Tak.

- Czy uznajecie oskarżoną... winną czy niewinną? W sali sądowej zapadła straszliwa cisza. Po czym przemówił przewodniczący jury:

- Winną.

Kate zamknęła oczy. Z oddali, jakby z końca długiego tunelu, usłyszała zmęczony głos sędziego:

- Sophie Marie Simpson... została pani uznana winną morderstwa. Moim obowiązkiem jest...

Kate otworzyła oczy.

Cisza zdawał się trwać wiecznie. Cista sędziego poruszały się, Kate jednak nic nie słyszała. Widziała jedynie, jak palce sędziego sięgające po mały kwadrat czarnego materiału i układają go starannie na białej peruce.

## Rozdział XXI

W chwili, kiedy zobaczyła, jak sędzia nakłada czarną czapeczkę i ogłasza wyrok śmierci, Edith Purvis wiedziała, że nie jest to odpowiedź. Gniew i wyrzuty sumienia, które ją zżerały, ani trochę nie złagodniały. Wprost przeciwnie, uległy zwielokrotnieniu. Sophie jawiła się jej teraz bardziej jako stara przyjaciółka niż jako ładaczniczka. Sprawiedliwość, jaka Edith miała nadzieję, ją dopadnie, zmiażdżyła ją. Jej wina została ukarana z nawiązką. Edith drżała jednak na myśl, co Bóg uczyni z nią samą?

Kiedy wracali do domu po procesie, wielebny Purvis zdawał sobie sprawę, że coś jest bardzo nie w porządku ze stanem umysłowym jego żony. Werdykt powinien przynieść jej ulgę. Spoglądając na jej fioletową twarz w niewyraźnym świetle nocnego pociągu, pomyślał, że w istocie może wybuchnąć niczym przejrzały melon.

Kiedy jechali ze stacji wynajętym powozem, nie odezwała się do niego ani słowem. Po czym niespodzianie, kiedy wchodzili na werandę, krzyknęła przeraźliwie. Wskazała palcem na liście bulathu, które uschły na słońcu i zaczęły opadać. A następnie, bez żadnych wyjaśnień popędziła do pokoju dziecinnego, padła na kolana obok łóżeczka, odsunęła moskitierę i przycisnęła do piersi małą Wiktorię.

- Co to miało znaczyć? - zapytał wielebny Purvis, sycząc z gniewu, kiedy zaspana opiekunka, zaniepokojona zamieszaniem, pojawiła się w drzwiach sąsiedniego pokoju. - Pobudzisz wszystkich, a jest późna noc!

Edith jednak była w stanie jedynie wskazać na drzewo, którego uschnięte liście wyraźnie dociskały się do okna. Jęczała jak opętana:

- Liście znowu zaczęły więdnąć.

Jednak gdy udali się do swojej sypialni, a Arnold dokonał ablucji, wdział nocną koszulę, odmówił pacierze i zamierzał wsunąć się pod moskitierę, dopiero wtedy stan Edith osiągnął niemożliwy do zniesienia punkt krytyczny. Chwyciła go za ramię, a następnie padła przed nim na kolana i powiedziała:

- Muszę ci o tym powiedzieć. Nie potrafię tego dłużej znieść! Arnoldzie, muszę z tobą porozmawiać jak z moim mężem i pastorem!

Zaskoczony, usiadł na skraju łóżka. Ona z uporem klęczała.

- Zgrzeszyłam - krzyknęła - zgrzeszyłam przeciwko Bogu i przeciwko tobie. Zdradziłam was obu. Jego gniew jest skierowany przeciwko mnie! Jestem gorsza niż Sophie Simpson!

Początkowo nieskładnie, opowiedziała mu całą historię. Słuchał jej z otwartymi ustami, a następnie z głową opartą na rękach. Po jego czerwonej twarzy pot spływał niczym łzy. On, który zawsze uważał ją za tak doskonałą i pewną swych poczynań, ze zdziwieniem dowiedział się o jej słabości. Powinien chyba odczuwać gniew. Odczuwał jedynie litość i miłość. Jak nigdy dotąd modlił się o właściwe słowa. Nigdy w życiu nie czuł się tak blisko Edith i Boga.

Po drugiej stronie doliny doktor Warrender również starannie dobierał słowa.

- Możemy się jeszcze odwołać do Rady Królewskiej, Kate. Musimy o tym myśleć i zapomnieć o procesie.

Kate pomyślała, że zrećźnie zasuwa zasłonę nad tym, co zostało powiedziane w sądzie, o implikacjach, zniewagach, a przede wszystkim nad swoją własną próbą obronienia jej.

Jednakże nikt inny w Rangawelli nie zasuwał zasłony nad tym, co się stało. W miarę mijających dni Kate zdała sobie sprawę, że ludzie pogardzają nią jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem, chociaż z innego powodu. Już nie dlatego, że zachowała się niewłaściwie, ale dlatego, że była przeciwieństwem tego, za co ją uważali. Żadne wyznanie, nawet najbardziej niesmaczne, nie mogło tak ich zaszokować jak oświadczenie Williama, że nadal jest dziewicą. Było to nieprzyzwoite. Nienaturalne. W upalnym klimacie, gdzie mężczyźni szczycili się tym, że są mężczyznami, William powinien był postąpić bardziej po męsku i wziąć to, co chciał, oczywiście pod warunkiem, że tego chciał. Potrafili uszanować małżeński gwałt. Wyrozumiałości - lub, jak w przypadku Williama, obojętności - nie. I za to wszystko, sprawiedliwie, czy nie, Kate zaczęła obwiniać Williama.

Jej reakcja na jego interwencję w sądzie uległa zmianie. Początkowo uważała ją za odważną i szlachetną, podjętą dla jej dobra i dla dobra Sophie. Teraz zdała sobie sprawę, że może obwieszczać całemu światu, a swojej siostrze MacGregor w szczególności, że ich małżeństwo może, a nawet powinno zostać unieważnione.

W tym czasie William, na swój zwykły, spokojny, sposób, nie bacząc na powszechną opinię, nadal robił to, co według niego trzeba było zrobić. Kate pomyślała, że w taki sam sposób będzie załatwiał unieważnienie ich małżeństwa, przyjmując pacjentów, równie często jak przedtem jeżdżąc do szpitala i przychodni, równo-

częściej wypisując liczne listy w sprawie Sophie, chodząc na spotkania i wysuwając petycję, którą z pewnością niewiele osób podpisze. Jego uparta postawa wywarła dziwnie zniewalający skutek na ludziach. Po pewnym czasie ich wrogość, przynajmniej w stosunku do niego, zmniejszyła się.

W tym czasie Sophie, zarówno w sensie fizycznym jak i umysłowym, była daleko od nich. Odmówiła spotkania z Kate, chociaż przesłała jej liścik przez Williama. Wrócił z nim pewnego sobotniego popołudnia. „To nie dlatego, że nie chcę się z tobą widzieć”, napisała Sophie, „tylko dlatego, że nie chcę, byś mnie zobaczyła w obecnym stanie. Czuję się poniżona, nie jestem już istotą ludzką. William jest lekarzem, więc wiele już widział, tak więc nie mogę go zaszokować. Będę zadowolona, kiedy apelacja zostanie rozpatrzona i wszystko się skończy”.

- Kiedy to się skończy? - zapytała Kate Williama, odkładając liścik. Był gorący i parny wieczór, ha odległym horyzoncie gromadziły się ciężkie burzowe chmury. W ciemności rechotały żaby.

- Najpóźniej za tydzień - odparł zwięźle, spokojnie, jak zawsze teraz z nią rozmawiał. Proces jeszcze bardziej oddalił ich od siebie niż samo morderstwo.

Nagle, powodowana niepokojem o Sophie, Kate krzyknęła z bólem:

- Wówczas wszystko skończy się także dla nas, prawda?

William trzymał już w ręce teczkę, zamierzając jak zwykle zamknąć się w gabinecie. Teraz odłożył ją powoli i z przesadną starannością. Wyprostował się, rzucił jej jedno ze swoich beznamiętnych spojrzeń i zapytał:

- Co to ma znaczyć?

- Że będziesz mógł się mnie pozbyć.

- Jak?

- Rozwieść się ze mną! Unieważnić małżeństwo! Odesłać mnie!  
- Dokąd?  
- Nie wiem, dokąd - odparła nieszczęśliwa, wykręcając sobie palce.  
William podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.  
- Czy wobec tego ja mam zasugerować, dokąd? - Jego twarz pobraźla z gniewu. - Może do Colombo? Do mojego kuzyna Richarda?  
Po raz pierwszy słyszała, jak William drwi.  
- Jeśli chcesz powiedzieć - odparła, a nieszczęście i szok przerodziło się w oburzenie - że chcę jechać do Richarda, to się mylisz. To nieprawda. Nieprawda!  
- Czy jesteś tego pewna, Kate?  
- Całkiem, całkiem pewna. Jeśli masz mnie odesłać, to z powrotem do Anglii, do Megan.  
Na myśl o powrocie zaczęła płakać.  
- Czy tego rzeczywiście pragniesz, Kate? - Ton jego głosu zmienił się. Nie próbował jednak jej pocieszyć. - Czy tak jest?  
- Nie chodzi o to, czego ja chcę. Chodzi o to, czego ty chcesz. To twój dom, twoje życie. Twoja praca. Twoje wszystko.  
- A ty nie sądzisz, że ty możesz być moim wszystkim?  
Wstrzymała oddech.  
- Nie. Nie sądzę, żeby tak było. I to okrutne z twojej strony, że to sugerujesz. Wiem, że próbowałaś mi pomóc. Byłaś bardzo miła. Ale nigdy nie chciałaś, bym . zajęła miejsce w twoim życiu. A teraz sprowadziłam na ciebie niewyobrażalne kłopoty. Masz wszelkie prawo, żebyś chciała się mnie pozbyć. Miałaś wszelkie prawo powiedzieć w sądzie, że nasze małżeństwo nie zostało skonsumowane...

Przerwała, kiedy gwałtownie potrząsnął ją za ramiona.

- Czy tak właśnie myślisz? Tak? Że nie zrobiłem tego po to, by obronić twoje dobre imię? Żeby pomóc Sophie? Tylko dlatego, że jestem obojętny? Albo dlatego, że mam inne kobiety? Albo dlatego, że pragnę jakiejś innej kobiety?

- Tak.

- Wobec tego, na Boga, najwyższa pora, bym ci pokazał, że cię kocham!

Pochylił się i wziął ją na ręce, poniósł przez hall i otworzył drzwi do swojej sypialni. Bezceremonialnie upuścił ją na łóżko i stanął nad nią.

Przez kilka sekund leżała tam i nie mogąc złapać tchu, wpatrywała się w niego.

- W porządku - powiedział szorstko. - Nie bój się. Nie masz czym się martwić. Przysięgłem sobie, że nigdy nie wezmę cię siłą.

- Musisz - powiedziała. - Pragnę cię. Kocham cię. I w przeciwnym razie nie uwierzę ci.

Wyciągnęła do niego ramiona.

Dawno temu Megan powiedziała jej, że funt szczęścia na tym świecie opłacony jest trzema funtami nieszczęścia. Tydzień później nadeszła wiadomość, że Rada Królewska odrzuciła apelację Sophie. Datę egzekucji wyznaczono na 17. czerwca.

W dzień egzekucji Kate i William pojechali pociągiem o trzeciej trzydzieści - mlecznym pociągiem, który zawoził świeże mleko z górskich pastwisk do jałowego, suchego Colombo. Nadal było ciemno, ale miriady gwiazd migotały na nocnym niebie.

Siedząc obok Williama Kate nic nie widziała: nic tylko twarz Sophie - Sophie, śmiejącą się na cały głos na pokładzie statku, Sophie tańczącą kankana w Klubie



Plantatorów, Sophie podziwiającą luksus bungalowu Hardwicke'a, Sophie pozującą do zdjęcia na kolanach Buddy, Sophie szlochającą histerycznie nad ciałem George'a w nędznym hotelu.

- Jligama - powiedział na głos William, jakby chciał przerwać tok jej myśli. Czy dla niego także było to nie do zniesienia?

Nigdy nie dojedziemy do Kandy, pomyślała Kate. To jakiś koszmar, z którego zaraz się obudzę. Znajdę się ponownie w moim pokoju w Leeds, zobaczę popękany sufit i pomyślę, że muszę się spieszyć, jeśli nie chcę spóźnić się do szkoły.

Była jeszcze niewielka szansa na ulaskawienie, na wiadomość od Sekretarza Rady w Londynie, która nadejdzie w ostatniej chwili, a może nawet od samej królowej, która zainterweniuje w sprawie innej kobiety.

- Kandy.

Pociąg zatrzymał się. W świetle syczącej latarni widzieli zwyczajny tłum ludzi, ruch na peronie, chociaż o tak wczesnej porze nie taki wielki, rozlegały się zwykłe krzyki i roztaczały znajome zapachy.

- Tędy. - William wziął ją za rękę i poprowadził przez dworzec. Przed nimi znajdowały się niewyraźnie widoczne mury tego niby bajkowego zamku, z otworami strzelniczymi i z wieżą, na którą - jak jej powiedział wielebny Purvis - zostanie wciągnięta czarna flaga, kiedy Sophie umrze.

Na targowisku przygotowywano się do codziennego handlowania. Rozładowywano wozy pełne owoców i warzyw, suszonych ryb i połci mięsa. Spodziewano się wielkich tłumów. Syngalescy policjanci stali na posterunkach, jakby spodziewali się kłopotów. Jednak do tej pory panował spokój.

Przy pseudogotyckiej bramie więzienia zebrał się mały tłum. Grupa chrześcijan śpiewała hymn, buddyjski

mnich w pomarańczowych szatach klęczał, od czasu do czasu dotykając ziemi ogoloną głową, sześciu muzułmanów rozłożyło modlitewne maty i uklękło na nich z twarzami skierowanymi na wschód, jakiś starzec sprzedawał mantry, młody chłopiec z fletem i kobrą w wiklinowym koszu z nadzieją chodził wśród tych, którzy się modlili.

William wszedł przez stalowe wrota do pomieszczenia straży. Kate modliła się po cichu, wpatrzona w pustą tablicę ogłoszeń. Kiedy jednak William wrócił, na jego twarzy malował się jeszcze bardziej ponury wyraz. Potrząsnął głową. Kate wiedziała, że jej modlitwa nie została wysłuchana.

- Nie ma ułaskawienia - szepnął William. Przyciągnął ją do siebie. - Chciałaby się jednak z nami zobaczyć. Z obojgiem. Mamy pozwolenie na dziesięć minut. Idziemy tam teraz.

Kate poczuła ohydny więzienny zapach składający się z mocnego środka dezynfekującego, zmurszałego kamienia i ludzkiego smrodu. Teraz jednak dokładał się do tego inny jeszcze, znacznie silniejszy zapach, wszechmocny zapach wstydu za to, co zaraz się stanie.

Kate wyczuła go w mocnym uścisku naczelnika więzienia, czuła, jak emanuje ze sztywnych pleców strażnika, który prowadził ich betonowym korytarzem, czuła w powietrzu, którym oddychali, słyszała, jak odbija się echem za stalowymi drzwiami, kiedy współwięźniowie walili pięściami w metal. Najwyraźniej wyczuła go, kiedy otwarły się drzwi celi skazańców i stanęła przed strażnikiem Sophie.

Grali w domino przy małym stoliku do kart. Strażnik stanął na baczność, kiedy naczelnik ich wprowadził. Kiedy ten skinął głową, strażnik szybko wyszedł z celi.

- To miły chłopak - powiedziała Sophie, kiedy zostali sami. Kazała sobie upiąć włosy. Miała starannie umalowaną

twarz. - Ale cały czas dawał mi wygrywać. Powiedziałam mu, że ja zawsze przegrywam, a nie wygrywam.

- Po czym każde z nich objęła ramieniem. - Dobrze, że tak się stało - powiedziała - naprawdę! Tak więc nie smućcie się. Wkrótce pójdę tam, gdzie jest George.

- Zaśmiała się imitacją swojego dawnego śmiechu. - Albo w górę, albo w dół. Wiecie, co mam na myśli? Rozumiecie, ponieważ się kochacie. Wiem, że tak jest. Widzę to. - Badawczo popatrzyła najpierw w twarz jednego, potem drugiego. Sprawiała wrażenie, jakby była zadowolona z tego, co w nich zobaczyła.

Skoro tylko opuścili więzienie, William zaprowadził Kate od razu na stację, by nie zobaczyła powiewającej na maszcie czarnej flagi. Głuszyła jednak, jak nagle zapadła cisza, następnie rozległo się dziwne zbiorowe westchnienie, które niczym zimny wiatr powiało z targowiska, z tłumów przed więzieniem, z teraz ruchliwych ulic, od ludzi czekających na stacji.

Kate podeszła do drzwi dworca. Wszyscy spoglądli w stronę więziennej wieży. Na maszcie powiewała czarna flaga, oświetlona światłami strażnicy.

Kate wpatrywała się w nią suchymi oczami. Po czym, kiedy westchnienie zamarło, dosłyszeli, jak więźniowie ogłuszająco uderzają w stalowe drzwi swoich cel. Podjęto to na targowisku. Zaczęto uderzać w blaszane pojemniki. Walono kijami w metal, jakby poczucie wstydu przedostało się z więzienia i rozlało po targowisku. Fakt, że nalegano na egzekucję, został zapomniany, a tłumy miały teraz jedynie świadomość, że zabrano święte życie.

W jakiś dziwny, niewyjaśniony sposób Sophie odwróciła sytuację, w końcu odniosła zwycięstwo.

Kate zdała sobie sprawę, że William położył jej rękę na ramieniu i prowadzi ją w stronę pociągu, że znalazł

pusty przedział i że ją w nim usadza, i wówczas, kiedy już rozległ się gwizd lokomotywy, pojawił się wielebny Purvis, otworzył drzwi i opadł na siedzenie naprzeciwko.

Biegł przez całą drogę i teraz ocierał czoło. Po czym zamknął oczy. Miał je nadal zamknięte, kiedy pociąg przejeżdżał obok więziennych murów. Kiedy nabrał prędkości, wielebny Purvis otworzył oczy i powiedział:

- Smutna sprawa! Potwornie smutna sprawa! Kiedy nic nie odpowiedzieli, wyjął biblię i ukrył w niej twarz.

Powoli zniknęły światła Kandy. Ze stukotem kół, gwizdząc w ciemności, lokomotywa z jękiem zaczęła piąć się w stronę Rangawelli.

- Odeszła dzielnie. - Wielebny Purvis odłożył biblię. - Prawie za dzielnie. Radośnie. Tak radośnie, że wątpię, czy będzie zbawiona. Ale w końcu została zbawiona. Razem zaśpiewaliśmy hymn. Powiedziała, że mogę ją zaliczyć do moich nawróconych.

William ścisnął Kate za rękę, nic jednak nie powiedział. Powoli ciemności się rozpraszały. Dwie linie perłowego światła zbliżały się do siebie, a po obu stronach pociągu widoczne już były pola ryżowe, podczas gdy z oddali szybko zbliżał się do nich ogromny stożek.

- Dasras - pokazał William. - Zza Góry Adama. Przez kilka minut pociąg jechał do przodu w trójkącie ciemności rzucanym przez górę. Po czym nagle, wysoko na horyzoncie przed nimi eksplodowała oślepiająca biała kula. Jakby padały z odwiecznej, nierzeczywistej latarni, promienie światła przebiły noc dając początek nowemu dniu.